

# Wampir



WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

# Wampir

## ROZDZIAŁ I

Wszystkie światła pogasły. Tylko między oknami w zielonawej, kryształowej kuli mżył rozpierchły, ledwie dojrzany płomyk — jak gdyby świętojański robaczek, trzepoczący się w ciemnościach.

Cisza zapadła nagle, cisza pełna dręczącego oczekiwania.

Siedzieli z przyczajoną uwagą, skupieni aż do martwoty, a pełni szarpiącego niepokoju i ledwie powstrzymanych dygotów trwogi.

Czas płynął wolno w przerażającym milczeniu, w dławiącej, okropnej ciszy trwoźnych przeczuwań, tak że jeno<sup>1</sup> niekiedy jakieś stłumione westchnienie wionęło w ciemnościach. Podłoga zatrzeszczała, aż drgnęli gwałtownie; nierozpoznany szelest, jakby lot ptaka, okrążał ich głowy, łopotał po pokoju, wiał chłodem na rozgorączkowane twarze i marł w mrokach rozelkanym szelestem...

...I znowu przepływały chwile długie jak wieki, chwile milczenia dręczącego i oczekiwania.

Naraz stół drgnął, zakolysał się gwałtownie, uniósł w powietrze i opadł bez szelestu na podłogę...

Lodowaty dreszcz wstrząsnął sercami... Ktoś krzyknął... Ktoś załkał nerwowo... Ktoś zerwał się jakby do ucieczki... Pałace tchnienie trwogi przewiało w ciemnościach i zakłębiło się w duszach bolesnym, męczącym drżeniem, ale wnet przygasło wszystko, zdławione przez straszne pragnienie zjaw...

O cud błagały trwogi wszystkie i dusze, rozpięte w bolesnej tęsknocie.

Cisza stała się jeszcze głębsza; powstrzymywano oddechy, tłumiono strachliwe bicie serc, wyteżano całą siłę woli, aby nie zadrzeć, nie szepnąć, nie poruszyć się, nie patrzeć nawet i martwieć w takiej cichości, że ruch jakiegoś zegarka przewiercał serca bezustannym, bolesnym dygotem i bił w skroniach ciężkimi młotami.

Szum głuchy, bełkotliwy, a rozwiany i daleki — jakby morza odpływającego — wrzał monotonicznie za oknami; deszcz zaczął bezustannie, brzęczał cicho i po zapoconych, szarzejących szybach sphywał nieskończonymi sznurami paciorków, i szemrał sennie, szemrał lękliwie. Wiatr objął się o szyby i ze zduszonym, żalonym krzykiem obsuwał się martwo po ścianach, a potem jakieś drzewa, podobne do strzępiastych chmur, drzewa ślepe i nieme, nachylały się cicho do okien, chwiały się cieniem ledwie uchwytnym, jak sen nieprzypomniany, i jak sen przepadły w mrokach.

A pokój wciąż był głuchy, niemy i przepastny jak otchłań; tylko ten zielonawy płomyk, niby gwiazda odbita w czarnej topieli, drgał ustawicznie, rozpryskując się świetlistą larwą, jakby spod wody skłębionej, albo jakieś spojrzenie zamigotało rozwianym płomieniem i wnet marło w ciemnościach mętnych, pełnych, a nieuchwytnych, zaledwie wycutych falowań, niedojrzałych ruchów, drgań niepokojących, szeptów zmartwiałych, konających połysków i przyczajonej, dygotającej trwogi...

Stół znowu wyrwał się spod rąk, roztrzącił siedzących, uniósł się gwałtownie i z hukiem padł na swoje miejsce... Łańcuch rąk się przerwał, podniosło się kilka okrzyków, ktoś skoczył w bok do światła...

— Cicho... Na miejsca... Cicho! — zabrzmiał rozkazujący głos.

Cisza, Ciemność, Czas

Strach, Cisza, Czary, Cud

<sup>1</sup>jeno (daw.) — jedynie, tylko. [przypis edytorski]

Ręce splotły się znowu w łańcuch nieprzerwany. Przymilkli z nagłą, ale już nikt nie potrafił pokonać nerwowego drżenia; dłonie się trzęsły, serca dygotały i duszę przelatywał wicher świętej trwogi. Pochylano się nad stołem jak nad niepojętą, tajemniczą istotą, której ruch każdy był cudem widowym, cudem żywym.

Joe, przewodniczący, zaczął szeptać modlitwę; a za nim roztrzęsionymi wargami powtarzano coraz prędzej, coraz mocniej, tak iż ciemność rozbrzmiewała szmerem lotnym, namiętym, wyrwanym spod serc, z głębi dusz olśnionych... Słowa padały rozwiane, płonące wiarą, wiotkie jak tchnienie, a potężne żądzą objawień, pragnieniem cudów...

Naraz, z drugiego pokoju czy z głębi jakiejś, rozbrzmiał przytłumiony głos fisharmonii.

Muzyka, Śpiew

Jęk zamarł w gardłach ściśniętych, dusze popadły w senny lęk jakby przed skonem, nikt bowiem nie czekał tej muzyki, nie wiedział, skąd płyną te tony, nie rozumiał — zali to dźwięki żywe czy omam słodki?

Opadli piersiami na stół, bo nikt już sił nie miał, trzymali się kurczowo za ręce, bojąc się puścić, bojąc się przepaść w samotności... Cisnęli się do siebie ramionami i stłoczeni, drżący, przejęci świętym dreszczem zachwyty, zanurzali się w te dziwne dźwięki, przewiewające — niby wiatr pieściwy — po strunach harfy niewidzialnej.

I tak zapomnieli o wszystkim, że nikt już nie wiedział — rzeczywistość to li<sup>2</sup> sen czarowny?

A muzyka rozchyłała się w ciemnościach kadzielnym tchnieniem modlitwy żarliwej, rosą srebrzystych dźwięków, wiewem melodii tak słodkiej, że dusze chwiały się w rozmarzeniu upajającym jak kwiaty w noc miesięczną.

I śpiewem się podniosła uroczystym, potężnym, rozległym — jakby świat cały śpiewał.

I krzykiem duszy, zagubionej we wszechświecie, łkała żałośnie...

I wyżej wznosiła się jeszcze, aż w hymny łzawych zachwyceń i w dal takich rozręsknień, że była już jakby emanacją nowych bytów, rodzących się z tajemnicy i marzenia.

Jeszcze nie ochłonęli z wrażenia, jeszcze dusze, niby krze<sup>3</sup> płomieniste, chwiały się sennie w rytm konających dźwięków, gdy drzwi od przedpokoju otwarły się na oścież, struga światła runęła słupem na podłogę i w progu ukazała się wysoka, jasna postać...

Duch

Porwali się z miejsc, ale nim ktokolwiek zdołał krzyknąć, postać owa poruszyła się i szła wolno świetlistym pasem; szła sztywno i ciężko, z wyciągniętymi rękami, przystając co mgnienie i kołyszając się cała...

Drzwi się zamknęły bez szmeru i noc znowu ogarnęła wszystko.

— Kto jesteś? — zatrzepotało zdławione pytanie.

— Daisy... — wionął szept zgoła niematerialny.

— Długo będziecie z nami?

— Nie... Nie...

— Gdzie twoje ciało?

— Tam... W pokoju... Śpię... Wołałeś... Przyszłam... Guru...

Szept się plątał i tak ścichł, że tylko bezdźwięczne, porwane drgania szemrały w ciemnościach.

*Mr<sup>4</sup>* Joe nacisnął guzik i elektryczne światło zaalało pokój.

— Daisy! — krzyknął jakiś człowiek, rzucając się ku niej, ale stanął naraz jak gromem rażony, bo zwróciła ślepą twarz ku niemu, usiłując coś mówić, poruszając wargami.

— Nie, nie Daisy... Ta sama i obca, inna zarazem...

Pochylił się ze zdumienia i przyczojonym, trwożnym wzrokiem obiegał twarz jej i postać całą... Ta sama twarz, a rysy inne, obce... Obce...

„Daisy!... Nie... nie...”, krzyczało w nim zdumienie i przypomnienia wiły mu się błyskawicami szaleństwa, strachu, lęku straszliwego.

Nic nie rozumiał, nie mógł pojąć tej zmiany dziwnej. Zdało mu się, że śni ciężko, że jakieś zwierciadlane odbicie Daisy stanęło przed nim i rozwieje się zaraz, szczeźnie jak widmo...

<sup>2</sup>li (daw.) — jedynie, tylko; czy. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>kierz (daw.) — krzak. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Mr (ang.) — właściwie *mister*; pan. [przypis edytorski]

Zamknął oczy i otworzył je natychmiast, ale Daisy stała na dawnym miejscu; była, widział ją w najdrobniejszych szczegółach, aż cofnął się naraz, bo spojrzała na niego posępnym, otchłannym, obcym wzrokiem, a tak strasznym, iż padł na samo dno trwogi...

Wszyscy stali również w lodowatym odrętwieniu.

Mr Joe zaś lękliwie podszedł do niej i dotknął palcami jej powiek. Zatrzepotały i opadły mocno; a potem, stopniowo, dotykał jej skroni, rąk, piersi, ramion, przeciągał kilka pasów nad głową, cofnął się i rozkazująco powiedział:

— Pójdź!

Nie poruszyła się z miejsca.

— Pójdź! — zawołał silniej, cofając się z wolna i nie spuszczać z niej wzroku. Drgnęła nagle i, jakby z trudem odrywając się od posadzki, zaczęła się posuwać za nim sztywnym, automatycznym ruchem, w głąb sąsiedniego pokoju, jasno oświetlonego.

Nikt się przez ten czas nie poruszył, nie westchnął głośniej, nie zadrżał; wszystkie oczy szły za nią.

Mr Joe wziął ją za rękę i doprowadził do wielkiej sofy, ustawionej na środku pokoju. Upadła na nią bezwładnie.

— Możesz mówić? — pytał, pochylając się nad nią.

— Mogę...

— Czy jesteś sama, Daisy?...

— Nie pytaj...

— Czy nikt z nas nie przeszkadza?

— Nie... Nie... Cóż może przeszkodzić woli „A”? — mówiła.

Głos miała nie swój, zupełnie obcy, a chwilami jakby płynący z fonografu<sup>5</sup>, trupi jakiś; wydobywał się martwym szmerem wprost z gardła, bo nie poruszała ustami ni żadnym muskulem twarzy.

— Więc wszystkim wolno pozostać w pokoju? — pytał znowu Mr Joe.

Nie odpowiedziała, tylko poruszyła się niecierpliwie, podnosząc ciężkie powieki, tak że wywrócone oczy błysnęły białkami. Jakiś uśmiech przewiał po bladej jak kreda twarzy, wyciągnęła rękę w próżnię, jakby witając kogoś niewidzialnego, i zaczęła coś półgłosem szeptać.

Mr Joe słuchał uważnie, ale na próżno usiłował zrozumieć cokolwiek; mówiła w zupełnie nieznanym języku.

— Co mówisz? — spytał po chwili, kładąc dłoń na jej czole.

— Sarwatassida<sup>6</sup>!

— Mahatma<sup>7</sup>?

— Ten, który jest, który wypełnia wszystko, który jest „A”, mój duch...

— Czy zechce mówić przez ciebie?

— Nie męcz mnie...

— Czy stanie się coś dzisiaj? Bracia są zebrani, czekają w trwodze, czekają w błaganiu o znak jakiś, o cud...

— Nikt z wcielonych nie jest godzien cudów! Nikt! — zabrzmiał mocny, potężny, męski głos, a tak silny, jak przez spiżową tubę płynący.

Joe cofnął się przerażony, wodząc oczami dokoła, ale w pokoju nie było nikogo. Daisy leżała bez ruchu, światła płonęły jasno i cała grupa zebranych stała w drugim pokoju, na wprost niego.

— Niechaj on gra, on! — szepnęła, unosząc się i wskazując ręką na Zenona, i zaraz padła w tył, wyprężona, sztywna; i tak już pozostała.

Próżno Joe usiłował zmusić ją do rozmowy. Leżała martwa jak trup; ręce miała zimne i twarz pokrytą lodowatą rosą.

— Zupełna katalepsja<sup>8</sup>! Nic nie rozumiem — szepnęła bojaźliwie.

— Cóż poczniemy? — zapytał ktoś.

<sup>5</sup>fonograf — poprzednik gramofonu. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Sarwatassida a. Sarwatassida — w opowieściach malajskich bramin (kapłan hinduistyczny) znany ze swej mądrości. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Mahatma a. Mahatman — „Wielki Duch”, tytuł używany w sanskrycie w odniesieniu do wybitnych przywódców. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>katalepsja — odrętwienie ciała, towarzyszące niektórym chorobom psychicznym. [przypis edytorski]

— Módlmy się i czekajmy.  
— Czy to naprawdę Daisy? — pytał Zenon.  
— Daisy... Nie wiem, może być... Ale nie wiem.

Drzwi okrągłego pokoju, gdzie leżała, zatrasnęły się z hałasem.

— Siadać, cicho... Rozpoczynamy!

Zenon siadł przed fisharmonią, stojącą w głębokiej niszy na prawo, na wprost okien, i zaczął cicho grać.

Światła wtedy raptem pogasły. Przez chwilę jeszcze żarzyły się w żyrandolu rozpalone węgle, potem, gdy szerniały, tylko kryształowa kula błyskała zielonawym, rozedrganym światełkiem.

Usiedli pod ścianą, jeden przy drugim, nie tworząc już łańcucha.

Zenon grał jakiś hymn wzniosły, stłumione dźwięki brzmiały słodkim chorałem<sup>9</sup>, dalekim, jakby z głębi niebotycznych naw płynącym, i rozsypywały się w nieprzeniknionych ciemnościach.

Joe zaś ukląkł i zaczął się modlić półgłosem. Przez chwilę słychać było odsuwanie krzeseł i trzeszczenie podłogi; śnać<sup>10</sup> przyklękli wszyscy, bo szept modlitewnych głosów zaszemrał rozpaloną, wrzącą ulewą i wtórował przejmującym falom muzyki...

Zenon grał coraz ciszej; dźwięki zamierały z wolna, głuchły i niby zakrzeple perły opadały ciężko, tak że już tylko jakieś błędne akordy, jak pogubione westchnienia, błąkały się w ciszy; powracały jednak i łkały uporczywie, przejmująco.

Po długiej chwili martwego milczenia zerwały się znowu niby krzyk na pustkowiu, krzyk nagły, przeszywający, okropny!

I znowu zapadła grobowa cisza, z której kiedy niekiedy wyrywały się błędne, rozelkane, samotne akordy...

Modlitwa umilkła, ale ten głos monotony zrywał się co chwila, przycichał... Konał... I znowu powracał... Znowu jęczał... Znowu błąkał się dreszcz; zatrzęsł wszystkimi, bo był jak rozpacz, jak krzyk spadających w przepaść...

Joe nie mógł już wytrzymać i rozniecił światło.

Zenon siedział martwo — oczy miał przymknięte, głowę pochyloną na poręcz krzesła. Prawa ręka leżała bez ruchu na kolanie, a lewą poruszał machinalnie, uderzając raz po raz w klawisze.

— Wpadł w trans! — szepnął, przygaszając znowu światła.

W pokoju robiło się wprost strasznie. Siedzieli w grobowym milczeniu, skurczeni w bolesnym nabrzmieniu trwogi i oczekiwania, błędząc oczami w ciemnościach i czepiając się tego jedyne światelka jak zbawienia.

Chłód dziwny zawiewał od ścian, tak że — mimo rozgorączkowania — trzęśli się z zimna.

Cisza była już nie do wytrzymania, a ten powracający wciąż, monotony akord przemawiał coraz sroższą męką.

Naraz w ciemnościach zaczęło się coś dziać.

Najpierw szyfrowe tabliczki, leżące na stole, jęły się podnosić i opadać, jakby podrzucane, wreszcie trzasnęły w sufit i rozbitymi kawałkami posypały się na podłogę.

A po chwili zaczęły się rozsypywać w ciemnościach świetliste, niezliczone drgania, ale tak nikle, tak drobinowe, że wydawały się próchnicową fosforescencją<sup>11</sup>. Opadały połyskującą rosą, osypywały się po ścianach, gęstniały z wolna i świeciły coraz mocniej, zalewając pokój błyszczącym, rozedrganym tumanem, jakby śniegiem błękitnawym, opadającym bez szelestu sypką i pierzastą falą.

— Om! — zadźwięczał w ciszy jasny, kryształowy głos.

Pochylili głowy i chórem, z trwożną pokorą i wzruszeniem, stłumionymi głosami zajęczeli błagalnie:

— Om! Om! Om!

Świetlista ulewa jeszcze się wzmogła. Już teraz pokój był podobny do ciemnobłękitnej otchłani, przez którą przepływał potok gwiazdnych pyłów, tak jaśniejący, iż ściany,

Muzyka

Światło

<sup>9</sup>chorał — uroczysty, śpiewany utwór muzyczny, przeważnie o charakterze religijnym. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>śnać a. śnadź (daw.) — widocznie, zapewne. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>fosforescencja — świecenie ciała spowodowane naświetlaniem. [przypis edytorski]

drzwi, obrazy, sprzęty i sine, wylękłe twarze widać było dokładnie poprzez to rozedrgane, opadające bezustannie przedziwo błysków.

Mgławki zarys postaci, świetlany majak, widmo, utkane ze światła, ukazało się naraz w drzwiach pokoju uśpionej.

— Om! Om! — szeptali coraz ciszej, cofając się pod ścianę i, przyparci do niej, zmarli w świętej zgrozie zdumienia.

Zjawa, niczym kwiat z rozchwianych płomieni, uniosła się w górę; była jakby wytryskiem rozproszonego światła, z którego co chwila urabiał się zarys ludzkiej postaci i rozpryskiwał wybuchem krótkich, rozpylonych błysków.

Ulewa zgasła, pokój pociemniał, tylko zjawa błyszczącym ostro, żółtawym obłokiem unosiła się z wolna, krążyła parę stóp nad ziemią, stając się chwilami tak wyraźna w ludzkim kształcie, że widać było twarz kobiecą, okoloną długimi włosami, zarysy ramion i kontur całej postaci. A przez mgnienia i jakaś niebieskawa, mieniąca się płomieniami suknia widniała, ale niepodobna było dojrzeć rysów, bo to chwilowe skupienie światła, ten brzask rażący, z jakiego się urabiała, te połyskliwe martwe drgania mieszały się ustawicznie, przelewały wirem bezustannym, tak że co mgnienie kontury się rozpadały w pył świetlisty i występowały na nowo.

Po dłuższej chwili widmo stało się pełnym kształtem ludzkim, przysuwając się tak blisko, że obłądny strach runął w nich piorunem. Chwiała się tuż przed nimi, zbliżając swoją twarz okropną; twarz ślepa, bez rysów, jakby kulę, z grubsza obrąbaną i przedziurawioną czarnymi otworami, larwę, podobną do kłębu mżących drobin świetlistych, larwę dręczącego snu i przerażenia.

Sunęła od jednego do drugiego, zaglądając pustymi oczodołami w ich zamarłe i ostyglę ze strachu oczy. I jakieś ręce śliskie, wilgotnawe, jakby z nagrzanego kauczuku, ręce okropne i trupie, ręce zgrozy niewypowiedzianej dotykały wszystkich twarzy.

Ktoś jęknął ciężko, jakby przez sen dręczący, i widmo rozprysnęło się w tej chwili w migotliwy, świecący tuman.

Ale nim ochłonęli, zjawiła się znowu w niszy przy Zenonie.

— Daisy — krzyknął bezwiednie Joe.

Wszyscy ją również poznali. Tak, ona tam stała, widać było dokładnie — każdy rys twarzy występował ostro w tej dziwnej jaśni<sup>12</sup>, promieniejącej z niej samej, każdy szczegół postaci, nawet kolor włosów, tak dobrze im znany. Byli najgłębiej przekonani, że to ona sama stoi w tym łagodnym brzasku promieniowań jakby w jasnym obłoku.

Pochyliła się nad śpiącym, jakby mu coś chciała szepnąć do ucha, a on podniósł się i z niewysłowionym uśmiechem podał jej rękę. I naraz, niby drzewo rozłupane przez piorun, rozpadł się na dwie osoby... Siedział w dawnej postawie, z głową pochyloną na poręcz krzesła i stał równocześnie w drugiej osobie przed nią pochylony...

Krzyk zdumienia wyrwał się ze wszystkich ust i padł zmartwiały, bo oto drzwi od okrągłego pokoju rozwarły się i ujrano Daisy, leżącą na sofie.

Dwa ciała leżały w śnie głębokim — równocześnie dwie zjawy, dwa widma czy dwie dusze — przyobleczone w kształt widomy i płomieniejący światłem; dwa jakby zwierciadlane odbicia Daisy i Zenona przesuwali się w ciemnościach tuż przed nimi...

Jak to długo trwało? Mgnienie czy wieki — nikt nie wiedział, nikt nie myślał i nikt nie pojmował.

W podziw wpadły dusze i klęczały w świętej zgrozie cudu...

W tej prześwietłej chwili łaski Izys<sup>13</sup> odsłoniła rąbek zasłony przed łaknącymi światła; marzenia stawały się czymś więcej niżli rzeczywistością, bo cudem — niezrozumiałym, tajemniczym, niezgłębnym, ale cudem, żywymi oczami widzianym.

Poculi się zawieszeni na krawędzi *niepoznawalnego*, jakby w samych głębiach stawań się i jakichś bytów nawet niemyślanych i rzeczy zgoła niepojętych dla ślepych oczu człowieczych.

Przepadła wszystka pamięć żywota, wszystek pył ziemski opadł z ich dusz, wszystka myśl spłonęła, tak że pozostali jeno jakoby w samym rdzeniu istności, przed którą od-

<sup>12</sup>jaśnia (daw.) — jasność. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Izys a. Izis, a. Izysa — w mitologii egipskiej bogini płodności, rodziny i domowego ogniska, patronka małżeństwa i macierzyństwa. [przypis edytorski]

slaniają się tajemnice wszelkie. Boć<sup>14</sup> oto tam, o parę kroków, w ciemnościach drążyły się dwie jaśniejące postacie i trwał cud niepojęty... Cienie rysowały kontury, tworzyły ramę, z której tym wyraźniej promieniały zjawy świetlane — niby słupy martwych polysków, przenoszące się z miejsca na miejsce, bez szelestu i w takim milczeniu, że słyszeli przyspieszone bicie serc własnych.

Z wolna, w jakiejś niepochwytnej, niezapamiętanej chwili, widma poczęły blednąć, przygasać, znikać z oczu i wsączać się w ciemności. Tylko głowy pozostały nieco dłużej, chwiejąc się jak kwiaty świetlane na falach cieniów; były wciąż przy sobie, poruszając się jakimś wahającym, rozedrganym ruchem. Znikały na mgnienia w rozpryskach oślepiających blasków i wynurzały się jeszcze, ale już bledsze, niklejsze, bardziej wiotkie, podobne do witrażowych postaci w mrocznych nawach. Jeszcze oczy jaśniały dawną mocą i życiem, a już rysy się rozpadały, już marł kształt ludzki, aż i spojrzenia przygasły zmacone, jakby z nagłą zanurzone w mrokach, i przepadły, rozsypały się w pyłach białawych, z wolna gasnących.

Skończyło się wszystko, noc ich znowu otoczyła i milczenie, nikt się jednak nie poruszył z miejsca. Omdlałe serca ledwie były, myśli dźwigały się leniwie i niechętnie, podnosiły się jakby z letargu zachwyceń i oczarowań.

Ach, znowu życie, znowu głupia rzeczywistość, znowu ten sam dzień powszedni, dzień męki nieskończonej i tęsknot — znowu!

Gluchy, daleki szum miasta bił monotonnym szmerem w okna, deszcz brzęczał po szybach, a światelko, uwięzione w kryształowej kuli, trzepotało się zielonawą, tajemniczą żrenicą jak niezgłębiona tęsknota, jak pamięć rzeczy minionych i niepowrotnych...

Dopiero po długiej chwili Joe się przemógł i rozniecił światła.

Drzwi do okrągłego pokoju były zamknięte, Zenon zaś siedział uśpiony na dawnym miejscu, przed fisharmonią.

— Trzeba go zbudzić, wyczerpie się.

Ale nim to uczyniono, sam się przebudził i powstał.

— Zdaje mi się, że spałem? — szepnął, przecierając oczy.

— Zaraz usnąłeś.

— Nie... Grałem przecież coś. Zdaje mi się, Bacha<sup>15</sup>...

— Grałeś także i później...

— Przez sen?

— Byłeś w transie.

— I grałem! Prawda, przypomina mi się jakaś melodia... Zaraz... Nie mogę jej schwycić... Jakieś rozproszone dźwięki mam w pamięci; ale to dziwne, nigdy nie wpadałem w sen podobny...

— Czy nic więcej sobie nie przypominasz prócz tej melodii?

— Nie... A Daisy?

— Śpi jeszcze.

Zenon otworzył drzwi do okrągłego pokoju i stanął zdumiony.

— Ależ to ona... Nie spałem przecież, cóż we mnie wmawiacie? Przed chwilą mówiłem z nią. Chodziliśmy razem po jakimś parku... Tak... Pamiętam... Drzewa błękitne... Mówiła... Zaraz... Gdzie to było?

Obejrzał się naraz lękliwie.

Wszyscy stali dokoła, zapatrzeni w niego, ciekawi, a milczący.

— Coś się ze mną stało, czego nie mogę sobie przypomnieć... Tak mnie dziwnie boli głowa...

Zachwiał się tak, że aż Joe ujął go w pól i posadził na krześle.

Długo siedział nieruchomo, zapatrzony w siebie, w jakąś nierozpoznaną dal, pełną widzeń majaczących i snów nieprzypomnianych, daremnie usiłując ułożyć choćby obraz jeden, jedną myśl bodaj wyłonić ze strzępów rozpierzchłych i wirujących pod czaszką. Zapadał w coraz większy mrok niepamięci; reszta białych, nikłych majaceń porwała się, gdy ją chciał pochwycić. Ostatnie brzaski przypomnień zgasły, została tylko pusta, bolesna

<sup>14</sup>boć (daw.) — bo. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Bach, *Johann Sebastian* (1685–1750) — niemiecki kompozytor i organista barokowy. [przypis edytorski]

tęsknota za tym, co przepadło w nieznanach głębiach — tak że jakby się przebudził na nowo, otworzył szeroko oczy, przyjrzał się wszystkim i powstał.

— Tak dziwnie jestem znużony i wyczerpany, że ledwie się trzymam na nogach... — skarżył się żałośnie.

— Idź, połóż się zaraz — szepnął mu Joe.

— Istotnie, to będzie najlepsze.

— Odprowadzę cię do mieszkania.

— Cóż znowu, nie usnę przecież na schodach.

Zaśmiał się wesoło i wyszedł do przedpokoju, ale gdy już miał wychodzić na korytarz, zawrócił i cicho pytał:

— Czy Daisy śpi jeszcze?

— Śpi, ale zaraz ją pójde zbudzić.

— Seans się udał?

— Nadzwyczajnie, jutro ci opowiem szczegóły.

— Ale dlaczego ja usnąłem? Nie daruję sobie tego...

Schodził po schodach wolno, automatycznie, prawie nie wiedząc o tym. Dopiero na pierwszym piętrze przystanął, rozejrzał się uważnie i jakby po raz trzeci się przebudził...

Przypomniał sobie naraz, że był na seansie i że grał...

Zatrząsł się, zimno go przejęło na wskroś. Poczuł się niesłychanie zmęczony i dziwnie, boleśnie niespokojny; jakaś melodia wić mu się jęła w pamięci, tak że począł ją nucić z cicha...

Korytarz był szeroki, wysłany czerwonym dywanem, cichy i pusty zupełnie, a jasno oświetlony, bo szereg opalowych kwiatów, uczepionych u sufitu, rozsiewał elektryczne światło; ściany białe, poprzecinane gdzieniegdzie drzwiami, ciągnęły się długą, jednostajną linią, pełną nudy.

Jakiś zegar wydzwaniał wolno.

— Już siódma! Całe dwie godziny seansu — szepnął zdziwiony, podnosząc oczy, by sprawdzić na zegarze; ale ujrawszy jakąś damę, idącą z drugiego końca korytarza, poszedł śpieszniej naprzeciw i naraz, nie doszedłszy do niej jeszcze, przystanął skamieniały.

— Daisy? — krzyknął, odsuwając się pod ścianę.

*Miss*<sup>16</sup> Daisy przeszła, witając go skinieniem głowy, jak zwykle uprzejmym i nieco wyniosłym; mały *groom*<sup>17</sup> szedł za nią z wielkim pudłem w rękę.

Stał chwilę z przymkniętymi oczami, pewny, że to przywidzenie lub halucynacja. Bo i jakże? Przed chwilą zostawił ją tam uspioną, w pokoju seansowym; widział na własne oczy, pamięta... A ona teraz tutaj, ubrana do wyjścia, idąca z przeciwnej strony...

Nie, to halucynacja.

Otworzył naraz oczy. *Miss* Daisy była już na końcu korytarza i skręcała właśnie na schody wejściowe...

Nadludzkiem skokiem był już tam i wsparty o balustradę, patrzył, jak schodziła na dół szerokimi schodami.

Schodziła wolno, tren sukni ciągnął się za nią po szerokich, marmurowych stopniach. Rezedowo-rdzawy płaszcz, obramowany futrem, otulał jej postać wyniosłą, jasne włosy wymykały się wzburzonymi falami spod wielkiego, czarnego kapelusza. Widział te szczegóły dokładnie, słyszał każde jej stąpienie. Czuł ruch jej każdy.

A na skręcie do przedsiönka odwróciła głowę. Oczy się ich skrzyżowały błyskawicami, zderzyły i rozbiegły, tak że cofnął się bezwiednie w cień. Ale słyszał jej głos... Szczęk drzwi... Kroki na posadzce przedsiönka... Głuchy tupot koni na asfalcie podjazdu... Śliski szmer odjeżdżającego powozu...

— Kto tu wyjeżdżał? — zapytał po chwili odźwiernego.

— *Miss* Daisy!

Już nic nie odrzekł, bo mu się zdało naraz, że go ogarnęła ciężka, niezwalczona senność. Powrócił na pierwsze piętro i machinalnie odnalazł swoje mieszkanie. Długo krążył po nim, potrącając o sprzęty i meble, długo błądził po omacku, nie wiedząc, co począć, co się z nim stało, gdzie jest!

<sup>16</sup>*Miss* (ang.) — panna. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*groom* (ang.) — chłopiec stajenny. [przypis edytorski]



Padł na jakieś krzesło i pozostał nieruchomy, zeszywniały z przerażenia. Oto znowu ujrzał je obydwoje razem... Tamtą śpiącą na sofie i tę schodzącą po schodach...

Jakimś ostatnim odruchem świadomości rozniecił światło i zadzwonił.

Weszła pokojówka.

— Czy *Miss Daisy* już powróciła? — zapytał po długim milczeniu, przytomniejąc zupełnie.

— *Miss* dopiero przed chwilą wyjechała.

— Ale czy dawno wróciła przed wyjazdem?

— Nie wychodziła nigdzie, położyła się o zmroku i spała; obudziłam ją niedawno sama.

— Spała i nie wychodziła nigdzie... Nigdzie?

— Tak, z pewnością...

— Była na drugim piętrze, u *Mr Joego*.

— Nie, zapewniam pana, że nie wychodziła.

— Nieprawda! — krzyknął w nagłej pasji.

— Ależ z pewnością... Z pewnością... — szeptała zdumiona, cofając się przed jego błędnym wzrokiem i twarzą zmienioną.

— Muszę być chory i najwidoczniej mam gorączkę — powiedział głośno, rozglądając się podejrzliwie po mieszkaniu; nie było jednak nikogo, służąca uciekła, wszystkie drzwi stały otwarte.

We wszystkich pokojach płonęły jasno światła, stały meble w surowych, ciężkich zarysach, błyszcząły zwierciadła jak oczy promieniste i puste; kwiaty w wazonach barwiły się cicho, ciężkie portiere przysłaniały okna, a ze ścian ciemnych wyzierało kilka posępnych portretów.

Wszystko to znał, poznawał, pamiętał, czuł, że jest u siebie, w swoim mieszkaniu, a jednak... Jednak poprzez te sprzęty i ściany, zwierciadła i kwiaty wyzierały jakieś zarysy przypomnień; kontury mgliste jakichś innych rzeczy, rzeczy zgoła nieprzypomnianych, a istniejących gdzieś... Rzeczy zmartwychwstających wiotkim cieniem i zjawą nieuchwytną.

— Nic nie rozumiem... Nic! — wołał, chwytając się za głowę.

## ROZDZIAŁ II

— Straszny dzień! — zawołał Zenon, wstrząsając się z zimna.

— Okropny, obrzydliwy, wstrętny dzień! — powtarzała z wesołą przekornością śliczna, jasnowłosa dziewczyna, wychodząc z nim spod kolosalnych kolumn portyku św. Pawła<sup>18</sup> na szerokie, mokre i oślizgłe schody.

— Po trzykroć obrzydliwy dzień: zimno, mokro i mglisto. Już prawie zapomniałem, jak świeci słońce i jak grzeje.

— „Przesada i egzaltacja!”, jak mówi ciotka Ellen.

— Więc pani widziała słońce w tym roku w Londynie?

— Ależ dopiero luty.

— Czy pani w ogóle kiedykolwiek widziała słońce w Anglii?

— O *Mr Zen*, by ciotka Dolly nie rzekła: „Strzeż się, Betsy, bo ten człowiek czci słońce jak *gwebr*<sup>19</sup>, poganinem być musi” — groziła mu ze śmiechem, naśladując komiczny głos ciotki.

— Przecież od listopada nie było ani na mgnienie słońca w Londynie. Nic, tylko mgły, deszcze, błoto i *fogi*<sup>20</sup>, a ja nie mam skóry z *waterproofów*<sup>21</sup>, więc już chwilami czuję, iż się przemieniam w galaretę, w mglistość, w strugi wody.

— W pańskim kraju nie ma też ciągle słońca — szepnęła ciszej.

Deszcz

Tęsknota

<sup>18</sup>św. Paweł — tu: Katedra Świętego Pawła, znany kościół anglikański zlokalizowany w centrum londyńskiej dzielnicy City of London. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*gwebr* — w islamie obelżywe określenie „niewiernego”; dawniej *gwebrami* nazywano przede wszystkim członków sekty Czcieli Ognia, wyznawców religii Zoroastra. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*fog* (ang.) — mgła. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*waterproof* (ang.) — wodoodporny, tu: materiał wodoodporny. [przypis edytorski]

— Jest, *Miss Betsy*, jest prawie codziennie. A teraz, w tym dniu, dzisiaj, świeci na pewno, świeci roziskrzone w śniegach, ogromne, jaśniejące, cudowne... — mówił, zniżając głos — wpatrzony w dal nagłych, oślepiających przypomnień.

— Tęsknota — powiedziała cichutko i jakoś dziwnie smutno.

— Tak... Tęsknota, co jak sęp spada i wczepia się w duszę ostrymi pazurami boleści, co jak krzyk wydziera się z serca, z samego dna dawno strupieszonych dni, i jak orkan ponosi... Jak orkan. Dawno już, lata całe nie nawiedzała mnie. Myślałem, że tylko zmartwiałe cienie noszę w sobie jak to każde umarłe wczoraj. Ale to dzisiejsze nabożeństwo, kościół i śpiewy wskrzesiły na nowo struchlały pył czasów minionych, wskrzesiły...

— *Mr Zen*... — szepnęła, chwytając go pieścizliwie za rękę.

— Co, *Betsy*, co?

— Kiedyś zawieszysz mnie tam, pojedziemy do tych śniegów roziskrzonych w słońcu, na te słoneczne dni pojedziemy... Na te dni...

— Szczęścia, *Betsy*, na utęsknione dni szczęścia — zawołał namiętnie, obejmując rozgorzałymi oczami jej jasną głowę, tak że odwróciła się pełna szczęsnego lęku, wilgotnych blasków jutra owego; usta jej zadrgały i biała, podobna płatkom róży twarzyczka rozblęła, aż stała się jak poranek różowa i radością wonna, i jak pocałunek wymarzony kusząca.

Umilkli, spostrzegając nagle po tym wzruszeniu radosnym, że granitowe schody są dziwnie śliskie i strome, że jakieś przedziwne śpiewy jeszcze słyhać z katedry i że dookoła pełno wraz z nimi schodzących ludzi o surowych, karcących spojrzeniach.

Zaczęli śpiesznie schodzić na dół, na plac, w szare, smutne i błotniste tunele ulic, pod ciężkie, przytłaczające sklepienia, pod mgły, wiszące postrzępionymi, szarozłotymi łachmanami, pod te ruchome, lepkie, zimne i ohydne mgły, ociekające brudnym deszczem.

Z powodu niedzielnego dnia, ulice były prawie puste i głuche. Czerniały niskimi tunelami, przywalone mgłą, która — niby wata zdjęta z opatrunków — przeropiała<sup>22</sup>, unurzana w jakiejś strasznej cieczy, ociekająca, zwałała się gąbczastymi kłębami coraz niżej w ulice, zalewała domy, topiła w brudnej fali miasto całe.

Sklepy były zamknięte, wszystkie drzwi zawarte, trotuary prawie puste. A domy czarne stały posępne — jakby skostniała ciżba nędz kamiennych, pełnych bolesnego dygotu i milczenia, oślepych zgoła, bo wszystkie okna zasnutę były bielmami, a jeno gdzieśgdzie, na wyższych piętrach, zatopionych w mgłach, migotało jakieś zgubione światełko. Oczy rozpaczliwie błędziły w posępnej pustce mgieł, bo nawet barwy niezliczonych sztyldów połyskiwały wypitymi, martwymi farbami.

Powietrze było duszące, ciężkie, przesycone wilgocią, zapachem błota i rozmięklego asfaltu, a ze wszystkich niewidzialnych w mgle dachów, ze wszystkich balkonów, ze wszystkich sztyldów lały się rozprysnięte strugi wody; kapalo zewsząd, rynny dudniły głucho i ustawicznie jakby warkotem niezliczonych potoków.

— Którędyż pójdziemy? — pytał, rozpinając parasol.

— *Strandem*<sup>23</sup>, bo najbliżej.

— Tak pani pilno do domu?

— Zimno mi jest, to powód.

— Więc nie zaczekamy dzisiaj na ciotki?

— Choć raz zrobimy im niespodziankę, będą szukały nas i nie znajdą.

— Bez komentarzy i to zgryźliwych się nie obejdzie...

— Powiem, że to pana wina, acha!

— Dobrze, obronię się, ale to porządnie nudne to coniedzielne, sakramentalne, urzędowe niejako chodzenie do kościoła...

— Ach, jakie nudne, jakie nudne. Tylko niechaj pan tego w domu nie powie, wszystkie ciotki byłyby przeciwko panu! — wykrzyknęła wesoło, tuląc się do jego ramienia.

— Broniłaby mnie pani, co?

— Nie, nie, bo i ja jestem winna, i mnie to nudzi...

— To czemu pani uległa niemiłemu sobie i przykreemu przymusowi?

<sup>22</sup>*przeropiał* (daw.) — przesiąknięty ropą. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*Strand* — historyczna ulica londyńska, łącząca Westminster z City of London. [przypis edytorski]

— Bo się ogromnie boję ciotek. Ile razy chciałam się buntować przeciwko nim, to jak tylko ciotka Dolly spojrzy na mnie spod okularów, a ciotka Ellen powie: „Betsy!” — już po mnie, już ani słowa powiedzieć nie umiem; tylko płakać mi się chce i tak mi przykro, tak przykro...

— *Miss Betsy* to jeszcze wielki dzieciak.

— Ale kiedyś dorosnę, nieprawdaż? — pytała słodko. — Za rok to już z pewnością będę dorosła — dodała z uśmiechem, kryjąc twarz zarumienioną w mufkę<sup>24</sup>, za rok bowiem miał być ich ślub.

— O tak! Tak! — podchwycił wesoło, zaglądając jej w oczy. — Tak, za rok *Betsy* dorosnie, za dziesięć będzie już damą, za dwadzieścia poważną matroną, a za czterdzieści *Miss Betsy* będzie, jak *Miss Dolly*, starą, siwą, przygiętą, czytającą *Biblię* i niecierpiącą młodych, śmiechów oraz zabawy, nudną, pachnącą kamforą *Mrs*<sup>25</sup> *Betsy*!

— Nie, nie! Nigdy taka nie będę, nigdy! — protestowała żałośnie, przerażona prawie tą możliwością, o jakiej nigdy jeszcze nie myślała.

I on posmutniał również, bo, rysując tak daleki, żartobliwy obraz, drgnął nagle, cofnął się jakby w głąb siebie przed dziwnym majakiem, jaki mu zamigotał przed oczami: Oto *Betsy* szła naprzeciw niego... *Betsy* stara, przygarbiona, wynędzniała i wypelzła z urody, istny łachman ludzki; szła chwiejnie, wspierając się na kiju i patrząc w niego zapadłymi, żałośliwymi oczami niezgłębionego bólu.

Cofnął się z przerażenia, ale nim zdołał myśl zebrać, widziadło rozwiało się we mgły. Na trotuarze nie było nikogo, a przy nim, tuż, uwieszona u jego ramienia, szła *Betsy*, promieniejąca jak kwiat, *Betsy* — samo wiosniane tchnienie, młodość sama; aż uśmiechnął się do niej tkliwie, jakby wyrwany ze snu przykrego.

— Czego pan szuka? — pytała, bo rozglądał się podejrzliwie, nie wiedząc już, czy w nim się to zjawilo czy przed nim.

— Zdawało mi się, że ktoś znajomy szedł przed nami.

— Nie widziałam nikogo. A może ma pan podwójny wzrok? — szczebiotała wesoło, zaglądając mu w oczy.

— Może — wykrztusił z trudem, błędąc straszliwie w nagłym poczuciu grozy tego widzenia. Przejął go drętwiejący chłód zagadki, ale opanował się wnet i prędko, nieznacznie spadając jastrzębimi oczami na jej twarz i włosy. Wpełzał w samą głąb szafirowych oczu, ocienionych czarnymi rzęsami, obiegał jej smukłe, młode ciało, czyhał na jej ruchy, jakby mimo woli stwierdzając ich istnienie i tożsamość.

Wzdrygnął się z odrazą, bo tamta mara była wprost straszna i ohydna, ale mimo to nie mógł zaprzestać porównań ni zdusić w sobie jakiegoś dziwnego niepokoju i udręczenia, tak że nawet nie słyszał jej zapytań. Na szczęście na rogu *Fleet Street*<sup>26</sup> i jakiegoś zaułka zagroził im drogę tłum ludzi pod ruchomym dachem parasoli, skupionych dookoła jakiegoś rozkrzyzanego człowieka.

Przysunęli się bliżej — aż do wysokiej mównicy przenośnej, na której stał pod parasolem wysoki, czerwony i opasły człowiek. Przerzucając ustawicznie rozpięty parasol z ręki do ręki, krzychał ochryplym, a wielce namaszczone głośm coś w rodzaju kazania, gęsto przeplecione porównaniami biblijnymi i cytatami. Chwilami rzucał się naprzód z namiętym okrzykiem groźby i pozostawał jakby zawieszony w próżni, z rozłożonymi rękami... Wtedy występowała jakaś kobieta w czarnej sukni, z wielkim, zielonym piórem u kapelusza, biała i chuda; biła w olbrzymi tam-tam miedziany z taką siłą, aż tłum się cofał, a czworo dzieci w białych, powłóczystych szatach, przemiękłych<sup>27</sup> i obłoconych, ze skrzydłami u ramion, zaczęło śpiewać hymn piskliwymi głosami i tańczyć dokoła mównicy niby koło arki przymierza.

Kaznodzieja był założycielem nowej sekty, sekty „*Trwogi*”.

Przepowiadał bliski koniec świata, żądał powszechnej pokuty, rozdania wszelkich dóbr ziemskich, zburzenia miast, zaprzestania pracy i wyjścia w pola i lasy — na te dnie oczyszczeń ostatnich.

<sup>24</sup>*mufka* — futrzany rulon, chroniący dłoń przed zimnem. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Mrs* (ang.) — właściwie *mistress*; pani. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Fleet Street* — część historycznego traktu, łączącego City of London z Westminsterem. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*przemiękły* (daw.) — przesiąknięty wodą. [przypis edytorski]

Kazał dziko, śmiesznie, ale z porywającą siłą, nie zważając zupełnie na drwiących z niego słuchaczy. Ktoś rzucił mu w twarz zapalone cygaro, ktoś znowu chlusnął nań wodą, a reszta brutalnymi kpinami i głupim, zwierzęcym śmiechem wtórowała jego cytatom. Ale w końcu pokonał ich mocą swego zapału, zapanował nad nimi i okiełznał ich dusze. Przycichli jakoś, zaczęli się budzić; jakiś pijany padł na kolana przed trybuną i chciał się głośno spowiadać z grzechów, to znowu jakaś wzruszona kobieta otuliła własną okrywką<sup>28</sup> zziębłe, sine dzieci. Wielu już słuchało w skupieniu, a gdy czarna kobieta z zielonym piórem zaczęła chodzić z talerzem w ręku, posypały się pensy dość gęsto, ona zaś rozdawała w zamian sentencje z *Apokalipsy*<sup>29</sup>, drukowane na czerwonym papierze, i adresy kościoła, gdzie wierni gromadzą się na wspólne rozmyślenia.

Betsy rzuciła całego szylinga, co mimo ekstatycznego stanu dostrzegł błyskawicznie mówca, bo zaczął wołać z całych sił:

- Nawrócona, oto jedna z sodomitek<sup>30</sup>, nawrócona!
  - Chodźmy już, chodźmy! — prosiła, zażenowana spojrzeniami.
  - Chodźmy, bo jeszcze jeden szyling dany, a uzna panią za świętą.
- Wysunęli się z tłumu i szli prędko pustym trotuarem.
- Na tamtym rogu tak samo zbawiają — zauważył ironicznie.

Jakoż w istocie i tam — nieco w głębi czarnej i wąskiej uliczki, zatopionej prawie w mgłach coraz niżej spadających — rozlegał się krzykliwy, a namaszczony głos ulicznego kaznodziei. I tam skupiło się nieco przechodniów, i tam bito w tam-tam, śpiewano hymny, wyklinano grzech, nawoływano do pokuty, zbawiano, zbierano pensy i rozdawano wyjątki z *Pisma Świętego*, drukowane na jasnozielonych kartkach, co jak młode liście padały na błotny trotuar.

- Zbyt wielu jest tych zbawców świata!
- Pan myśli, że to sami oszuści i obłudnicy?
- Nie wiem; wiem tylko, że do otwarcia szynków trwa ich panowanie, bo później braknie słuchaczy i pensów.

- Dawno pan widział mojego brata? — zagadnęła niespodziewanie.
- Przed trzema dniami byłem u niego na seansie.
- Więc on wciąż zajmuje się spirytyzmem! — wykrzyknęła z oburzeniem.
- Przepraszam, nie wiedziałem, że się z tym ukrywa przed panią...
- Nie, nie, tylko myślałam, że już dawno zaprzestał, bo nic nam nie wspominał, nie... A i pan się tym zajmuje? — zapytała lękliwie.

- Ależ nie! Byłem na seansie, nie biorąc w nim żadnego bezpośredniego udziału, bo grałem, a właściwie zacząłem grać i usnąłem przy fisharmonii. Obudzili mnie, gdy już było po wszystkim.

- Pan w te rzeczy nie wierzy, prawda? — prosiła prawie.

- Przede wszystkim: nie wiem. Nic nie widziałem, nic nie twierdzę i niczemu nie zaprzeczam, bo się tym nie zajmuję — przypomniał sobie w tej chwili tę dziwną podwójność Daisy, ale nie wspominał o tym ani słowem, by nie straszyc Betsy.

- Joe już przeszło dwa tygodnie nie był w domu, a przecież niedługo kończy mu się urlop i musi wracać do pułku — skarżyła się cicho.

- O ile mówił, nie powraca już do służby.

Betsy stanęła zdumiona.

- Nie powróci? Boże mój, to się ojciec dopiero zmartwi! — jęknęła.

Mr Zenon jął z zapalem tłumaczyć przyjaciela, przedstawiając życie wojskowe w najczarniejszych barwach — jako niegodne człowieka tak bardzo wyjątkowego, jakim był Mr Joe, ale Betsy tylko kiwała smutnie głową.

- Co ojciec na to powie, co? Teraz życie w naszym domu stanie się nie do wytrzymania... Czuję, że ojciec pogniewa się z nim na śmierć... Nie przebaczy mu... Ciotki go wydziedziczą... Co on pocznie... Co ja teraz pocznę?

<sup>28</sup>okrywka (daw.) — narzutka. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>Apokalipsa — prawdopodobnie chodzi o *Apokalipsę Świętego Jana* (Ap), jedyną proroczą księgę *Nowego Testamentu*. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>sodomitka — mieszkanka biblijnej Sodomy, miasta znanego z rozwiązłości; osoba przejawiająca perwersyjne zachowania seksualne lub po prostu osoba bardzo grzeszna z chrześcijańskiego punktu widzenia. [przypis edytorski]

Nie mogła wstrzymać łez.

— *Miss Betsy*, a ja się już nie liczę zupełnie?

— Chwilami strasznie się boję, że i tobie, *Mr Zen*, obrzydnie w końcu nasz dom; znużą się ciotki, pogniewasz się z ojcem, znenawidzisz mnie... A bo ja wiem zresztą, co się stanie? Dość, że pewnego wieczoru pójdziesz i już cię nigdy nie zobaczę, nigdy!

Trwoga załkała w jej głosie.

— Niepotrzebne przywidzenia, bo jeśli nawet znużą mnie ciotki i pogniewam się z ojcem, to opuszczę wasz dom, ale z tobą razem, *Betsy*, razem i na zawsze — powiedział mocno.

— Razem i na zawsze! — wykrzyknęła radośnie, cała w ogniach wzruszenia. — O *Mr Zen*...

— Co, dziecko moje, co? — pytał serdecznie, widząc jej wahanie.

— Jak ja cię strasznie... Strasznie... Nie, nie mogę teraz, nie mogę... Później powiem, wieczorem...

Odwróciła twarz zawstydzoną.

Uśmiechnął się dziękczynnie i nie pytał; wiedział bowiem, jakie to słowo zapachniało na jej ustach rozedrganych i promieniało w rozbłyskach nagle oczach.

Szli już w milczeniu, oplątani w słodki rytm tych słów niewypowiedzianych, pełni cichej melodii kochania i głębokiej wiary w siebie.

Zapomnieli o poprzedniej rozmowie, nie czując już zimna, deszczu, mgieł ni posępności tego dnia straszego. Szli jakby przez nagle rozkwitłe łąki, pełne wiosnianych, kwietnych uniesień.

Przez zielone, wonne, rozśpiewane gaje miłości szli, przez oczarowań i zachwyków niepowrotne chwile zupełnego szczęścia.

Milczeli, bo droga i upragniona im była ta cisza zewnętrzna. Kryli się w niej przed sobą jakby w gąszczu płomienistym, jakby w świetlanej mgłę wstydliwego lęku — by mówić spojrzzeniami, dotknięciem rąk, westchnieniem pełniejszym namiętnych brzmień niżli wyznania, uśmiechem pełnym pocałunków, obietnic i pragnień, pełnym palącego waru<sup>31</sup> krwi, i tym czymś zgoła niepochwytym, świętym i upajającym, co było jakby wonią dusz rozmodlonych.

*Betsy* często obejmowała jego głowę namiętnie całującym spojrzeniem i, choć niepochwycona, odwracała oczy spłoszone, ciężkie przelazaniem i słodyczą. A on, przyciskając silnie jej ramię, przychylił się i drapieżnymi, kradnącymi źrenicami spadał na jej usta płonące.

Czasem dźwięk jakiś — który nie był wyrazem, nie był mową nawet — błąkał się między nimi przyczajonym, a tak zrozumiałem drganiem, że przyciskali się jeszcze silniej ramionami, kłanili głowy do siebie, oddychali ciężko, przystając bezwiednie na mgnienie obezwładniającej radości czucia się przy sobie.

— Dawno pragnąłem takiej chwili, czekałem na nią... — rzekł głośno.

— A ja marzyłam o niej codziennie — szepnęła tak cicho, że raczej oczami porwał z jej ust te słowa, niż słyszał.

Wchodzili na skwer *Trafalgarski*<sup>32</sup>, gdy mgły, wiszące dotąd nieruchomo i jak obłok zastygłe, skłębiły się nagle i niby morze uderzone huraganem jęły się kołysać, burzyć i rozpadać w bryzgi; lały się kaskadami, płynęły falami, rozbitymi na miazgę, i spadały szarym, nieprzeniknionym pyłem tak gęsto, że w parę chwil plac cały był przysłonięty.

Olbrzymia kolumna pomnika *Nelsona*<sup>33</sup> i te srogie, potworne lwy granitowe zaledwie majaczyły nikłymi, rozpieczętowanymi konturami w sypkiej, rozedrganej, zielonawej szarości.

Przepadły wnet domy, przepadły ulice, zginęły drzewa, cały plac utonął w brudnym odmieć; stęchła wilgoć lepkiem, duszącym tumanem wypełniała wszystko.

Miłość, Milczenie

Deszcz

<sup>31</sup>war (daw.) — wrzątek. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>skwer *Trafalgarski* — *Trafalgar Square*, historyczny plac w Londynie; po polsku nazwa tłumaczona jest, jeśli w ogóle, raczej jako „plac *Trafalgarski*”. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>pomnik *Nelsona* a. *kolumna Nelsona* — pomnik na londyńskim *Trafalgar Square*, upamiętniający admirała *Horatio Nelsona* (1758–1805), poległego w bitwie pod *Trafalgarem*. [przypis edytorski]

Czarne, wyniosłe kolumny portyku National Gallery<sup>34</sup>, obok których przechodzili, rysowały się słabo — jak pnie przegniłe, w mętnej i skłębionej wodzie zatopione.

Na dwa kroki nie było widać. Czasami rozlegały się kroki tuż prawie, a człowiek pozostawał niewidzialny lub przesuwiał się cieniem ledwie dojrzanym. To znów powóz jakiś przejeżdżał, podobny do potwornego kraba, sunącego środkiem topieli niezgłębionej, i ginął nie wiadomo gdzie.

Jakieś stępione odgłosy kroków, ogłuchłe słowa, jakieś błędne rozmowy i martwiejące dźwięki, nie wiadomo przez kogo wywołane i skąd płynące, błędziły we mgłach, trzepocząc się bezdźwięcznym i niepokojącym szelestem.

Szli wolniej, by nie błędzić w tej pustce nieprzeniknionej lub nie wpaść pod konie na przejściach ulic; ale dziwnie posmutnieli oboje.

Mgła przenikała ich chłodem i rzuciła posępny cień na dusze. Czarowne gaje uniesień szczęśliwych rozwiały się nagle w szarych i bolesnych ciemnościach, przygasły im oczy i cichy, tęskny żal owładnął obojgiem.

Daleko już byli od siebie, daleko. Dusze się rozbiegły jak ptaki spłoszone i płynęły samotnie obcymi, zadumanymi dalami; niosły się na skrzydłach naglej, niewytłumaczonej trwogi, na skrzydłach tęsknoty płynęły.

— Gdyby można dostać konie, bo mi tak zimno — szepnęła nieśmiało.

— Na Waterloo<sup>35</sup> będą, tam jest stacja!

— Ale pan wieczorem na obiad przyjdzie, prawda? — prosiła słodko.

Nie zdążył odpowiedzieć, cofając się naraz gwałtownie, bo jakby spod ziemi, tuż przed nimi, twarzą w twarz, wychyliła się z mgieł *Miss Daisy* z jakimś wysokim człowiekiem, tak że nim zdążył się uklonić, już przeszli.

Obejrzał się trwożnie, ale tylko niewyraźny zarys majaczył i odgłos kroków rozlegał się głucho.

— Pan ją zna? — zapytała ściszym i nieco drżącym głosem.

Nie od razu odpowiedział. Zapatrzył się w zapaloną właśnie latarnię, w rozedrgane kolisko czerwonego światła, obrzeżonego zieloną obręczą i gęstym, ruchomym kołem mgieł, tak że płomień był zaledwie punktem dla oczów.

— Znam ją nieco — odrzekł z trudem, przypominając sobie jej pytanie — mówiłem z nią parę razy, pamiętam, jak wygląda. To wszystko, co wiem o *Miss Daisy*.

— Dziwne, wymyślone imię.

— Nie znam jej nazwiska, tym imieniem wszyscy znajomi ją nazywają.

— A ten człowiek, który z nią szedł?

— To Mahatma Guru, Hindus.

— Hindus!

— Autentyczny. Mędrzec niesłychanie ciekawy; przyjechał do Europy, żeby się przyjrzeć ludziom i kulturze naszej.

— Ja gdzieś widziałam jej twarz...

— Prawie nieprawdopodobne, bo zaledwie od kilkunastu dni jest w Europie.

— Tak, przypominam ją sobie dobrze. Widziałam ją w muzeum; ciągle się przypatrywała panu, to zwróciło moją uwagę.

— Mnie się przypatrywała? — pytał zdumiony.

— I to ze szczególną jakąś uwagą. Często ją pan spotyka?

— Mieszkamy przecież w jednym *boarding house*<sup>36</sup>.

— Czy i Joe ją zna?

— Właściwie to u niego na seansie widziałem ją nieco bliżej.

— Służyła mu za medium pewnie, bo ma twarz zmory albo wampira.

Nie odpowiedział, dotknięty przykro twardym tonem jej głosu.

— Ma dziwną twarz, przerażającą, choć tak piękną.

— Dlaczego? Nie zauważyłem w niej nic przerażającego.

— Nie chciałabym jej spotkać — wzdrygnęła się trwożnie.

<sup>34</sup>*National Gallery* — galeria sztuki w Londynie, znajdująca się w pln. części Trafalgar Square. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*Waterloo* — tu: London Waterloo, stacja kolejowa w Londynie. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*boarding house* (ang.) — rodzaj pensjonatu, w którym lokatorzy wynajmują pokoje nawet na kilka lat. [przypis edytorski]

— Betsy! — szepnął tkliwie.

Dziewczyna podniosła na niego przygasłe i wylękłe oczy, ale milczała, wzdychając niekiedy. A on nie wiedział, co mówić, nie mogąc ukryć bolesnego niepokoju. Żał mu jej było, kochał ją przecież szczerze i głęboko, przed chwilą czuł się tak szczęśliwy i spokojny, przed chwilą tak mu dobrze było z nią iść, dobrze mówić, dobrze kołysać się w rozmazaniu, dobrze spoglądać na jej śliczną twarzyczkę; i tak błogo, tak szczęście<sup>37</sup> było czuć jej miłość. A teraz?

Teraz pilno mu było rozstać się z nią. Niecierpliwiła go milczeniem; chciałby ją pozegnać i zostać sam, ale nie śmiał. Chciał się zmusić do dawnego stanu — nie potrafił.

Opuściły go wnet wszystkie chęci. Ochłódł, zapominał prawie o Betsy i rwał się myślami za tamtą, za Daisy. Odnajdywał ją w skłębionych, ciężkich mgłach i — jak cień przyczajony, a niedostępny — włókł się za nią z bolesnym skurczem serca, ciągnięty jakąś siłą niezwalczoną trwożnego uroku, strachu nieledwie.

Ale przemógł się wreszcie i zaczął mówić prędko i dużo, by zagłuszyć własny niepokój. Śmiał się jakoś nienaturalnie, zaglądał jej w oczy zbyt natarczywie, nawiązywał usilnie porwane nici, rozdmuchiwał przygasłe ognie; uciekał wprost do niej całą mocą duszy strwożonej, wszystką siłą rozbłysłego nagle uczucia, aż rozchmurzyła twarz i poczuła się jak dawniej ufna i prawie tak samo szczęśliwa, prawie tak samo...

Zatrzymał jednak skwapliwie pierwszy napotkany pusty powóz i Betsy wsiadła.

— Wieczorem czekamy na pana z obiadem.

— Przyjdę, cóż bym robił bez tych godzin.

— Mnie one bardziej są potrzebne, bo czymże bym żyła cały długi tydzień...

— I ja czekam na nie z upragnieniem, i ja! — zawołał szczerze.

— Zen!

— Betsy!

Skrzyżowały się słowa, spojrzenia i gorące, namiętne uściski rąk.

Za chwilę powóz zniknął w mgłę, słychać było tylko głuchy tupot konia i miarowe, głośne wołanie: „Hep! Hep! Hep!”.

Mr Zenon poszedł spieszenie w kierunku Green Parku<sup>38</sup> i wkrótce jakby zatonął w zamglonych i pustych przestrzeniach. Tylko gdzieś tam, jak widmo błędne, wychylało się z mgieł drzewo jakieś samotne nikłymi zarysami; czasami klomb jakiś lub grupa drzew olbrzymich majaczyła rozwianym pióropuszem, jakby słupami dymów, a od czasu do czasu jawił się nagle wyrosły człowiek i przepadał wnet w odmęcie niby ryba przenikająca topiel.

Milczenie niezgłębione i szara, nieprzenikniona pustka go ogarnęły, krople wody sączyły się z mgieł, szmerząc po niewidzialnych liściach i krzewach z nużącą monotonością, a niekiedy jakiś głos stłumiony, daleki przeleciał nad nim w rozpryskach dźwięków i zapadały po nim długie chwile zupełnej ciszy i pustki. Przyśpieszał kroku, bo zimno mu było; mgła przejmowała wilgotnym, obrzydliwym chłodem, a zresztą ciekaw był, czy zostanie dzisiaj przy śniadaniu Daisy. Od dnia seansu nie widział jej; nie pokazywała się przy stole, mówiono, że chora.

Te kilka dni spokojnych rozmyślań i zajęć zwykłych sprawiły, że już o tym podwójnym widzeniu jej myślał jak o halucynacji. Nie mógł już nawet skupić rozproszonych szczegółów, więc spychał pamięć tej sceny na samo dno świadomości — między rzeczy do zapomnienia.

Zaprzestał dociekań, zapomniał już nawet po trosze o wszystkim — rad wielce, że pozbywa się lęku tej ciemnej, nierozwiązanej zagadki. Wzrastała natomiast w nim upórczywa, niepokojąca ciekawość bliższego poznania samej Daisy.

Często myślał o niej, a jeszcze częściej, bo już wprost bezwiednie, szukał sposobności zobaczenia jej. Nie pokazywała się jednak wcale.

Próbował rozmawiać o niej, ale i to mu się nie udało — nie miał z kim. Joe od samego seansu nie zjawiał się przy stole i wciąż go nie mógł zastać w mieszkaniu, a inni milczeli lub, co dziwniejsze, zbywali go nic nieznaczącymi półsłówkami. Widział po ich twarzach,

<sup>37</sup>szczęście (daw.) — szczęśliwie. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Green Park — królewski park w Londynie. [przypis edytorski]

że jakiś lęk ich krępuje, że wszyscy podczas rozmowy nieznacznie, ukradkowo spoglądają na Mahatmę i prędko, a trwożnie, milkną.

Uderzyła go ta łączność niespodziana, ale nie umiał jej wytłumaczyć.

Tak przeszły mu całe trzy dni pytań bez odpowiedzi i rozmyślań błędnych, aż znużyło go to w końcu. Zaprzestał pytać, nie mogąc jednak zaprzestać rozmyślać. Ale w cieniu tych myśli rozrastał się z wolna niepokój, jakby przeczucie przyszłych, niejasnych jeszcze, dalekich rzeczy — nieznanymi, ale już stającymi się w głębiach nadchodzącego jutra...

Dlatego też to spotkanie nieoczekiwane i tak dziwne rozżarzyło w nim tę dziwną, dręczącą tęsknotę.

Nie, to nie była tęsknota podobna tej, jaką czuł za Betsy, nie widząc jej dni parę — tęsknota miłosna za ukochaną. To było coś stokrotnie potężniejszego i zgoła niezwyczajnego wołą ludzką, coś jak tęskne i nieprzeparłe ciążenie asteroid, błędzących w nieskończonościach za słońcami, lub jak nurt rzek, niepowstrzymanie płynących do oceanów.

Jeszcze nie widział tego, a już ulegał tym prawom nieśmiertelnym.

Przebiegał szybko park. Leciał niewidzialnymi ulicami, przez jakieś place, zgubione we mgle, przez jakieś nieznanne, pełne przytłumionej wrzawy zaułki, instynktem odnajdując drogę wśród coraz gęstszej ciemności, bo już teraz mgławicowo-obłoczne tumany przesuwały się jakąś twardą, czarniawą żółtością, bijącą strugami o ziemię, tak że przedzierał się przez gąszcz pierzastą niezliczonych pasem i włókien, jakby na wskroś opadających wód, marznących na leniwym, a spienionym brzegu...

Mieszkał jeszcze za Regent's Parkiem<sup>39</sup>, na długiej i cichej Avenue Road<sup>40</sup>, ale tak przywalonej mgłami, tak utopionej w pienistych falach, że z jakimś trudem odszukał swój *boarding house*.

Przebrał się pośpiesznie i poszedł do jadalni.

Wsunął się cicho na swoje miejsce i trwożnie powiódł oczami.

*Miss Daisy* nie było, krzesło jej stało puste.

Pokój był wielki, podłużny, wyłożony ciemnym drzewem, o potężnych belkowaniach, poczerniałych jakby od starości, przytłaczających swoim ciężarem posępnym tak, że mimo elektryczności, płonącej w pęku złotych storczyków, boleśnie splątanych i opadających z sufitu, mroczno było i niewymownie ponuro. Długi stół pośrodku skrzył się i połyskiwał zastawą, a nad białawo-martwym polem obrusa pochylało się kilkanaście głów, ledwie widocznych na ciemnym tle ścian.

W rogu pokoju, od wejścia, ogromny komin sięgał aż do belek; kupa przepalonych głowni buchała niekiedy krwawym płomieniem, rozsypując rozedrgane, żywe blaski na wytarty dywan, i żarzyła się, dogasając z wolna.

A na wprost wejścia, całą ścianę szczytową zajmował olbrzymi witraż. W głębokim mroku poczerniałych purpur, wśród zgaszonych fioletołów i stopionych, przycichłych barw majaczyły jakieś twarde obrzeża szat, jakieś wyblakłe zarysy postaci, zatarte ruchy — to jakby zatopione w cieniach oczy, to rozpostarte dłonie tliły się złotawo, a przez wąskie drzwi z boku zaglądał bladą, chory dzień i widać było szeroką, oszkloną galerię, pełną wysmukłych palm, i zielone, przyćmione mgłami gąszcze krzewów, spośród których wytryskiwał szmerzący pióropusz wody.

Jedli w głębokim milczeniu. Służba przesuwała się cicho, bez szelestu; nikt nożem nie trącił o talerz, nie poruszył się zbyt swobodnie, a jeśli jakie słowo padło głośniejsze, wtedy wszystkie oczy podnosiły się naraz i biegły trwożnie pod witraż, gdzie siedział samotnie Mahatma Guru.

Milczenie zapadało jeszcze głębsze, tylko wodotrysk bełkotał monotennie, a niekiedy jakiś krótki, gniewliwy pomruk rozlegał się z oranżerii.

Zenon jadł, nie patrząc, co mu podają, i nie wiedząc prawie, co mu chwilami obok siedząca gospodyni mówi. Przytakiwał, śledząc bezwiednie ciche ruchy kotów, bawiących się na jej kolanach, i nasłuchując z drżeniem niecierpliwości najlżejszych szelestów od strony korytarza.

Tęsknota

Cisza, Milczenie

<sup>39</sup>*Regent's Park* — królewski park w Londynie. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*Avenue Road* — historyczna ulica w Londynie, znana z wysokich cen posesji. [przypis edytorski]



Puste krzesło *Miss Daisy* stało na wprost niego, po drugiej stronie stołu. Na poręczy wisiał czerwony szal indyjski, pocięty fantastycznymi, czarnymi liniami jakichś zagmatwanych rysunków; często spoglądał na niego, ale jeszcze częściej wodził oczami po pokoju, jakby wylupując każdą twarz z osobna ze zmroku i milczenia, nie spostrzegając nikogo.

— Dzień dobry, byłem przed chwilą u ciebie! — rzucił przez stół *Mr Joe*.

— Spóźniłem się nieco z powodu mgły...

— Widziałeś *Betsy*? Jakże tam ciotki?

— *Betsy* widziałem, ale ciotek udało mi się dzisiaj nie spotkać.

— Byłeś u nas w domu?

— Nie, dopiero wieczorem pójde. Tam z wielką niecierpliwością czekają na ciebie, *Betsy* jest pełna obaw.

— Pójde dzisiaj z tobą, chociaż nie bardzo mi pilno do nowej kłótni.

— Jak chcesz.

Ucichli, bo z oranżerii buchnął krótki, żalostny skowyt i ostry brzęk łańcuchów. Koty się najeżyły groźnie, wyginając grzbiety, aż je *Mrs Tracy* ogarnęła strwożonymi ramionami.

— *Bagh!* — rozległ się rozkazujący głos *Mahatmy*.

Odpowiedział mu przeciągły, jękliwy i przytłumiony ryk, a w drzwiach oranżerii zamajaczył falisty rys czarnej pantery, przesuwał się niedosłyszalnie; zielonawe oczy i białe kły zamigotały przez mosiężne kraty kagańca. Podniosła dumnie głowę, ale uderzona oczami *Guru* padła na brzuch i przypelzła do niego, nie śmiać podnieść rozgorzałych ślepiów i bijąc się po bokach puszystym, długim ogonem. Rzucił jej jakiś dźwięk, bo podniosła się leniwie, przeciągając się lubieżnie pod jego głaszczącą ręką. Ziewnęła przeciągle i jęła cicho, jakby czając się, bez najmniejszego szmeru, przesuwać się dokoła stołu niczym czarny, pelzający cień.

Tropiła jakieś ślady z trudem odnajdywane, węsząc w wielu miejscach, a znalazłszy się przy szalu *Miss Daisy*, zaskomlała radośnie, skacząc na krzesło, i wsparta łapami o brzeg stołu, spojrzała w twarze siedzących, pobladła nieco i przestraszona, mimo iż znano jej łagodność. Zaledwie chwilę to trwało, bo *Bagh*, zniżając z wolna głowę, wpijała się straszonymi oczami w *Zenona*. Nie poruszył się z miejsca; nie mógł, czuł się jak sparaliżowany. Głowa mu nieco drgała, ale nie odwrócił źrenic od tych palących, rozżarzonych karbunkulów<sup>41</sup>, przysłoniętych szmaragdową mgłą, które, zwięzając się, świeciły coraz potężniej i wżerały się w niego jak ostre, szarpiące kły.

— *Bagh!* — pantera drgnęła na ten głos, wyprężając czarny grzbiet w kabląk. Wspierała się przednimi łapami tak potężnie o stół, że dygotały jej wszystkie mięśnie, jak napięte straszenie i z trudem powstrzymywane sprężyny; stół również drżał od naporu i szczękały o siebie naczynia.

— *Bagh!* — krzyknął surowo *Mahatma*. Pantera zwinęła się wtedy i jednym, potężnym susem skoczyła mu do nóg.

Odetchnęli wszyscy, bo w martwym milczeniu oczekiwano, że stanie się coś strasznego, więc z ogromną ulgą przypatrywano się panterze, najspokojniej zjadającej olbrzymie kawały chleba z rąk *Guru*.

— Może się kiedyś stać niebezpieczna — zauważył ktoś.

— *Bagh* nikogo nie skrzywdzi, łagodniejszą jest niżli koty *Mrs Tracy* i mądrzejsza od wielu, wielu ludzi — objaśniał *Mahatma* łagodnie.

— Miałem to dziwne uczucie, że się rzuci na mnie — powiedział *Zenon*.

— Nie jest zbyt groźna, ma kaganiec przecież i spilowane pazury.

— Tak, ale samą siłą skoku mogłaby zabić. Zresztą dosyć już mam samego jej wzroku; straszny... — wstrząsnął się nerwowo.

— I dlaczego właśnie pana sobie wybrała?

— Być może dlatego, że siedzę naprzeciw krzesła jej pani, że byłem najbliżej. Trudno przecież czymś innym tłumaczyć...

— A jednak musi być w tym coś innego, musi — upierał się siwy, o żółtej i pomarszczonej twarzy pan, siedzący za gospodynią.

<sup>41</sup>*karbunkul* (daw.) — szlachetny kamień koloru czerwonego. [przypis edytorski]

Zenon roześmiał się głośno, tak dziecinne wydało mu się to przypuszczenie i tak wprost zabawne.

— Ja twierdzą jednak, że w tym tkwi coś — zawołał uporczywie.

— Pewnie, jakaś tajemnica bytu, jakaś transcendentalna zagadka! — rzucił złośliwie i niechętnie.

— Wszystko jest tajemnicą i wszystko zagadką — wygłosił surowo.

— Czy *Miss Daisy* była wcześniej na śniadaniu? — spytał Joe.

— Nie, wcale nie była, je u siebie — szeptała *Mrs Tracy*, tuląc do szerokich piersi wylekłe jeszcze i jakby na wpółmartwe z przerażenia koty.

— Może słaba? — pytał, spostrzegając żywszy błysk w oczach Zenona.

— Zdrowa, tylko zajęta listami; dostała dzisiaj z Kalkuty<sup>42</sup> całą pakę.

— Dużo osób było u *Mr Guru*?

— Cała procesja. Nikogo jednak nie przyjął; kazał tylko przez służącego oświadczyć, że on przyjechał do Europy oglądać i pytać, więc niechaj czekają na zapytanie — odpowiedziała, zniżając głos.

— Tak, niechaj czekają, aż zapytam! — potwierdził niespodziewanie *Guru*.

— Odpowiedź dumna i zarozumiała — rzucił Zenon niechętnie.

— Ci, którzy wiedzą, nie rzucają słów na próżno i byle komu.

— Nikt nie ośmielił się twierdzić, że wie, nikt! — zawołał porywczo, dotknięty jego pobłażliwym uśmiechem, i podniósł się z krzesła; za nim powstali wszyscy, przechodząc w milczeniu do sąsiedniego *reading-roomu*<sup>43</sup>.

— Panie, myślałem o panterze i dochodzę do wniosku, że...

— Ależ panie, chociaż zawsze podziwiam jego głębokie wnioski, chętnie ich słuchając, ten właśnie nic mnie nie obchodzi, nic! — odpowiadał, z trudem powstrzymując zniecierpliwienie, tak że żółty pan spojrzał zdumiony i odszedł śpiesznie w drugi kąt pokoju; a Zenon tak był dziwnie podniecony, że rad by był nawet jakiejś sprzeczce, więc wprost wyzywająco spoglądał na Mahatmę, gdy ten, odprowadziwszy panterę do klatki, wchodził ostatni do pokoju, zasiadając przy środkowym, okrągłym stole, na którym już służba ustawiła herbatę.

Ale Mahatma nie patrzył na nikogo, zajęty pić herbaty. Część towarzystwa zasiadła obok niego, a reszta rozsypała się po wielkim pokoju, urządzonym z nadzwyczajną starannością — pełnym stolików do pisania, osłoniętych ekranami, głębokich foteli, biegunowych krzeseł, zacisznych kątów, oddzielonych parawanikami, i wykwintnych drobiazgów. Jasno było i cicho; gruby dywan tłumil kroki, zasłonięte ciężkimi kotarami okna nie przepuszczały odgłosów miasta, tak że tylko niekiedy brzękliwe drgania kandelabrow, stojących na kominku, mówiły, iż gdzieś niedaleko jest ulica i przejeżdżają powozy, a zielonawe ściany, rozjaśnione bukietami kwiatów, malowanych akwarelą, działały dziwnie uspokajająco.

Zenon usiadł z Joem przed kominkiem, wsparł nogi o kratę i błędził oczami po ognisku, nasłuchując jednak wciąż z uwagą.

— Wolałbym pić herbatę u ciebie w mieszkaniu.

— Zaczekajmy jeszcze chwilę, może przyjdzie — odparł, odwracając się, bo służący mówił coś cicho do Mahatmy, który skinął głową.

*Mrs Tracy* krążyła po pokoju, rozlewając niekiedy herbatę w nadstawione filiżanki; jej trzy białe koty nieodstępnie chodziły za nią.

Rozmowy wlokły się leniwe, rwały się co chwila — nikomu się mówić nie chciało, senność czy znużenie owładnęła wszystkimi.

Jakaś wysoka, chuda pani siadła do fisharmonii, stojącej w rogu, ale wzięwszy kilka taktów, odeszła znudzona.

Naraz Zenon pochylił się do Joego i szepnął drwiąco:

— Cóż to, nawet Mahatma dzisiaj nie naucza i nie wyklina nas i kultury naszej!

— Boże, dałbym całe życie, dałbym mękę duszy najkrwawszą, żeby ten człowiek się mylił, żeby jego słowa nie były prawdą, prawdą trującą i gorzką jak życie — szeptał boleśnie Joe.

<sup>42</sup>*Kalkuta* — miasto w Indiach, stolica stanu Bengal Zachodni. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*reading-room* (ang.) — czytelnia, biblioteka. [przypis edytorski]

— Także to bronisz swojego dziedzictwa, Europejczyku?  
— Rozszarpałbym je jak pantera, by tylko móc ze struchlałych wnętrzności wyrwać ich ducha trupiego i tchnąć w niego nowe, święte, prawdziwe człowiecze życie.

— I to mówi ten, który do niedawna sam roznosił śmierć i nienawiść...

— Ilem śmierci zadał, tyle razy dusza moja umarła w przekleństwie, więc niechaj po stokroć będą przeklęte dzieła wojny!

— Znam ten ton, znam. Poprzez ludy i wieki płynie jak ptak żalony, błędzący przez otchłanie zatwardziałości, niedostrzeżony przez nikogo i zbędny śmiertelnym, zbędny! — powtórzył nagle z wezbraną goryczą.

— Nie, nie, słyszał go Zoroaster<sup>44</sup>, dostrzegli prorocy, ale dopiero w hinduskiej duszy usłął swoje gniazdo nieśmiertelne i tam — w dżunglach — żyje do dzisiaj i panuje litośnie.

— Więc idź, głóś pokutę za wczoraj i nowego jutra zmartwychwstanie — powiedział na w pół ironicznie, a na w pół boleśnie Zenon.

— Wiem o tym, że ktoś powinien powstać i ponieść światu zbawcze słowo; powinien, nim utonie wszystek w zbrodni...

— Widzę, żeś się zaraził od Mahatmy świętą gorączką.

— Nie żartuj, jego bowiem mądrość była mi zwierciadłem, w którym po raz pierwszy zobaczyłem siebie w całej istotnej nagości, siebie i nas wszystkich, nas, panów świata, nas, wybranych i jedynych, nas, władne, głupie i oszalałe z pychy bydlęta, nikczemne stado dusz strupieszających, hordę zbrodni, zanurzoną w bagnisku hańby, niewolników *Zła*, czcicieli *Przemocy*, wyznawców *Złota!* — szeptał wyraźnie, prędko; pałace, straszne słowa padały jak gromy, zabijały, rozdzierając duszę aż do dna przerażenia.

Zenon cofnął się nieco, uderzony jego wzrokiem, pełnym łez zakrzepłych z bólu, błyskawicznych łśnień i takiej mocy żalu, że poczuł, jak wszystkie nędze ludzkie uderzyły w tę duszę tkliwą i żebrzą ranami zbolalymi o miłosierdzie, wołają wszystkimi jękami o litość; że wszystek świat mieści się w jego wątlej piersi, wzbiera tam, huczy i miota się orkanem wszechmiłości i głodnym wiecznie łaknieniem dobra.

Odwrócił się jednak i powstał.

Do pokoju wchodziła *Miss Daisy*; skinieniem powitała wszystkich, siadając tuż przy Mahatmie i rozglądając się wokół.

Prawie upadł z powrotem na krzesło, nie odrywając już oczów od niej. Słowa Joego brzmiały mu jak dźwięki dalekie i nierozeznane. Naraz jakby się zapadł w błyskawicę, tak iż porażone olśnieniem oczy nie widziały już nic prócz światła jej bladej, cudownej twarzy, owianej wzburzoną wichurą włosów niby z miedzi rozłożonej, prócz jej oczów podobnych do ogromnych kul najgłębszego i najwyższego szafiru, uwiecznych w łuku brwi, przecinających ciemnym ostrzem całe czoło — białe i wyniosłe.

— Zen! — szepnął mu do ucha Joe, oprzytomniony jego nagłą nieruchomością.

Nie odpowiedział; poszedł automatycznie do stołu, przysunął sobie krzesło, nalał herbaty i znowu oczy w niej utopił.

Zesliznęła się po jego twarzy zimnym jak ostrze szafirowe łśnieniem spojrzenia, rozmawiając z *Mrs Tracy*, stojącą przy niej.

Śluchał uważnie, nie mogąc jednak skupić w sobie dźwięków i zrozumieć; był jakby we śnie autohipnotycznym, nie wiedząc, co się z nim stało — obecny, a zgoła przepadły w mgławicach naglej niepamięci wszystkiego, tak że poruszał się w jakiejś próżni głuchoj i ciemnej, uczepony tylko jej oczów. Reszta wypęzła z niego jak woda z rozbitego czerepu, była tylko koniecznością nieświadomą krążenia w orbicie *Daisy*, za jej zjawą ucieleśnioną.

Ale nikt nie spostrzegł jego stanu, bo zachowywał się normalnie: rozmawiał i odpowiadał, nie wiedząc o tym zupełnie, snąc w odruchu przyzwyczajenia, zwykłym automatyzmem organów.

Przesiadł się bliżej *Daisy*, tak że owionął go zapach fiołków, jakich używała, a każdy szmer jej ruchów przejmował go dziwnym drżeniem.

Rozmowy zaczęły się ożywiać, nuda ustępowała z wolna. Suchy i żółty pan spierał się bardzo gorąco z Joem, kilka pań przeniosło się spod ścian, obsiadając kominek, a kilku

<sup>44</sup>Zoroaster a. Zaratustra — perski kapłan, prorok i reformator religijny, żyjący ok. 1000 r. p.n.e. [przypis edytorski]

mężczyzn obstał Joego, przysłuchując się sporowi. Nawet Mahatma rozjaśnił twarz — jakby ze starej kości słoniowej uczynioną; gładził białą brodę i coraz częściej brał udział w rozmowie. Tylko *Mrs Tracy* spacerowała wraz z kotami w dalszym ciągu, a Daisy, milcząc, przeglądała jakieś pismo.

— Widziałem panią na skwerze Trafalgarskim — ozwał się niespodziewanie Zenon, lecz jakby to mówił nie on, tak obcy miał głos; poruszał ustami, ale twarz nie wyrażała nic, a spojrzenie było puste i również obce słowom.

— Przechodziłam tamtędy, ale w takiej mgłę trudno było rozróżnić jakakolwiek twarz — odpowiedziała, nie podnosząc głowy.

— Że pani nie zbłądziła... Londyn podczas mgły to otchłań, łatwo mogą się zgubić nawet ci, którzy go znają — mówił spokojnie, cicho prawie; ale to znowu był nie on, to były tylko te myśli, jakie w nim powstały po jej spotkaniu, które wypełzły z jakiejś ciemni zapomnianej, zaczęły się same wysnuwać, niby bytami odrębnymi się stając, i wionęły na świat dźwiękiem zupełnie mu obcym i treścią zgoła niezrozumianą.

— Chodziłam z dobrym przewodnikiem! — odparła po chwili, podnosząc z wolna głowę i spoglądając mu prosto w oczy tak strzelistym, przenikającym i potężnym spojrzeniem, że cofnął się jakby pod uderzeniem.

Ten błysk rozdarł w nim ciemności, rozświetlając budzącą błyskawicę na wskroś duszy odrętwiałej, tak że nagle powstał w sobie — wszystek żywego czucia i myśli pełny — spajając bezwiednie chwilę obecną z tamtą, przeżywaną przed kominkiem. Ale to, co było później, runęło gromem w głąb nieznana, rozpadło się w struchlały pył zapomnienia; nie wiedział wprost, że istniało.

Poczuł się dziwnie spokojny, rzeźwy i sobą władający. Przysłuchiwał się chwilę rozmowie głośniejszej, patrzył na Mahatmę, który powstawał właśnie i szedł do Joego, a zniżając głos, mówił do Daisy:

— Wie pani, pantera o mało się na mnie nie rzuciła.

— Prawie nie do wiary, łagodna jak dziecko; chyba szukała mnie, stąd mogło się wydawać, że chce się rzucić.

— Siadła na pani szalu i tak straszliwie patrzyła, prężąc się do skoku, że, gdyby nie rozkaz Guru, na pewno rzuciłaby się na mnie.

— Przepraszam pana bardzo za chwilę przerażenia, bardzo.

— Ależ nie należy mi się przepraszanie, ponieważ zupełnie się nie bałem.

— Choćby i najkrótsza chwila obawy przyjemna nie jest.

— Niestety, nie miałem i takiej chwili. Upośledzony jestem po prostu, tak że nie rozumiem nawet u innych uczucia strachu, bo go nigdy nie doświadczyłem.

— Nigdy? — pytała, ożywiając się nieco.

— Naturalnie mam na myśli strach przed jakimikolwiek niebezpieczeństwami materialnymi, takich nie doznaję nigdy.

— A inne? — Usta jej drgnęły, odsłaniając sznur zębów białości olśniewającej, pierś jej się podniosła w szybkim, tłumionym wzburzeniu.

— A innych nie znam, więc i nie wiem dotąd o ich istnieniu.

— Muszą być... Istnieją na pewno... Bywają takie, o jakich i sny nie dają wyobrażenia, najbardziej dręczące sny.

— Przypuszczam, że w zamętach dusz, w chorych mózgach mogą brać początek przerażające i straszliwe zjawy.

— Nie tylko tam ich źródło, mogą bowiem trwać przyczajone i obok nas, w świecie żywym, tylko że istniejącym daleko poza promieniem naszego materialnego widzenia, w polu drugiego wzroku.

Głos jej ścichł i zadrgał szeptem trwożnym. Pochyliła głowę nad pismem, ale oczy błędziły — zgaszone — po pokoju.

Nie wrócili już do swobodnego tonu; próżno się starał o to. Poruszał kwestie różne i przedmioty, usiłował nawet ironią wyrwać ją z tego milczącego osłupienia. Odpowiadała niechętnie, a często niecierpliwie, nie spoglądając już na niego, nie widząc prawie, że dotknięty, obrażony niemal, powstał bez słowa.

Przeszedł się po pokoju, ale tak niezręcznie, iż omal nie stratował kotów. Dość chłodno przeprosił *Mrs Tracy* i podrażniony siadł do fisharmonii, błędząc palcami od niechęcia po klawiszach i rozmyślając o dziwnym zachowaniu Daisy.

Strach

W głębi, obok kominka stał Mahatma z Joem w grupie kilku mężczyzn; rozmawiali głośno i żywo, ale Zenon posłyszał tylko ostatnie zdanie Hindusa:

— Są tylko jedne prawa, rządzące światem, prawa ducha nieśmiertelnego. Reszta to pozór, omam lub zarozumiała, uczona głupota!

Nie słuchał już więcej, bo bezwiednie zadźwięczała mu pod palcami ta melodia, której nie mógł sobie przypomnieć, wychodząc z seansu, i próżno ją chciał wyrwać z siebie przez całe trzy dni. Przyszła mu teraz sama, spłynęła w całości — była zdumiewająca w prostocie i w dziwnym, nigdy niesłyszczanym rytmie, obca mu zupełnie w formie i w swej treści muzycznej. Grał ją uważnie, uczył się jej na pamięć, powtarzał, rozkoszując się jej groźną pięknnością.

Zbudził się w nim artysta z taką siłą, że już nie słyszał otoczenia, porwany potęgą tej pieśni dzikiej, ognistej, a przesyconej tęsknicą; ale im głębiej wsłuchiwał się w te dźwięki, tym silniej wyrastały z nich przypomnienia jakiegoś błędnego i odległego słowa gdzieś usłyszanego, jakiegoś głosu, który te słowa śpiewał, jakiegoś krajobrazu zarazem...

Miał to już pod czaszką, na ustach niemal, a nie mógł sobie przypomnieć.

— Potężny hymn jakby zbuntowanych aniołów. Skąd go pan zna? — posłyszał za sobą cichy głos Daisy.

— Sam dobrze nie wiem! A pani jest znana ta pieśń?

— Tak, przypominam ją sobie skądś...

— To mi pani pomoże, bo jakieś słowa błędzą mi w pamięci, jakiś śpiew, który gdzieś słyszałem, a nie mogę sobie przypomnieć... I to gdzieś niedawno chyba... Zdaje mi się chwilami, że to było tam, na seansie u *Mr Joego*... Pamięta pani? — zapytał podstępnie o to, o co wprost pytać nie śmiał przedtem.

— Nie bywam na seansach u *Mr Joego* — głos jej zadźwięczał twardo.

— Jak to? Ależ widziałem tam panią, wszyscyśmy widzieli...

— Być może, ale nie byłam — gniewem rozbłysły jej oczy.

— Ja także nie kłamię — szepnął porywczo i dumnie.

— Wierzę... Ale... — spojrzała na Mahatmę i umilkła, odchodząc.

Nie grał już, wstrząśnięty jej słowami. Nie rozumiał powodu zaprzeczeń, widział ją tam przecież, widzieli wszyscy. I wypiera się tego...

Powiedział Joemu, że czeka na niego w mieszkaniu, i wychodził, skłoniwszy się dość sztywno przed Daisy. Nie odkloniła się, jakby go nie spostrzegając; siedziała ze ściągniętymi brwiami, szczerze otulona w szal indyjski, chmurna jakaś, ponura i zagadkowa. Odwrócił głowę od drzwi, łapiąc w przelocie jej oczy, podnoszące się za nim — oczy pełne wilgotnych łśnień, zadumy i jakiejś targającej, niemej i pokornej prośby...

### ROZDZIAŁ III

— Nareszcie! Myślałam, że się już was nie doczekamy. Od pół godziny obiad gotów, a ja wyglądam i wyglądam! — wołała radośnie Betsy, sama otwierając im ciężkie drzwi do sieni.

— Zupa zimna, baranina spalona, legumina opadła, ciotki złe, a *Miss Betsy* zrozpaczona — żartował Zenon, witając ją serdecznie.

— Bo Betsy była naprawdę zrozpaczona, myślałam...

— Że nie przyjdziemy. Proszę wyciągnąć rączki, to nasza kara za opóźnienie...

Rozwinął papier i sypał na jej ręce całą wiązkę cudnych anemonów, tak spłonionych jak ona, i całe pęki wspaniałych róż purpurowych — jak jej usta w tej chwili, usta rozedrgane rozkoszą i tulące się do chłodnych, woniejących kwiatów, spoza których podnosiła zachwycone oczy i szeptała dziękczynnie:

— Dobry Zen, dobry! Dobry!

— Z powodu mgły wszystkie pociągi spóźnione ogromnie! — ozwał się Joe.

— Czy całe dwa tygodnie nie zaglądałeś do nas z tego samego powodu?

— To inna przyczyna, moja droga Betsy, zgoła inna! — odparł poważnie, całując ją w czoło, a dziewczyna zniżyła głos i prosząco, prawie błagalnie szeptała:

— Bądź dzisiaj dla niego dobry; chory jest, rozdrażniony. Tak czekał na ciebie, z pewnością będzie się gniewał z czułości.

— Dobrze, droga, sam nie zacznę, ale... — urwał zakłopotany.

— Ciotka Dolly też bez humoru, płakała po południu. Podobno ma dzisiaj jakąś bolesną rocznicę — uprzedzała nieśmiało Betsy.

— Pewnie pięćdziesiątą rocznicę zerwania z piętnastym narzeczonym! — zauważył złośliwie Joe, wieszając płaszcz. Ale gdy się odwrócił, nie było ich już na dawnym miejscu; Betsy odprowadzała Zenona nieco w głąb sieni, ku schodom, prowadzącym na piętro, i cichutko prosiła, by czuwał i, o ile można, nie dopuszczał do kłótni Joego z ojcem.

Obiecał solennie, ale jakaś niechęć w nim zadrgała, że może być świadkiem nowej awantury. Stanowczo miał już ich dosyć na dzisiaj, sam był przy tym wyjątkowo zdenerwowany, zaś jadąc tutaj, myślał, że znajdzie spokój i odpoczynek.

— Duszo ofiarna, czy i ciotkę Ellen bolą odciski dzisiaj?

— Cicho, Joe, nie żartuj z cierpień. Chodźmy, bo już czekają.

Jadalnia była tuż, na dole, poprzedzona dużym i teraz ciemnym pokojem. Przez otwarte drzwi bielił się stół, oświetlony zapalonymi świecami w wysokich kandelabrach, a za nim, na wprost, plecami do wchodzących siedział w głębokim fotelu *Mr* Bartelet. Ciotki spacerowały po obu stronach stołu, wzdłuż pokoju — każda w inną stronę.

— Oto i chłopcy, pociągi spóźnione! — wołała Betsy, zwalając kwietny snop na róg stołu.

— Nieszczęsna, obrus się przemoczy! — jęknęła niższa z ciotek, *Miss* Ellen.

— Nie wrzeszcz! — syknął stary zimno, podając rękę synowi; a spoglądając ze złością na wylękną, gąbczastą twarz *Miss* Ellen, ujął pod ramię Zenona i, z trudem podnosząc swoją potężną postać, podszedł do stołu.

— Podawać! — mruknął, stukając kijem w posadzkę, bo kuchnie były w suterenie.

Zajęli miejsca w milczeniu. Tylko Betsy, rozdzielając kwiaty po wazonach, ustawiała je na stole i usiłowała rozniecić weselny nastrój — ale na próżno, bo jej słodki, na pół dziecinny głos przygasał jak kwiat w mroźnej atmosferze jakichś uraz, gniewów i niechęci. *Miss* Dolly karcącym spojrzeniem zabijała każde jej słowo i każdy jej uśmiech weselszy, a *Miss* Ellen na swój sposób nękała ją, wstając co mgnienie, by jej poprawić niesforne włosy lub przewiązać krawatę.

Wreszcie stary służący, podobny do figury woskowej, zaczął obnosić potrawy. Jak kot, cicho i przyczajony, przesuwiał się za krzesłami, tak że co chwila jego żółta, bezwłosa twarz wynurzała się przy czyimś ramieniu.

Jedli w takiej ciszy, że już po zupie Joe, nie mogąc wytrzymać, rzekł:

— Cóż to dzisiaj tak posepnie?

— Jak zwykle. Czyś przez te dwa tygodnie już zapomniał? — zauważyła kwaśno *Miss* Dolly, wzdychając żałośnie.

— Guziki poobrywiają ci się przy staniku od wzdychań — zawołał stary.

Betsy buchnęła niepohamowanym śmiechem.

— Przestań, proszę cię, Betsy! — zgromiła ją surowo.

— Ależ przeciwnie, śmieję się, Betsy, śmieję się swobodnie!

— Nie mogę jeść przy takim bezmyślnym śmiechu.

— A ja mam właśnie wtedy lepszy apetyt. Śmieję się, mała — wołał.

— Ach, ci mężczyźni! — jęknęła po chwili grobowym głosem.

— Ach, te ciotki! — powtórzył z takim komizmem, iż Betsy znowu zaczęła się śmiać. Nawet Joe nie mógł się powstrzymać, a Dick omal półmiska nie upuścił na plecy *Miss* Dolly, chowając za nią twarz tak szczególnie wykrzywioną śmiechem, że podobna była do rozdeptanej cytryny.

— Niedolega! — szepnęła, uderzając w starego piorunowymi oczami.

— Co? Jak? — ledwie wykrztusił w naglej pasji *Mr* Bartelet.

*Miss* Dolly nie raczyła odpowiedzieć ni nawet spojrzeć na niego.

— Betsy, powiedz ciotce, że jeśli to do mnie...

— Betsy, powiedz ojcu, że na taki ton gminny i posądzenia nie odpowiadam...

— Betsy, powiedz jej, że żadnych uwag nie przyjmuję i nie znoszę...

— Betsy, powiedz mu, że jest tyranem, że pastwi się nad nieszczęśliwą, że...

Skrzyżowały się ostre, gniewne słowa, przestali oboje jeść, a złowrogie spojrzenia uderzały w siebie przez stół nieubłaganymi ostrzami. Naraz zamglily się oczy *Miss* Dolly

i lzy jak groch posypały się na jej pulchną, wypudrowaną twarz, złościąc na niej żółtawe brudzy.

— Dick, podaj *Miss* czystą chusteczkę, lustro, puder i baraniny, bo tamta leci oto w tej chwili wraz z talerzem na ziemię! — zawołał, zacierając ręce, bo *Miss Dolly* tak gwałtownie porwała się od stołu, że całe nakrycie spadło na ziemię; ale gniew go opuścił i zabrał się do jedzenia, złośliwie spoglądając za wychodzącą z pokoju.

Ta krótka burza zupełnie jednak oczyściła powietrze. Odetchnęli swobodniej, nawet *Miss Ellen*, struchlała zwykle i niema przy siostrze, odzyskała głos, a *Zenon*, przezornie trzymający się na uboczu, zaczął już głośniejsze i weselej rozmawiać z *Betsy*. *Joe* jednak milczał uporczywie, prawie nie podnosząc twarzy znad talerza i dobrze wiedząc, jak bardzo to niecierpliwi ojca...

*Mr Bartelet* nie mógł już wytrzymać. Rzucił srogie spojrzenia na syna, marszczył brwi, trząskając nożem o talerz, ale nie doczekawszy się ani słowa, pierwszy zaczął mówić do niego w swój ironiczny, zwykły sposób.

— Cóż to za sława zamieszkuje w waszym pensjonacie?

*Joe* podniósł zamyślane, posępne oczy na niego.

— Od dwóch tygodni prawie wszystkie gazety o nim piszą.

— Nie czytuję gazet — odparł krótko.

— Ale musisz przecie wiedzieć, o kim mówię! — zaczynał już wrzeć na nowo.

— Stary bramin<sup>45</sup>, Mahatma Guru... Tak, mieszka tam.

— Wnioskuje z artykułów, że jakiś nowy, mistyczny biznes chce założyć w Anglii.

— Mogę zaręczyć, że jest daleki od tego, co się złośliwie nazywa mistycznym biznesem; przyjechał przyjrzeć się Europie.

— No i zagarnąć przy sposobności nieco naszych funtów.

— Ma on dość swoich rupii, a przy tym pieniądze mają dla niego wartość istotną, to jest żadną — dodał z naciskiem.

— Więc za darmo pokazują te jakieś cuda spirytystyczne?

— Ależ nie pokazuje żadnych cudów i spirytystą zupełnie nie jest.

— Więc po cóż pielgrzymują do niego te tłumy, o jakich piszą codziennie?

— Bo próżniaczkiej gawiedzi nigdy i nigdzie nie brak, a w szczególności gawiedzi pseudouczzonej, głodnej sensacji, wężącej żer eksperymentowania, napastliwej, takiej, której się zdaje, że świat stworzony jest po to, aby oni mogli pisać o nim wymyślne, zawile, a puste, brednie. Przyjmuje niektórych czasami, a nawet nieraz chętnie z nimi mówi; często dysputuje<sup>46</sup>, ale najczęściej tylko bada i słucha...

— Więc to jakiś nie lada uczoney być musi?

— Więcej niżli uczoney, bo mędrzec.

— No i często rzuca gromy potępienia na nas i na kulturę naszą — wtrącił się do rozmowy *Zenon*.

— Jak, jak? Potępia naszą kulturę? — pytał w najwyższym zdumieniu, nie śmiając wierzyć własnym uszom.

— Niestety, potępia stanowczo i, co gorzej, musimy przyznawać rację...

— Ma rację! Nie drażnij mnie, chłopcze. Ciekawe, ciekawe... Musicie mi opowiedzieć o nim, bo widzę, że pisma fałszywie informują.

— Naturalnie, na stu reporterów zaledwie może jeden widział go i mówił z nim. A wszyscy przecież coś napisać musieli, bo cały Londyn się nim zajmuje.

— Znacie go osobiście?

— *Joe* jest z nim w zupełnej zażyłości i przyjaźni.

— Jeśli tak można nazywać stosunek człowieka do absolutu...

— Tak bardzo go cenisz? — zapytał stary ciszej.

— Uwielbiam go i korzę się przed jego mądrością.

— Dick, herbatę na górę; przejdziemy tam, dzieci! — zakomenderował stary, usiłując powstać z krzesła.

*Joe* podał mu ramię; wsparł się na nim i poszedł wolno i ciężko, pochylony nieco, a mimo to ogromny, podobny do starego dębu, pokrytego omszałą siwizną i krzepakiego

<sup>45</sup>*bramin* — w hinduizmie członek najwyższej warny: kasty kapłańskiej. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*dysputować* (daw.) — tu: dyskutować. [przypis edytorski]

jeszcze. Twarz miał rumianą, starannie wygoloną, o potężnych, prawie kwadratowych szczękach, nos suchy i długi, czoło wysokie pod gęstą szczotką siwych włosów, oczy bładoniebieskie, jakby wypelzłe, ale bystro świecące spod krzaczastych, czarnych brwi. Cichszy był jakiś w tej chwili, spokojniejszy, a co trochę mocnym spojrzeniem obejmował pochyloną głowę syna.

Betsy pobiegła naprzód, słycać było dudnienie schodów pod jej stopami.

Zenon wyprzedził ich również, śpiesząc za narzeczoną, tak że szli tylko sami, często odpoczywając, bo chore nogi starego nie pozwalały na pośpiech.

— Czekałem na ciebie — zaczął z łagodną wymówką.

— Nie mogłem prędeż, wyjeżdżałem — mówił wymijająco.

Stary wątpiaco potrzęsnał głową, ale się nie odezwał. Odpoczywali znowu przez chwilę w sieni, pod żelazną latarnią starożytnego kształtu, wiszącą u sufitu, w kręgu światel kolorowych, mieniających się w mroku tęczowymi pasami.

— Cóż tam słycać w twoim pułku?

Był to ulubiony jego temat.

— Przenoszą go do Afryki, ma już wyznaczony dzień wyjazdu...

— Do Afryki, na plac boju, do Afryki! — powtarzał zdumiony. Wstała w nim nagle trwoga i chwyciła żelazną garścią za serce, tak że ledwie oddychał. — Bałem się tego — szepnął ciszej. — Ha, to pojedziesz, mój chłopcze, służba, obowiązek... Tak, obowiązek — dodał ciszej, bo głos mu schryplł i uwiązł w gardle.

— Mamy jeszcze cały miesiąc urlopu, może się jeszcze coś zmienić — uspokajał.

— Nic się zmienić nie może, nie, wojnie daleko do końca.

— A głodne armaty czekają na swój żer, na swoje mięso. — Nienawiść i wzgarda zadźwięczały mu w głosie.

— Czekają na swój żer — powtórzył stary ponurym i smutnym echem.

Milczeli już obaj. Joe postanowił w tej chwili, że nic mu nie powie o wziętej dymisji; nie pragnął kłótni, chciał mu oszczędzić gniewu — tak dobry był dzisiaj i tak wyjątkowo łagodny, że nie śmiał mu psuć tak rzadkich chwil, a zresztą liczył i na to, iż wiadomość o przeznaczeniu jego pułku na plac boju życzliwiej go usposobi. Nie uciekał przecież z obawy przed wojną, używał jej bowiem już nieraz i do syta.

— Na niechybne kule tych parobków! — szeptał stary do siebie, gdy wchodzili do wielkiego, jasnego pokoju na pierwszym piętrze; był to rodzaj salonu i biblioteki zarazem.

Na niskim stoliku przed kominkiem Betsy już gospodarowała przy herbacie, gdy weszli. *Mr* Bartelet osunął się w głęboki fotel, wziął filiżankę i, popijając z wolna, zapadł w głęboką zadumę.

Ciotki też zjawiły się wkrótce, poprzedzane przez Dicka, niosącego stołeczki pod nogi. *Miss* Dolly była już, jak zwykle, wyniosła i majestatycznie piękna; bardziej tylko wdychała, pijąc herbatę, i więcej niżli zwykle ukradkowymi, przyczajonymi spojrzeniami stróżowała Betsy. A *Miss* Ellen, drobna i nikła jak suchy badył dziewanny z ostatnim, bladym kwiatem na czubku, nieśmiało wsunęła się za siostrą. Lękliwie spojrzała na fotel brata i trwożnie zasiadła w zagłębieniu między bibliotecznymi szafami, cichutko przewracając poźółłke kartki *Biblii*, i z wolna zagłębiała się w kontemplację świętych tekstów.

Joe spacerował z filiżanką w ręku, przezierając<sup>47</sup> niekiedy grzbiety książek, poustawianych w tłumnym, a niemym szeregu na półkach.

Cisza zaległa pokój, ta dziwna cisza niedzielnego dnia — pełna kojącego spokoju, jakby nabrzmiała odgłosami naw kościelnych, już pustych i mrocznych, a pełnych jeszcze echowych brzmień śpiewów dawno umilkłych, zapachów konających, błędnych, rozproszonych westchnień, pełna nastroju modlitewnych ekstaz, nudy i sennaści zarazem.

Wszyscy pogrążyli się w milczącą i senną zadumę; tylko Dick czuwał, raz po raz przesuwając się bez szelestu i roznosząc herbatę.

A Zenon i Betsy, siedząc przy sobie na wielkiej sofie sięgającej do połowy ściany i prawie w niej zgubieni, przytuleni ramionami, dalecy od otoczenia, zajęci tylko sobą, rozmawiali szeptem i gorącymi, płomiennymi spojrzeniami.

W tej cichej i serdecznej atmosferze miłości, w roziskrzonych błyskach jej źrenic Zenon zaczął się czuć tak dobrze, jak zwykle się czuł w tym pokoju.

<sup>47</sup>przezierać (daw.) — tu: przeglądać. [przypis edytorski]



W takie same, niedzielne wieczory, chociaż przypominała mu się zagadkowa, dręcząca twarz Daisy, chociaż jakieś niepokojące pół-myśli, pół-dźwięki i pół-obrazy przepelniały mózg, pozbywał się ich siłą woli — chciał szczerze i głęboko zapomnieć o wszystkim, co nie było tą dobrą, szczęsną chwilą, co nie było związane z Betsy i nie było nią samą.

Udawało mu się to niekiedy, a wówczas z cichym, nieśmiałym prawie z nadmiaru czucia szczęściem wodził po niej rozkochanym wzrokiem; bo Betsy, w swojej niedzielnej sukni z czarnego, matowego jedwabiu, rozjaśnionego tylko białym, wyłożonym kołnierzykiem i mankietami koronkowymi, smukła, wysoka, zręczna, była wprost prześliczna. Jej świeża twarzyczka, okolona bujnymi splotami włosów popielatych, wykwiatała z tych czerni posępnych jak pączek jabłoniowego kwiatu, dyszała wiosną i szczęściem, a nieco duże i dziecinne usta były tak wiśniowe i rozedrgane uśmiechem, i pełne słodkich, pamiętnych obietnic.

Czuła się w tej chwili nadzwyczajnie szczęśliwa. Obiad przeszedł prawie spokojnie, ciotki milczały, Joe był w domu, ojciec cicho siedział, a on, Zen, siedział przy niej, naprawdę siedział przy niej — i tak blisko, że poczuła naraz straszną ochotę, aby mu przysłonić rękami wąsy i pocałować go w same usta, w te czerwone, wiecznie tak głodne pocałunków usta... Ale tylko westchnęła żałośnie, rumieniąc się na tę myśl niespełnioną, i już tylko całującymi oczyma obejmowała jego piękną, znużoną nieco twarz i te oczy jasne i słodkie, drapieżne usta, ach, i ten jego drażniący uśmiech przyczajony w kątach ust, ten dobry, rozbrajający uśmiech.

- *Miss* Betsy obiecała mi powiedzieć jedno słowo — szeptał.
- Jakie? Nie pamiętam w ogóle, czy obiecywałam cokolwiek...
- Tam, na Strandzie, gdyśmy szli rano — przypominał uparcie.
- Nie, nie można teraz, słuchają... Nie, Zen, później — prosiła lękliwie.
- Czekam i z całą tęsknotą pragnę spełnienia obietnicy.
- To... To proszę się na mnie nie patrzeć... Proszę zamknąć oczy.
- Już nic nie widzę, słyszę tylko.

Przysunął głowę jeszcze bliżej. Wtedy Betsy, sploniona i nieco drżąca, bojaźliwie, a namiętnie szeptała mu to nieśmiertelne: „Kocham”. Szeptała długo, dotykając niekiedy rozpalonymi ustami jego ucha, tak że drgał gwałtownie, cisnąc jeszcze mocniej głowę do jej twarzy i również szepcząc urywane, palące słowa, które takim ogniem burzliwym zalewały jej serce, iż jakimś ostatnim odruchem przytomności odsunęła się od niego i — dysząc ciężko, z przymkniętymi oczyma — siedziała, pełna radości najgłębszej, a zarazem dziwnej i słodkiej trwogi.

Nie mogli już mówić, nie patrzyli nawet na siebie. Ale to niedopowiedziane zatopiło ich w takim szczęsnym upojeniu, że tylko kłoniли się ku sobie bezwiednie, a nieprzeparcie, jak kwiaty, nabrzmiałe wonią, kłonią się w upalną noc, jak chylą się i ciężą drzewa senne ku potokom, szemrzącym w ciche, wiosniane noce, pełne niemych błyskawic i tęsknych, nieukojonnych rozmarzeń za dniem jeszcze dalekim, za słońcem.

Nieco usypiająca i martwa cisza ogarnęła pokój. Wszyscy siedzieli nieruchomo; nawet Dick zniknął. Tylko niekiedy, gdzieś spod ziemi, jakby wprost spod domu, dobywał się lotny, krótki huk, przemykający jak cień pociągów co parę minut przelatujących, chwilami zaś rozlegały się melancholijne westchnienia *Miss* Dolly, smętnie zapatrzonej w zapadłe dale lat i zdarzeń drogich. To znowu stary poruszał się niecierpliwie, obejmował trwożnymi oczyma głowę syna i znowu zapadał w nieruchomość, kryjąc śpiesznie powiekami przelazwione błyski źrenic.

Wieczór włócił się wolno znużonym i sennym rytmem chwil, przesuwających się jak niemi, bezimienni przechodnie — nikomu nieznani, niepotrzebni, a nigdy już nieprzypomniani.

— „Bo z szat mól pochodzi, a z niewiasty złość węzowa”<sup>48</sup> — rozbrzmiał naraz radosny i namaszczony głos *Miss* Ellen.

Drgnęli wszyscy, jakby gwałtownie przebudzeni. Betsy zerwała się na nogi, stary zaś gruchnął śmiechem i drwiąco powiedział:

<sup>48</sup>Bo z szat mól pochodzi, a z niewiasty złość węzowa — Koh 42,13 (cytat za: *Biblia Jakuba Wujka*). [przypis edytorski]

— Sami prorocy cię budzą, co? Przez sen ci się wyrwał ten werset paradny; jak to tam było?

Ale że zegar na kominku zaczął dzwonić dziesiątą, *Miss Ellen* nie odpowiedziała, kryjąc wylękłą twarz za *Biblią*. Joe natomiast, siedzący na wprost ojca, powstał i zwrócił się do Zenona:

— Czas już na nas!

— Co? O dziesiątej do domu? Tego jeszcze nie było! — wykrzyknęła Betsy.

— Ojciec znużony i wszyscy jacyś senni — próbował się tłumaczyć.

— Ależ nie, czuję się dzisiaj doskonale i chętnie posiedzę jeszcze z wami, a nawet zagrałbym z tobą, Joe. Dawno już nie grałem w pikietę<sup>49</sup>.

— Zagrajmy. I owszem — ożywił się Joe.

Dick wnet przygotował wszystko; wkrótce zagłębili się w kombinacjach gry. Naraz stary, ścisząc głos, zapytał niespodziewanie:

— Więc to już pewne, że pułk przenoszą na plac wojny?

— Zupełnie, bo nie tylko dzień, ale i statki do przewozu przeznaczone.

— A po wylądowaniu zaraz w ogień?

— Prawdopodobnie...

*Mr Bartelet* wybuchnął gniewem. Kłął siarczyście i bił kijem w podłogę, aż wystraszona Betsy przybiegła.

— Mój ojczu, mój drogi, nie można się gniewać, doktor zakazywał — prosiła, obejmując mu głowę rękoma.

— No, dobrze, dobrze, cicho już siedzę. Bo jak się nie gniewać, kiedy... kiedy Joe rozdaje karty, jakby je pierwszy raz w życiu trzymał w ręku.

Poznawszy źródło gniewu, odeszła uspokojona. Czuli się dziwnie radośnie usposobiona; zarzucała Zenona nieskończonymi pytaniami.

Odpowiadał wesoło, często nawet żartobliwie, bo z lada powodu wybuchała śmiechem. Szczerze się śmiała, ale z trudem niemalym, powstrzymując pytanie o Daisy. To imię stawało się jej nienawistne, parzyło usta i przenikało jakąś jeszcze ciemną obawą — a mimo to budziło aż prawie bolesną i dręczącą ciekawość.

Zenon zaczynał to odczuwać po urywanych i poplątanych słowach, po lukach, jakie były w rozpytywaniach o każdy niemal dzień spędzony z dala od nich, o znajomych, o prace jego; a nawet czasem już wyraźnie wiedział po niemych, bezwiednych ruchach ust, iż tam, poza nimi, tkwi to imię złowrogie, że ona je przeżuwa, niby palące ostrze, a wymówić jeszcze nie śmie. A nie chciał dopuścić do tego, nie wiedząc sam dobrze dlaczego. Lękał się tego pytania, więc silił się umyślnie na humor, robił dowcipy, opowiadał zabawne anegdoty, byle tylko odwlec tę chwilę na później, lub ją zagubić zupełnie... Ale rozmowa się rwała, tematy wyczerpywały się prędko i następowały coraz częstsze i dłuższe milczenia, niepokojące pauzy, w których ich oczy, obciążone tą utajoną troską, uciekały od siebie spłoszone, niepokoją pełne.

Na szczęście *Miss Dolly* przysiadła się do nich i rozbolałym głosem i tonem oburzenia zaczęła pomstować na jakąś sztukę Dumasa<sup>50</sup>, którą widziała przed kilku dniami — z Sarah Bernhardt<sup>51</sup> w roli głównej.

*Miss Dolly* była namiętną nieprzyjaciółką mężczyzn, przewodniczącą nawet w Klubie Niezawisłych Kobiet, prorokinią przyszłego matriarchatu i zapalcząwą bojowniczką o prawa kobiet. Już od pierwszego słowa zajadłe powstała przeciwko słynnej wówczas tezie Dumasowskiej „*Tue-la*”<sup>52</sup>.

— Zbrodnicze i hańbiące głupstwo taka teoria! Zabij ją? A za co? I któż ma prawo decydować o życiu kobiety prócz niej samej, kto? Gdzież jej winy? Że nie chce być jego własnością, że ucieka spod tyranii, że żąda dla siebie praw i wolności, że chce żyć swoim

Zazdrość

Kobieta, Pozycja społeczna,  
Obraz świata

<sup>49</sup>pikieta — dawna gra karciana. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*Dumas, Alexandre* (1824–1895) — pisarz i dramaturg francuski lub jego ojciec, Alexandre Dumas (1802–1870), także pisarz i dramaturg. Z dalszego kontekstu wynika, że chodzi raczej o Dumasa-syna. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*Sarah Bernhardt* (1844–1923) — francuska aktorka. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*Tue-la* (fr.) — „Zabij ją”; zdanie pochodzi z tekstu Alexandre’a Dumasa (syna) *L’Homme-Femme*, opublikowanego w 1872 r. [przypis edytorski]

własnym, samodzielnym życiem; więc zamorduj, okuj w kajdany, rzuć ją na dno nie-  
szczęścia i hańby, podepcz jej duszę i serce, odbierz człowieczeństwo — niechaj drży co  
chwila przed wzrokiem swego właściciela, niechaj na klęczkach odgaduje jego zamysły,  
niechaj będzie echem jego, cieniem, niechaj rodzi mu dzieci i służebnicą mu będzie naj-  
niższą, najbardziej uległą, najcichszą... Bo pan tak chce, pan stanowi prawa, pan ma siłę,  
władzę i pieniądze, więc się tak stać musi. A jeśli się sprzeciwi w czymkolwiek, zabij ją!  
Tak jest w życiu, aż oto przychodzi Francuz plugawy i ośmiela się potworną teorię mówić  
nam ze sceny; a my słuchamy, my serio dysputujemy o tym głupim i złym frazesie.  
O siostry-kobiety, o męczennice przemocy męskiej!

— Święte duchy, przykute do bydłat; dalszy ciąg znamy z mów twoich i odezw! —  
ozwał się naraz drwiąco *Mr Bartelet*.

*Miss Dolly* wzdrygnęła się, milknąc na razie.

— Deklamuj, *Dolly*, powinnaś zostać pierwszą kaznodziejką w tym feministycznym  
kościółce przyszłości; masz wszystkie warunki: głos rozległy, wiarę silną, lekcewa-  
żenie prawdy, nienawiść cudzych przekonań i wielki zapas wielce patetycznych i głupich  
dostatecznie frazesów. Wszak tylko tym stoją wszyscy trybunowie!

— Gbur i tyran! — zionęła przez zaciśnięte zęby, obrzucając go wyniośle pogardliwym  
spojrzeniem.

— Sprytna teoria: brać wszystkie prawa z dodatkiem pieniędzy, a nam łaskawie po-  
zostawiać wszystkie obowiązki i ciężary! — drwił nielitościwie stary, rozdając karty.

Nie ozwała się już ani słowem. Dopiero gdy znowu zagłębił się w grę, zniżyła głos i,  
rzucając bojaźliwe spojrzenia na niego, mówiła:

— Żywot kobiety to dom wiecznej niewoli, to żywot duchów, przykutych do bydłat,  
to nieustająca *Kalwaria*<sup>53</sup>!

*Miss Ellen*, która właśnie przysuwała się do nich lękliwie, rzekła na to swoim cichym  
i miękkim jak oliwa głosem:

— „Wdzięczność żony pilnej ucieszy męża swego i wytuczy kości jego”<sup>54</sup>.

— Nędzna paplanina wielbłądzich pastuchów, powtarzasz jak fonografy.

Rzuciła się ze złością, bo *Ellen*, często i bez powodu, podnosiła rękę, głosząc z na-  
maszczeniem pierwszy lepszy werset.

— Chociaż to nadzwyczajnie trafnie definiuje stosunek mężczyzn do kobiet: „ucieszy  
męża swego i wytuczy kości jego”. Tak, o to wam chodzi jedynie w małżeństwie, tylko  
o to! — dodała z mocą.

Ale *Zenon* nie dał się wyprowadzić z równowagi. Nie rwał się do obrony mężczyzn,  
bo znał dawno wszystkie jej teorie i nudziły go, więc tylko rzekł chłodno, z grzeczności  
jedynie:

— Może nie wszystkim chodzi tylko o to.

— Nie miałam pana na myśli, nie, znam bowiem zbyt dobrze jego wzniosły sposób  
myślenia i tak bardzo go cenię, że zupełnie się nie lękam o przyszłość mojej drogiej *Betsy*,  
spokojna jestem o jej szczęście.

*Betsy* tylko się uśmiechnęła na tę zgoła niespodziewaną troskliwość o siebie; dobrze  
ją znała. A *Miss Ellen* już podnosiła rękę i otwierała usta do jakiejś stosownej przypowie-  
ści świętej, gdy *Dolly*, powstrzymując ją energicznym gestem, chciała go z innej strony  
zaatakować i zmusić do dysputy.

— Jakże się panu podobała *Odette*<sup>55</sup>?

— Nie znam tej sztuki, w teatrze bowiem nie bywam.

— Jak to, nie chodzi pan do teatru?

— Tak, od pięciu lat nie byłem ani razu.

— Więc pan chyba tylko na koncerty i opery chodzi?

— Ponieważ sam się nieco zajmuję muzyką, więc nie bywam i na operach; w ogóle  
nie chodzę na widowiska z zasady! Na żadne!

— I to z zasady! Musi pan mieć nadzwyczajne powody?

<sup>53</sup>*Kalwaria* a. *Golgota* — w Biblii miejsce śmierci Chrystusa; zespół kościołów lub kaplic symbolizujących  
stację Męki Pańskiej; potocznie: męka, udręka. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*Wdzięczność żony pilnej ucieszy męża swego i wytuczy kości jego* — Koh 26,16 (cytat za: *Biblia Jakuba Wujka*).  
[przypis edytorski]

<sup>55</sup>*Odette* — sztuka teatralna francuskiego dramaturga, Victoriena Sardou (1831–1908). [przypis edytorski]

— Bardzo proste i bardzo zwyczajne — odparł z uśmiechem.

— „Będzie start grzech pospołu z grzesznikiem”<sup>56</sup> — rzekła uroczyście *Miss Ellen*.

Zenon się uniósł — a że rzadko mu się to zdarzało, więc tym gwałtowniej.

— Oto po prostu obmierzło mi już plugawe kłamstwo, zwane teatrem. I przeto znie-  
nawidziłem do rdzenia głupstwo, błagę i kramarstwo, bezczelnie udające sztukę. Mam już  
dosyć udawań, dosyć takich głupich gestów w próżnię, tych błazeńskich symulacji życia,  
tych małych naśladowań, tych póz na człowieka i tej całej, oszalałej z pychy, menażerii  
autorów, aktorów i oklaskującego, pijanego głupotą pospólstwa.

— Czegóż więc chcesz? — pytał żywo Joe, przestając grać.

— Prawdziwego i szczerego kultu piękna.

— A *Shakespeare*<sup>57</sup>, a Grecy, a tyłu, tyłu innych, nie są że sztuką prawdziwą?

— Te wszystkie sławne i ze czcią powtarzane nazwiska to puste dźwięki, dawno już  
umarła ich treść prawdziwa; tak dawno, że te nazwiska mówią nam tyleż, co nazwy planet  
i słońc, zarówno nam obce, dalekie i nieznanne. Wytarte liczmany<sup>58</sup>, krążące w odrucho-  
wym obiegu; prawdy, mówione w niezrozumiałym języku. A przy tym trupy, dźwigane  
przez nas dobrowolnie, trupy, ciężące jak ołów na duszach naszych, tak że z wolna ginie-  
my pod ich złowrogim panowaniem, nie śmiejąc nawet pomyśleć, że można je z siebie  
zrzucić do muzealnego rowu.

— Tak, rozumiem cię. Przejrzałem i widzę, że wszystko, co nam dzisiaj panuje i co  
rządzi nami, jest kłamne<sup>59</sup> i trupie, więc i teatr nie może być czymś lepszym — zauważył  
ponuro Joe.

— Jest nawet gorszy, bo udaje świątynię sztuki, a jest siewcą moralnego analfa-  
betyzmu, jest fabryką fałszywych wartości, szkołą zła i głupoty. Od kapłanów bowiem  
przeszedł w ręce parobków i ladacznic, stał się nie ducha potrzebą, lecz zmysłów. Więc  
i przemawia do oczów i naskórka wielkiego, duchowego lokajstwa; wyręcza ich w my-  
śleniu, bawi, pochlebia i jest dla nich codziennym środkiem przeczyszczającym na nudę  
i intelektualną impotencję.

— Ostre plugi muszą przejść po zachwaszczonych ugorach życia!

— I dynamitowe nie poruszą bezwładu i ciężenia w kierunku najmniejszego oporu.  
Przestałem już wierzyć w reformy zewnętrzne.

— Więc cóż pozostaje robić? — pytał rozciekawiony *Mr Bartelet*.

— Nie reformować tego, co się już nie da przerobić. Zło należy pozostawić własne-  
mu losowi, niechaj samo się zeżre i zgnije do reszty! Mam w tej chwili tylko teatr na  
myśli; niechaj taki pozostanie, jaki jest, dla tych, którym jest potrzebny! A dla innych  
potrzeba stworzyć nowy teatr, teatr-świątynię, poświęconą pięknu. Były niegdyś, w daw-  
nych czasach, u ludów pierwotnych, święta wiosny i płodnej jesieni, na które zbierano  
się społeczeństwem, by je spędzić weselnie; należałoby wskrzesić takie święta. Wyobrażam sobie  
jakiś bór prawieczny lub puste, dzikie brzegi morza, z dala od wszelkiej powszednio-  
ści, z dala od ciżby i zgiełkliwej farsy życia... I tam, wprost pod niebem, w wiośnianym  
powietrzu, w zielonych, rozśpiewanych głębiach lasów, na tle odradzającej się przyrody;  
albo w jesieni dni, przesnute pajęczyną, zadumane, blade i święte jak hostie, roz tęsknio-  
ne, w żalne<sup>60</sup> dni opadu rdzawych liści, nad brzegami szafirowego morza, przepasanego  
tęczą złotego wschodu i krwawego zachodu, tam, na ubitym toku<sup>61</sup> rodnej, świętej ziemi,  
świątynia sztuk wszystkich, appolinowy<sup>62</sup> ołtarz uniesień, hymn niebosiężny barw i ma-  
rzenia, dźwięków i kształtów, modlitw i wizji, hymn upojenia pięknem nieśmiertelnym,  
oczyszczający duszę z grzechów zła i brzydoty... Nowe Eleusis<sup>63</sup> dla spragnionych wzru-  
szeń i kontemplacji; nowa, odradzająca się ludzkość, Jeruzalem<sup>64</sup>! Oto moje marzenia!

<sup>56</sup>*Będzie start grzech pospołu z grzesznikiem* — Koh 27,3 (cytat za: *Biblia Jakuba Wujka*). [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*Shakespeare, William* (1564–1616) — angielski poeta, dramaturg i aktor. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*liczman* — żeton zastępujący monetę, rzecz bezwartościowa. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*kłamny* (daw.) — kłamliwy, zakłamany. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*żalny* (daw.) — żalobny. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*tok* (daw.) — tu: klepisko, podłoga. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*appolinowy* (daw.) — poetycki. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*Eleusis* — greckie miasto znane z misteriów eleuzyjskich, ośrodek kultu Demeter i Persefony. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*Jeruzalem* — miasto biblijne, obecnie największe miasto i stolica Izraela. [przypis edytorski]

— Cudowne, nadzwyczajne, ale niemożliwe, by się dały urzeczywistnić — wołała entuzjastycznie *Miss Dolly*.

— Wszystko jest możliwe dla tych, którzy chcą! — szepnął Joe.

„Boże, jakie to piękne i dziwne! Dziwne!”, myślała Betsy, nie śmiejąc głosem płoszyć tej wizji czarownej, porwana jego słowami i zapałem, z jakim mówił; więc tylko z miłością i podziwem patrzyła na jego piękną i bladą twarz — jakby opromienioną natchnieniem, rozmarzoną i tęskną zarazem.

— Widzę już te pielgrzymki, te niezliczone tłumy, te święta, pełne tajemniczych i wzniosłych uroczystości! — entuzjastycznie mówiła *Miss Dolly*.

— Dom *Cook's et C.* mógłby się nimi zająć. Można by nawet zawiązać towarzystwo akcyjne do urządzania takich świąt. Interes niezły, a gdyby się założyło specjalne pismo i agentury<sup>65</sup> po całym świecie, niżono taksy<sup>66</sup>, to interes poszedłby na pewno — drwił stary.

Ale obie ciotki, Betsy, a nawet i Joe rzucili się na niego w obronie projektu, tak że zawiązała się nieco bezładna i gorąca rozmowa, bo stary rzucał co chwila złośliwe uwagi. Zenon milczał; dopiero gdy nieco przycichli, niespodzianie oznajmił:

— Moje marzenie musi pozostać czas jakiś tylko marzeniem, ale tymczasem otwieramy teatr marionetek!

— Teatr marionetek? Ależ jest ich kilka!

— Nasz teatr nie będzie dla dzieci.

— Więc dla kogóż, u Boga, może być teatr marionetek?

— Ten będzie dla dorosłych, dla artystów i przez artystów.

— Dzieciństwo, dekadencja, francuskie wymysły! — krzyczał *Mr Bartelet*.

— Być może, ale te dzieciństwa są bliższe prawdziwej sztuki, szersze i głębsze dają wrażenia, niżli dzisiejszy teatr.

Nie, nie chciało już mu się mówić. Poczul się ogromnie znużony, więc prawie od niechcenia opowiadał bliższe szczegóły o tym teatrze, zwracając się tylko do Betsy, bo stary zaczynał go już niecierpliwie brutalnymi uwagami. Gdy naraz, nie kończąc zdania, porwał się na nogi z okrzykiem:

— Ktoś wszedł tutaj!

Najwyraźniej zobaczył ruch portiery, odsłaniający drzwi, usłyszał szmer kroków i szelest wlokącej się po dywanie sukni.

Zamilkli, strwożeni jego głosem i postawą, bo pochylony, blady, z rozbłysłymi oczyma nasłuchiwał, jak ten szmer, ledwie pochwytany, przesuwiał się przez pokój ku oknom. Słyszał wyraźnie, rozróżniał... Był najgłębiej pewny, iż ktoś przechodzi... Że ktoś wszedł ze schodów i teraz przemyka się obok nich... Że skoczył na środek, jakby chcąc ująć niewidzialną...

Nie było jednak nikogo. Szmer zgasł jak płomień zdmuchnięty; wszyscy siedzieli w trwożnej ciszy, wpatrzeni w niego. Obejrzał cały pokój, otwierał szafy, zajrzał nawet za opuszczone story.

— Byłem pewien, że ktoś wszedł i wolno przechodzi przez pokój!

— Dick, przejrzyj jutro książki; musiały się znowu zagnieździć szczury! — wołał wesoło stary, ale ukradkowym spojrzeniem wodził po pokoju.

— Dałbym głowę, że to nie był szmer szczurów. Nie, widziałem odsłaniającą się portierę, słyszałem wyraźnie szelest sukni — zapewniał.

— Po prostu zdawało ci się, coś w rodzaju słuchowej halucynacji! Ja sam ulegałem temu dość często w pierwszym roku mojego pobytu w Indiach; to zwykły wynik upałów, ale wyleczyłem się prędko i zupełnie — objaśniał spokojnie Joe, chcąc usilnie zatrzeć niemiłe wrażenie.

— Istotnie, jest tutaj wyjątkowo ciepło. Gorąco nawet — zauważył Zenon.

— Dick, zakręć gaz w kominku! — rozkazał stary, odsuwając się od ognia.

— Jeśli głowa boli, to zrobiłabym panu jakiś kompres — proponowała Ellen.

— Ależ doskonale się czuję, dziękuję bardzo.

<sup>65</sup> *agentura* (daw.) — agentura, agenda, przedstawicielstwo. [przypis edytorski]

<sup>66</sup> *taksa* — urzędowa opłata za określoną usługę. [przypis edytorski]

Lecz rozmowa nie mogła się już nawiązać. Mówili monosylabami, jedynie po to, by zagłuszyć jakiś cichy niepokój, wślizgujący się do serc. Kłopotliwe milczenie coraz częściej zalegało i coraz trwoźniej biegały podejrzliwe oczy po jasno oświetlonym pokoju. Stary podrywał ze wszystkich, że tak łatwo ulegają sugestii; ale i to nie pomogło — nie przywróciło dawnego nastroju, nie rozwiało jakiejś posępnej mgły... A że już było po jedenastej, zaczęli się zbierać do rozejścia.

Ciotki najpierw poszły do swoich pokojów na drugim piętrze, zabierając Betsy. Stary zaś odwiódł syna na stronę i o coś go tam prosił cicho, ale tak długo, że Zenon wyszedł, nie chcąc im przeszkadzać.

— *Mr Zen!* — rozległ się za nim na schodach przyciszony głos Betsy. — Mój drogi, mój złoty, niech się pan poradzi doktora! — prosiła serdecznie, gdy podszedł do niej nieco bliżej.

— Dobrze, pójdę do lekarza, będę się leczyć, połknę całą górę lekarstw; uczynię wszystko, czego żąda tyrańska *Miss Betsy*. Do widzenia! — wołał głośno.

— Do widzenia za tydzień, za strasznie długi tydzień — szepnęła żałośnie, schodząc po ciemnych schodach nieco niżej.

— O tak, czasem jeden tydzień zawiera w sobie parę tysięcy lat tęsknoty...

— I całą nieskończoność trwóg i niepokojów — powtórzyła echowo.

— I... Do widzenia! — Posłyszał cichy skrzyp drzwi.

— Proszę tylko o długie i dobre listy.

— Jak zwykle mały tomik<sup>67</sup> — odpowiedział żartobliwie.

— To jest mój kalendarz, na którym obliczam pozostałe do niedzieli dni, bo ja nimi tylko żyję — ozwała się jeszcze ciszej i bliżej, już o parę stopni od niego.

— O Betsy! — drgnęło mu naraz serce miłością; skoczył ku niej, pochwycił rękę i zaczął je gorąco całować.

— Bo ja tak tęsknię za tobą, tak kocham, tak czekam — szeptała wzruszona.

— O Betsy moja, duszo moja serdeczna, jedyna! Gdybyś mogła wiedzieć, co się... — nie skończył, bo dziewczyna wyrwała rękę, dotknęła palcami ust jego i uciekła, gdyż w tej chwili u szczytu schodów rozległ się surowy głos *Miss Dolly*.

I Joe również zaraz wyszedł z jakąś wzruszoną i tajemniczą twarzą, a Dick, oczekujący na nich z paltami w sieni, jeszcze coś szeptał do niego, gdy wychodzili na świat.

Na dworze ciemno było i zimno; mgły opadły, ale za to prosto w twarz zaczął skośnie drobny, gęsty i przykry deszcz, miotany przewalającym się w ciemnościach wiatrem.

Ogarnęła ich nieprzenikniona ćma<sup>68</sup>, gdy wychodzili na tak zwane „ośle łąki”, jakich jest pełno na krańcach Londynu; zgoła utonęli w nocy, tak że tylko w dali, przez szklane przedziwo deszczów, świecił się nikłym kręgiem rząd latarni.

Bloto, mimo żwirowych dróg, chlupało pod nogami, ale przyspieszali kroku, by się jak najrychlej dostać do ulic już widnych na tle ciemności — niby szyby olbrzymie, słabo prześwietlone — bo te milczące, ponure pustki, głuche i rozległe, wzbudzały mimowolną trwogę.

Ulice jednak tak samo były posępne; leżała w nich uśpiona cisza niedzielnej wieczora i smętek ciężkiego, niewolniczego jutra. Domy stały martwym szeregami, ociekające wodą, ośleple i pełne rozpaczliwej nudy. Wiatr hurkotał po niedojrzanych dachach, a często zwał się na ulice, rozmiatając do dna czarne, połyskliwe kałuże. Rynny zaś grały bezustannie bełkotliwym, ostrym rytmem spadającej wody. Rzadkie, przygaszone nieco latarnie stały, jak szylwachy<sup>69</sup> martwe ze znużenia, rozkrążając żółtawe koliska po czarnych, rozmiękłych asfaltach.

Nigdzie człowieka ani dorożki, ani ruchu najmniejszego wśród tego morza kamieni, w tej ciszy uśpionego miasta — tylko sypki i boleśnie nużący szmer bezustannego deszczu i to wstrętne, przegniłe powietrze, które, niby oddechem, pokrywało im twarze śliską i lepką rosą.

Dostali się wreszcie do stacji, wsiadając do pierwszego pociągu, jaki dążył w ich stronę.

<sup>67</sup>tomik in 16-o — prawdopodobnie chodzi o tom w ósemce a. *octavo* (łac.); w typografii trzykrotnie złożony arkusz papieru, tworzący osiem kart i szesnaście stron. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>ćma (daw.) — tu: ciemność. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>szylwach (daw.) — wartownik. [przypis edytorski]

W przedziale było pusto i prawie ciemno, bo Joe przyćmił światła. Siedzieli naprzeciw siebie w głębokim milczeniu, zapatrzeni w szyby, a dalecy od tych zjaw, wyzierających z nocy.

Pociąg leciał jak piorun — z hukiem i w błyskawicach. Przelatywał jakieś parki, tak że jak wizje majaczyły drzewa bezlistne i przepadały; jakieś puste i czarne równie, migocące to tablicami ogłoszeń, to jakimś domem, jawiącym się tak nagle, że nim się go spostrzegło, zapadał się w nocy. Z krzykiem przelatywał tunele i wypełzał jak wąż na wysokie nasypy — zadyszany, spieniony, w kłębach białej pary skąpany. I jak smok, zionący strugami krwawych iskier, przystawał na jakichś stacjach oślepych i śpiących; wyrzucał ludzi na pustych placach i zabierał ich z nierozpoznanych w ciemnościach miejsc. I znowu biegł — w gromach cały i w błyskach. Aż zaczął zwalniać, wdzierając się na olbrzymie wiadukty, rozpięte nad domami tak wysoko, że pod spodem, w głębi nierozplątanej masy domów zalanych ciemnością, tylko linie ulic jaśniały nieskończonymi pasami, a dokoła, jak okiem sięgnąć, buchały zammglone, czerwone luno miasta-potwora.

— Powiedz mi, kim jest *Miss Daisy*? — zapytał wreszcie Zenon po długim, wahającym milczeniu, nie patrząc jednak na niego.

— Nie wiem, a raczej wiem tyle, co i wszyscy: że przyjechała z Kalkuty; oto wszystkie prawie moje wiadomości o niej.

— Dziwna kobieta. Nie umiem zdać sobie sprawy z wrażenia, jakie wywiera na mnie, i to mnie często przejmuję niepokojem.

— O tak, roztacza magiczną posepność i lęk. Dziwna kobieta, jakiś tajemniczy awatar<sup>70</sup> nieznanego! — szepnął trwożnie.

— Sądziłem, że ją znasz bliżej; uczestniczyła przecież w seansie...

— Ale mimo woli. Przypuszczam nawet, iż o tym zupełnie nie wie.

— Była i nie wie? Nic nie rozumiem.

— Mahatma, gdyśmy rozmawiali o spirytystycznych seansach *Mr Smitha*, zauważył, iż podejrzewa *Daisy* o wielkie siły mediumiczne. Poradził nawet, by jej zasugerować nakaz przyjścia na seans; dlatego właśnie zgodziłem się na urządzenie go u siebie.

— No i przyszła!

— Ba, tego nie wiem do dzisiaj, czy była to ona, cielesna *Daisy*, czy też jej druga, astralna istota!

— Przecież ją dobrze pamiętam; a przypominam sobie, żeś ją brał za rękę, żeś dotykał jej oczów i twarzy! Więc musiała być materialna!

— Pamiętam. Ale i to pamiętam, coś mi opowiadał, gdyśmy jechali na obiad: o jej spotkaniu na schodach, w parę sekund po wyjściu z seansu... W chwili, w której wszyscy zebrani widzieli ją uśpioną...

— Musiałeś ją przecież budzić i widzieć wychodzącą?

— Przyszła do nas w kilka chwil po twoim wyjściu; widzieliśmy ją dokładnie w pełnym świetle żyrandola, mówiłem z nią...

— A potem? — pytał z nagłą i bolesną trwogą.

— Później zabroniła ruszać się z miejsc. Światła same pogasły i wyszła.

— Nie, tysiąc razy niemożliwe! Bajka czy obłąd! Jakże, spotkałem ją na korytarzu, idąc z przeciwnej strony, a ona równocześnie miałaby być pomiędzy wami? Była tu i tam w tym samym czasie! A przecież daję głowę, że ją spotkałem, szedłem za nią, schodziłem aż na dół do odźwiernego; więc to wasze widzenie jej było tylko halucynacją, omamem! — wołał.

— Było takim samym rzeczywistym faktem, jak i twoje spotkanie z nią. I ty ją widziałeś, i pomiędzy nami była.

— Więc się rozdzieliła na dwie bliźniaczo podobne tożsamości? Nie żartuj ze mnie; nie przekonywaj nawet, bo to by przeczyło wszystkiemu, co wiemy, i bluźniło przeciw rozumowi — wołał rozdrażniony.

— Czemu przeczy? Naszej wiedzy i rozumowi? A cóż wiemy? Nic, utonęliśmy w głupich, nic nietłumaczących faktach, których się trzymamy jak poręczy nad przepaściami,

<sup>70</sup>awatar a. awatara — tu: w mitologii hinduskiej wcielenie boga, który zstępuje na ziemię pod postacią zwierzęcia, człowieka lub hybrydy obu. [przypis edytorski]

nie śmiejąc poruszyć się z miejsca. Ba, pomyśleć nawet, że można rzucić się w otchłań i nie zginąć... Nie przepaść... A właśnie tam znaleźć tę jedyną prawdę, duszę własną!

— Nie mów, bo nie mogę dzisiaj z tobą dysputować<sup>71</sup>. Tak jestem dziwnie znużony i wyczerpany, że padłbym jak kamień przez egzotyczne mgławice twoich hipotez. Jestem tylko człowiekiem, jedynie ufającym rzeczywistości dostępnej dla moich zmysłów.

— Jest jedna tylko rzeczywistość: dusza. Wszystko poza tym to tylko cień, jaki od niej pada w nieskończoność, majaki i złudzenia.

— Echa nauk Mahatmy Guru! — szepnął niechętnie.

— Wszak uczniem jego i czcicielem jestem...

— Boże, że to nigdy człowiek się nie obejdzie bez przewodników...

— Bo zbawców mieć musi, jeśli nie jest tylko *tschandalą*<sup>72</sup>, mierzwą ludzką, na której dopiero kiedyś może zakiełkują święte kwiaty ducha. Guru mnie zbawił, urodziłem się nowo z jego mądrości. Ślepy byłem i przejrzałem; jeno trupem ludzkim byłem i wywiódł mnie z martwych na pachnące lotosem brzegi prawdy wiecznej, jedynej. Więc do niego wszystkim należę i z pokorą i szczęśliwością, i dumą mówię ci o tym.

— Pójdiesz za nim? — zapytał z drżeniem, czekając odpowiedzi.

— Tak, nie opuszczę go już; aż do dnia, w którym się „stanę i będę”.

— Więc mógłbyś wyrzec się ojczyzny i swoich?

— Ojczyzną duszy jest On, a jej pragnieniem i celem spocząć w Nim.

Zenon się nie odezwał, z podziwem i lękiem spoglądając na niego.

Wysiedli z pociągu i przeszli kilka pustych ulic w zupełnym milczeniu. Dopiero na schodach hotelu Joe, podając rękę na pożegnanie, przytrzymał mu dłoń i, nachylając się, szepnął z naciskiem:

— Radzę ci: strzeż się *Miss Daisy*! — I odszedł śpiesznie.

— Dlaczego? — zawołał, wstrząśnięty do głębi złowrogim jego głosem.

Ale Joe bez odpowiedzi zniknął w ciemnych już i długich korytarzach.

## ROZDZIAŁ IV

... Zostali sami w *reading-roomie*.

Zenon czekał tej chwili z upragnieniem, nie wiedząc zupełnie dlaczego. A gdy przyszła, kiedy się drzwi zawarły za ostatnim wychodzącym, lęk go ogarnął i niepokój; podniósł się i zaczął gorączkowo chodzić. Czuł się niesłychanie zdenerwowany, nie był zdolny wyrzec ani jednego słowa i nie miał w tej dręczącej chwili nic do powiedzenia. Poczul tylko — i miał nawet tę bolesną pewność — że oto stoi przed czymś, co się mogło za mgnienie wyłonić z milczenia, a przecież na nic określonego nie czekał!

Zaledwie przed półgodziną, wśród gwarnej i dosyć banalnej rozmowy, gdy się podnosił do wyjścia, ujrzał w jej źrenicach wyraźny nakaz pozostania; więc, mimo natarczywych nalegań Joego, pozostał, oczekując i drżąc w sobie tym bolesnym dygotem trwożliwej niepewności, co jak wąż zimnymi skrętami owija serce, dusi z wolna i krew wszystką, i myśl każdą wypija.

*Miss Daisy* grała jakąś ściszoną i zagmatwaną w rysunku piosenkę, jakby nie zwracając na niego uwagi, a on chodził wciąż, kołując błędnie wśród porozstawianych mebli. Czasem spoglądał przez szyby na szary i smutny dzień, ale patrzył, nie spostrzegając niczego, daleki od wszystkiego, zasluchany jedynie w ten rosisty opad dźwięków coraz cichszych. To znów, wyrывая się spod ich dziwnego czaru, patrzył na jej włosy rude, jakby z miedzi wykute, i na jej białe, długie ręce, które się snuły po klawiaturze jak słodki sen.

Grała bez przerwy, odwracając niekiedy błądą, zadumaną twarz. I wtedy oczy się ich spotykały na chwilę, na płochliwe i nieugięte mgnienie; z twardego i zimnego szafiru kute groty spojrzeń przebijały mu duszę na wskroś, tak że zatrzymywał się z drżeniem, bo mu się wydawało, iż oto nadchodzi ta chwila, w której się to coś oczekiwane ziści, że tajemnica przemówi... Ale ona grała dalej.

<sup>71</sup>*dysputować* (daw.) — tu: spierać się. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*tschandala* a. *chandala* — termin zapożyczony przez niemieckiego filozofa, Fryderyka Nietzschego (1844–1900) z hinduskiego systemu kastowego, oznaczający członka najniższej warstwy społecznej. [przypis edytorski]



Czuł się coraz bardziej rozdrażniony i zaniepokojony; okrążał znowu pokój, czyhając na każde poruszenie jej głowy i na spojrzenie każde, ale było tak samo zimne, przeszyszywające i nieme.

Już kilka razy powstawał w nim nagły bunt, tak że zbliżył się do drzwi stanowczym krokiem — lecz odejść nie potrafił.

I tak płynęły długie, długie chwile milczących oczekiwań.

Z wolna, niepostrzeżenie, mrok zaczął przysypywać światłości dzieńne swoim pyłem popielnym, osnuwał wszystko we mgłę sennego zadumania, przygaszał barwy i lśnienia i zalegał puszystą, drgającą, ciężką mgłą.

Zenon — zmęczony i wyczerpany — upadł na fotel i siedział nieruchomo. Ta niepokojąca cisza i milczenie, rozdzwonione zaledwie dosłyszonymi dźwiękami, biły w niego jak młotem, obezwładniały smutkiem niepojętym.

Nie, odejść nie mógł. Siedział, jakby przykuty niewidzialnymi, a potężnymi więzami do tej postaci, ledwie już widocznej w coraz gęstszym mroku, sam z wolna zapadając w senną martwość milczenia, pełną smutku i dziwnych majaczeń rozpadających się w mroku kształtów.

Pokój stawał się jakby dnem, gdzie przez posepnie zielonawe i wzburzone zwały morza zaledwie się prześlizgują widma nierozpoznanych rzeczy, nikle połyski barw struchlałych, wiotkie wrzenia kształtów, zastygające i głuche wiry cieniów i zmartwiałe, a rozchwiane ciemnice w otokach płynnych, szarych fal wieczoru. A skądś, niby z powierzchni dalekiej i zgiełkowej, sączy się smuga dźwięków przygasłych i spada ciężkimi kroplami na jego duszę znużoną, spada kropla po kropli, bije z wolna i nieubłaganie; a każda jest grotem ostrym i warem, a każda zalewa go smutkiem i łką w nim nieukojoną, żrącą tęsknotą.

Ocknął się po pewnym czasie i spojrzał dokoła: mrok się już stawał nocą, pokój był prawie niewidzialny. Tylko zwierciadła patrzyły na niego jak puste, zasypiające oczy, a wielka palma, stojąca na środkowym stole, majaczyła nikłym, tlejącym zarysem na sinym brzasku okien, zasnuwających się z wolna martwymi rzęsami cieni.

Miss Daisy już nie było widać w ciemności; grała jednak wciąż, ale jakoś sennie i apatycznie. Podniósł się nagle z niezachwianym zamiarem przemówienia do niej, ale nim się odezwał, przyszła mu naraz brutalna myśl, trzęsąca jak smagnięcie biczem, że może jej spojrzenie nakazujące mówiło tylko to, czego pragnął w skrytości. Może to się nie miało stać dzisiaj ani nigdy, a on, jak głupiec, czekał z drżeniem ciekawości i lęku...

Bardzo często bowiem przychodziła grać do *reading-roomu* i grywała po parę godzin z rządu, więc i dzisiaj robiła to samo, nie zważając na niego, nawet może gniewna, że jej przeszkadza swoją obecnością.

Poczuł gorzki smak rozczarowania i głębokie niezadowolenie z samego siebie, więc — jak mógł najciszej — z pewną wstydlivością wysunął się z pokoju.

Mieszkał na tym samym korytarzu pierwszego piętra i właśnie otwierał drzwi, gdy rozległo się stłumione i przeciągłe wycie Bagh. A po chwili Miss Daisy przeszła obok niego, ale jakby go nie spostrzegając zgoła, chociaż stał w pełnym świetle, twarzą zwrócony do niej.

To niewidzące spojrzenie dotknęło go tak niemile i tak zabolalo, że wszedł do mieszkania, zatrzasnął drzwi ze złością. Rozniecił zaraz światło, bo nie cierpiał w mieszkaniu ciemności, i zaczął drżącymi rękoma rozrywać kopertę jakiegoś listu, który nań już od śniadania czekał na biurku.

List był od Betsy, ale mimo to nic z niego nie rozumiał. Nie mógł powiązać słów ni wydobyć jakiej bądź treści, tak że, zdenerwowany jeszcze bardziej, rzucił go z niechęcią i poszedł wyjrzyć na korytarz, pusty już i cichy.

Był już teraz zupełnie pewny swojej omyłki, a to sprawiało mu tak głęboką przykrość, że długo nie mógł się uspokoić.

„Bo i cóż mogła mi powiedzieć? Dlaczegoż miałaby chcieć, abym z nią pozostał sam na sam? Żłudzenie i nic więcej! W tym domu wariackim i ja już zaczynam halucynować!”, rozmyślał, spostrzegając znowu list Betsy. Ale zupełnie się nie wzruszył tym serdecznym, tkliwym szczebiotem narzeczonej, czytając jeno oczyma kartkę po kartce, bo całą duszę miał wypełnioną wspomnieniami tamtej. Skończył czytać i chciał w pierwszym, pocziwym odruchu odpisać; nagłówek już nakreślił, ale zabrakło mu wprost treści — nie miał

w tej chwili nic do powiedzenia i poczuł naraz nieprzewartą chęć wyjścia na miasto, powłóczenia się po ulicach zatłoczonych i szumiących wrzawą, zagubienia siebie. Lecz, nim zdążył wyjść, służący zameldował *Mr Smitha*.

Wszedł chudy i żółty pan z oczyma ugotowanej ryby, pochylony nieco, ostrożny, uprzejmy niezmiernie i przesadnie skromny.

Zenon dość niechętnie wskazał mu krzesło.

— Przychodzę z aż dwiema prośbami do pana. Ale jeśli przeszkadzam, to wyjdę; chociaż, mówiąc szczerze, sprawiłoby mi to przykrość niewymowną, gdybym nie mógł wyluszczyć ich zaraz, więc...

— O, proszę pana, słucham z przyjemnością — zdziwił się jednak tym wstępem, bo znał go jedynie z sali jadalnej.

— Przepraszam — powstał naraz przygiętym, cichym ruchem i, zbliżywszy się do brązowej *Psyche*<sup>73</sup>, stojącej obok biurka, nałożył binokle i jął gładzić pieszczotliwie jej cudnie wysmukłe łęźwie.

— Przepiękna, najwyższy wyraz uduchowienia! — szeptał, prowadząc z lubością dłoń po jej przezręczystych, dziewczęcych kształtach.

— Sprawa pierwsza: „Proszę *Mr Zenona* o uczestniczenie w naszym jutrzejszym seansie” — przeczytał w notesie, siadając na dawnym miejscu.

— Niezmiernie jestem ciekawy i sprawy drugiej! — silił się na uprzejmość.

— Przepraszam.

Znowu się przesunął przyczajonym, kocim ruchem do miedzianego posążku *Antinousa*<sup>74</sup>, stojącego w rogu na tle jedwabnej, jasnofioletkowej draperii. Poglądził go również po biodrach, pstryknął paznokciem w kolano, aż miedź zadzwoniła, i, siadłszy z powrotem, przeczytał: „Proszę *Mr Zenona*, aby skłonił *Mr Joego* do wzięcia udziału w tymże seansie”. — Skłonił głowę, wlepiając swoje rybie, w czerwonych obwódkach, oczy w porcelanowe figurki, stojące na kominku.

— Żałuję bardzo, ale muszę panu zrobić zawód. Bardzo przepraszam, ale na seansach nie bywam i spirytyzmem się nie zajmuję; byłem wtedy jedynie na prośbę *Joego*.

— Będzie i *Miss Daisy* — wtrącił niby od niechcenia, uciekając oczyma.

— Będzie? — Zawahał się przez chwilę. — Co zaś do *Joego*, to zupełnie nie obiecuję wpływać na niego w tym kierunku. Sądzę nawet, że i tak już jest za bardzo pochłonięty spirytyzmem.

— Niestety, ale to dawniej; bo od przyjazdu *Mahatmy* porzucił dawne, święte zasady i braci... O, z *Mr Joem* jest obecnie bardzo źle, bardzo... Pan wie?

— O niczym i zupełnie!

— Nie jest to tajemnicą. Mówić o tym, choć z boleścią, mogę, ale jeśli by pan słuchać nie chciał, jeśli by... — i jąkał się lękliwie.

— Przeciwnie, *Joe*, obchodzi mnie bardzo — zaniepokoił się jego trwożnym głosem.

— Oto wdał się w fakijskie<sup>75</sup> eksperymenty. Sposobi się po prostu pod przewodnictwem *Mahatmy* na joga<sup>76</sup>. Dawno się pan z nim widział?

— Trzy dni temu. Myślałem, że wyjechał, bo w domu go nie ma.

— Z pewnością jest! Od dwóch dni siedzi zamknięty; siedzi na jednym miejscu, bez ruchu, bez wody, bez pożywienia. I siedzieć ma dotąd, dopóki samego siebie nie zobaczy, dopóki się nie rozdzieli... Eksperyment niebezpieczny.

— Z przerażeniem to słyszę, nic mi nie wspominał o takich praktykach.

— Myśmy się dowiedzieli o tym dopiero wczoraj, na seansie. *Miss Daisy* nam zakomunikowała.

— Ależ, choćby mi przyszło drzwi wylać, dostanę się do niego. Muszę go wyrwać z oblędu. Bardzo dziękuję panu za wiadomość.

— Zatrwożeni jesteśmy o niego; nikogo z braci nie przyjmuje, zerwał już z nami wszystkie więzy. A przy tym, jeśli wpadnie w moc *Miss Daisy*...

— To co? — porwał się nagle strwożony.

<sup>73</sup>*Psyche* — w mitologii greckiej bogini, uosabiająca duszę ludzką. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*Antinous* (111–130) — grecki młodzieniec z Bitynii, kochanek cesarza *Hadriana*. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>fakijski — związany z fakiem, indyjskim ascetą. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>joga a. *jogin* — hinduski asceta uprawiający jogę. [przypis edytorski]

— To może być zgubiony na wieki! — szepnął posepnie *Mr Smith*, oglądając figurki porcelanowe na kominku.

— Więc kimże jest, na Boga, *Miss Daisy*?

— Tajemnica... Nikt tego nie wie... I nie należy pytać... — prawie zakrzyczał, zatykając sobie uszy, by nie słuchać pytań.

— Dlaczegoż tajemnica? Mnie się już po prostu jakimś szalbierstwem zaczyna wydawać taka sztucznie robiona tajemnica!

— Strzeż się ją odkrywać! Są pewne rzeczy, których nie można dotykać zwykłą ciekawością, bo mszczą się! Jesteś „niewiernym”, więc jak dziecko bawisz się płomieniem, nie wiedząc, że może cię pochłonąć w każdej chwili... O, bardzo ostrzegam: trzymaj się z dala *Miss Daisy*! To ogień złowrogi. My sami się jej obawiamy... Zjawia się na seansach i robi cuda, o jakich nikt nie marzył, odkrywa rzeczy wstrząsające i głosi takie prawdy, że... Że mamy powody do obaw... Mamy powody lękać się jej mocy i podejrzewać, że nie jest to wysłanniczka Pana, a Jego... Może nawet wcielenie...

— Kogo? — zapytał cicho, wstrząsając się bezwiednie.

— *Bafometa*<sup>77</sup>! — szepnął trwożnie i, wyjąwszy z kieszonki w kamizelce szczyptę soli, siał nią dokoła zabobonnie.

— *Bafometa*? — powtórzył *Zenon*, nic nie rozumiejąc.

— Cicho, nie wymawiajmy tego imienia więcej! Boże! — krzyknął naraz głośno, padając na krzesło, bo rozległ się bliski, wstrząsający ryk pantery.

*Zenon* wybiegł na korytarz, bo wydawało mu się, że to tuż pod jego drzwiami zawyła *Bagh* — ale korytarz był zupełnie pusty.

— Musi ryczeć w klatce, może głodna! — tłumaczył, usiłując zachować spokój.

— Nie, nie, w tym być musi jakiś znak porozumienia. Bo zresztą ja nie wiem, czy *Bagh* jest tylko zwierzęciem, nie wiem...

— A czymże jest? Chyba nie samym *Bafometem*? — zawołał urągliwie.

— Cicho, cicho... Nieszczęsny, ani wiesz, że tak wymówione imię może w tej chwili stało się dla kogoś śmiercią, nieszczęściem lub chorobą.

— Cóż to? Porywa na rogi i ponosi na *Blankenberg*<sup>78</sup>? — drwił złośliwie.

— Wszystko jest straszną zagadką. Dokoła nas leży mrok, w którym czyha lęk i śmierć wieczna! Są słowa zabijające, są imiona, od których dźwięku rozpadają się światy, są życzenia, które się spełniają bez naszej woli, są takie myśli, od których ruch gwiazd zależy! Błądzimy po omacku w wiecznym mroku jak ślepi od urodzenia, aż po dzień wyzwalającej śmierci, jak ślepi, czepiający się z rozpaczliwą wiarą kurzawy i wołający wielkim głosem: „Nie ma nic poza naszą ślepą głupotą!”. Ale świat przejrzy, boleśnie przejrzy! Niech kamieniuje proroków, niech się pastwi nad własną duszą; i tak zbawiony być musi całą siłą naszej wiary i pragnień, bo my go wyprowadzimy z odmetów, wywiedziemy z niewoli grzechów... Nasza prawda zbawi świat! Ale tymczasem jeszcze *Tamten* panuje i rządzi światem; jest we wszystkich sercach, czyha i toczy śmiertelny bój z Bogiem — szeptał gorąco, powstając z miejsca.

— Stare, rozwiane podania, pomarłe dawno mumie symbolów, zmartwychwstające w najtrzeźwiejszym wieku i wśród najtrzeźwiejszego z narodów. Odwieczna tęsknota dusz za istnieniem, odwieczny strach przed śmiercią...

— Czytał pan *Izis odstoniętą*<sup>79</sup>? — zapytał niespodzianie *Mr Smith*.

— Czytałem, a raczej *Joe* mi ją wykladał. I doszedłem do wniosku, że *Bławatska*<sup>80</sup> jest najzwyczajszą, ordynarną nawet szalbierką, a ta jej książka stekiem bredni i kłamstw świadomych, spekulujących na dobrej wierze i naiwności ludzkiej!

<sup>77</sup>*Bafomet* a. *Baphomet* — synkretyczne, okultystyczne bóstwo, czczone m.in. przez templariuszy. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*Blankenberg* — być może autor ma na myśli niemiecki średniowieczny zamek, znajdujący się w miejscowości *Blankenberg*, w kraju związkowym *Turyngia*; może też chodzić o miasto *Blankenburg* (pomyłka *Reymonta*) w górach *Harz* i tzw. *Teufelsmauer* (*Diabelską Ścianę*), z którą związane są liczne legendy i baśnie, a ich bohaterem jest diabeł. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*Izis odstonięta* — tekst z zakresu filozofii ezoterycznej autorstwa *Heleny Bławatskiej* (1831–1891), opublikowany w 1877 r. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*Bławatska, Helena* (1831–1891) — rosyjska pisarka, okultystka i medium spirytystyczne, współzałożycielka *Towarzystwa Teozoficznego*. [przypis edytorski]

Tajemnica, Kobieta  
demoniczna

Zabobony

Obraz świata, Bóg, Szatan,  
Walka, Kondycja ludzka,  
Grzech

— Największa kobieta, jaką ród ludzki wydał, pierwsza święta naszego kościoła, a pan ją sądzi niby jakąś uliczną szarlatanekę — jęknął.

— Bardzo przepraszam. Takie wrażenie wyniosłem z opowiadania o niej.

— Ręczę, że wielbiłby pan ją jak i my wszyscy. Przyjechała parę dni temu do Londynu. Jutro przyjdzie do loży wraz z pułkownikiem Olcottem<sup>81</sup>. Chętnie pana wprowadzę; seans będzie nadzwyczajny, mają być aporty<sup>82</sup> od samego Dalajlamy<sup>83</sup> z Tybetu<sup>84</sup>... Ona jest największym medium na świecie!

— Dziękuję, jestem już syty cudów.

— Boże, co za błuźnierstwo.

— Tak. Bo cóż, że ujrzę cud, kiedy nie wiem? Cóż mi cud tłumaczy?

— Tak, pan bardzo nie wie, bardzo. Przepraszam, pominiemy tę kwestię. Muszę iść, ale może pan zechce powiedzieć Joemu, że Ona pragnie go ujrzeć jak najprędzej.

— Nie wiedziałem, że znają się osobiście.

— O, dawny kult Joego, jeszcze z Bengalu<sup>85</sup> — szepnął *Mr Smith*; powlókł lubieżnymi oczami po Antinousie i wyszedł.

Zenon zaś pobiegł śpiesznie na drugie piętro do mieszkania Joego, wielce zaniepokojony o niego słowami *Mr Smitha*; ale długo się dobijał, nim w końcu otworzył mu drzwi wysoki, cynamonowy Malajczyk — piękny jak Antinous — z włosami po kobiecemu zaplecionymi w warkocze i upiętymi na głowie, w których błyszczał wysoki, złoty grzebień, wysadzany szmaragdami.

— *Mr Joego* nie ma w domu — twierdził stanowczo, nie wpuszczając go do środka.

— Musi być, ponieważ dzisiaj mieliśmy się zejść tutaj, a od dwóch dni przecież nie wychodził z domu. Używał podstępu, by się tylko dostać do mieszkania.

— Nie wiem, ale tutaj pana nie ma wypisanego, a są wszyscy, jakich miałem wpuścić.

— Pokazał kartkę poznaczoną hieroglifami.

— Widocznie zapomniał wpisać. Wszak znasz mnie i wiesz, że zawsze przychodzę bez meldowania.

— Kiedy ofiara się już rozpoczęła...

— Spóźniłem się... — Zupełnie nie rozumiał znaczenia jego słów.

— Nie można... Nie... — bronił się coraz słabiej, nie wiedząc, co począć, bo dobrze wiedział o jego przyjaźni z Joem; ale *Mr Zenon*, nie zważając już na jego opór, prawie siłą wszedł do przedpokoju.

Malajczyk podrapał się frasośliwie za uchem. Zamknął drzwi na cały system zatrasków i wprowadził go do bocznego pokoju, gdzie na niskim stole, w siedmioramiennym, miedzianym świeczniku, paliło się siedem wysokich, woskowych i żółtych świec. Dokoła pod ścianami stały szerokie sofy, pokryte żółtym jedwabiem; ściany również złociły się gorącym tonem chińskich jedwabów, zahaftowanych złotymi smokami.

Malajczyk podał mu długi, cienki jak pajęczyna i przejrzysty jak woda woal barwy fiołkowej i otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju.

Zenon miał w dłoniach szeleszczącą, przedziwnie miękką materię. Nie śmiejąc zapytać o nic, aby się nie zdradzić, że do wtajemniczonych nie należy, dopiero gdy służący wyszedł, poruszył się z miejsca.

„Co to wszystko znaczy? Co za ofiara rozpoczęta?”, myślał, rozglądając się ze zdumieniem, nigdy bowiem nie był w tej części mieszkania, nawet się nie domyślał jej istnienia... Zajrzał przez uchylone drzwi do sąsiedniego pokoju, ale się cofnął — ciemno tam było zupełnie, cały był jakby poprzegradzany parawanikami. Wziął świecę i poszedł w głąb mieszkania. Przechodził pokój za pokojem: wszędzie panowała ciemność, pustka i cisza, nigdzie ani śladu ludzi; dopiero w pokoju, w którym odbywał się seans, dosłyszał jakieś

<sup>81</sup>*Olcott, Henry Stell* (1832–1907) — amerykański oficer, prawnik i dziennikarz, zainteresowany spirytualizmem. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*aport* — tu: przedmiot przenoszony z pomocą sił nadprzyrodzonych podczas seansu spirytystycznego. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*Dalajlama* — przedstawiciel szkoły buddyzmu tybetańskiego, uważany przez buddystów za manifestację bodhisattwy współczucia (dążącego do stanu buddy poprzez systematyczne ćwiczenie wyzwalających działań), odradzającego się, aby udostępnić czującym istotom nauki wyzwalające z cierpienia. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*Tybet* — historyczna kraina w Azji, obejmująca Wyżynę Tybetańską. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*Bengal* — kraina historyczna w Azji Południowej, we wsch. części Niziny Hindustańskiej. [przypis edytorski]

przyduszone, niewyraźne szmery, jakieś jęki, jakby spod ziemi wychodzące... Czasem coś jak krzyk mdlejącym echem się rozlegało i głucho zapadało się wszystko. Zatrzymał się strwożony, nie mogąc pojąć, skąd te głosy się dobywają, w pokoju bowiem pusto było jak wszędzie — tylko przez szyby zaglądały cienie drzew i brzaski dalekich światel złotymi pajęczynami pełzały po szkle.

Po chwili te niewytłumaczone głosy znowu zadrgały — i jakoś bliżej, wyraźniej, prawie tuż przy nim, tak że odskoczył przerażony. Świeca mu zgasła, otoczyła go ciemność, lecz dopiero wtedy rozpoznał, że to z okrągłego pokoju płynie ta stłumiona, dziwna wrzawa. Odszukał drzwi i otworzył je bez szmeru, ale jeszcze za nimi wisiała gruba i ciężka zasłona; głosy, splątane z dźwiękami muzyki, zabrzmiały tak blisko, że odchylił nieco zasłony, popatrzył nagle osłupiałymi oczyma — i cofnął się przerażony...

Prawie uciekł z powrotem do seansowego pokoju. Zapalił papierosa i, przytknąwszy czoło do szyby, trzeźwił się jej chłodem i rozróżnianiem drzew w ogrodzie.

„Dobrze widzę, to tu ja... Czuję chłód... Wiem, gdzie jestem... Muszę być przytomny...”, myślał wolno, bo to, co tam ujrzał, runęło na niego obłądnym strachem. „Widziałem, ale to niemożliwe... Musiało mi się zdawać... Jakieś uderzenie na mózg...”, rozmyślał trwożnie, z trudem wydobywając się jakby z szaleńczego snu. Dopiero po dłuższej chwili, zupełnie uspokojony, utwierdziwszy się, że jest przytomny, poszedł tam znowu i zajrzał trwożnie.

Okrągły, wielki pokój tonął cały w łagodnej, błękitnawej światłości; błękitny dywan zaścielał posadzkę i błękitne były głucho, bez okien, ściany, pokryte gdzieśgdzie świętymi zgłoskami, malowanymi złotem. Z brązowej, greckiej lampy, zwieszającej się z sufitu, rozlewały się przyciszone, mgławce brzaski, a w tym sennym nieco półświecie, w tym księżycowym lśnieniu — jakby gdzieś w nieskończonościach, prześwieconych drganiem gwiazd, wśród upajającej woni orchidei, zwieszających się ze złotych koszów, stojących pod ścianami, wśród słodkich dźwięków nieznanymi instrumentów — poruszały się jakieś widmowe postacie, bose i prawie nagie, bo zaledwie owiane barwnymi muślinami jak woda przejrzystymi. Tylko twarze i głowy mieli osłonięte szczelnie — jakiś potępińczy korowód mar, tańczących rozchwianym, beładnym i dzikim kręgiem i smagających się długimi wiciami zielonych bambusów.

Joe siedział pośrodku na dywanie, nagi cały, zgięty we czworo, nieruchomy, zapatrzony tępy, jakby zamarłym wzrokiem — był jak trup, głuchy na wszystko; ślepy zgoła i nieczuły na ten wir wzbudzony, toczący się dokoła coraz szybciej tęczą barw rozwianych i głosów schrypniętych, i świstów bolesnych, i tęczą ciał białych, falujących spod osłon tak nikłych, że zdały się tylko pajęczynami, zroszonymi światłem.

Siedmioro kobiet i mężczyzn krążyło dokoła w obłądnym, mistycznym tańcu, smagając się zaciekle wśród nieprzytomnych krzyków i płaczów spazmatycznych. Biczowali się z upojeniem męki, ze świętą żądzą ran i bólów, z ofiarnym szałem męczeństwa; biczowali się nawzajem, gdzie kto kogo dosięgnął, zwarci w ciżbę wrzącą, w szaleńcze koła, taczające się z krzykiem, ośleple, pijane szałem, miotające się konwulsyjnie, bezprzytomnie... Różgi świstały coraz szybciej, ruchy stawały się już niepochwytne, czerwone pręgi, jak węże, wiły się coraz gęściej po białych ciałach, krew tryskała... A chwilami ktoś padał ze strasznym krzykiem i pełzał do nóg Joego, całował jego nagie stopy, nie bacząc, że cały ten wir przewala się po nim, tratuje, rozgniała i leci dalej; to znowu ktoś wyrwał się z szaleńczego koła, bił głową o ścianę, krzyczał nieludzko, okropnie, obłąkanie — i padał jak martwy na ziemię.

Naraz wszyscy padli na twarze i zerwał się wstrząsający chór śmiertelnie zmęczonych głosów, chór modlitewnych błagań i żalonych, łzawych jęków.

— Za grzechy świata weź mękę naszą!

— Za grzechy świata weź krew naszą!

A potem rzucili się do biczowań w jeszcze sroższym, bardziej ekstatycznym szale. Groza przepełniła pokój. Ostał się tylko bezprzytomny chaos krzyków, zapachów, dźwięków niewidzialnej muzyki, bolesnych smagań, splątany w wir ciał, ociekających krwią; ślepa furia, straszny sabat dusz opętanych, wstrząsanych dreszczem obłądki i śmierci...

Obrzędy

Zenon stał przy zasłonie, jakby pogrążony w dręczącym i nieprawdopodobnym śnie; błdził oczyma, słuchał, a uwierzyć jeszcze nie mógł... Przymykał oczy, szczypał się w ręce, sprawdzał swój stan, ale ta krwawa, szaleńcza wizja nie zniknęła.

Dopiero po tym hymnie, zrywającym się kilkakrotnie, zrozumiał, że to, co się działo przed jego oczyma, było najbardziej realną rzeczywistością.

Próbował rozpoznać kogoś, ale żadnej twarzy nie można było wyrwać spod zasłony — tylko po wysmukłych kształtach, po stromych piersiach, długiej, łabędziej szyi i po rudych kosmykach na olśniewająco białym karku domyślał się *Miss Daisy*.

Nie wierzył, ale przeczuwał, że to ona. Chwilami nawet zdawało mu się, że głos jej rozróżnia. Wtedy zamierał w sobie w jakimś dzikim, wprost nieludzkim bólu, i owładano nim takie szaleństwo, że chciał się rzucić do niej, wyrwać ją, unieść daleko, całować jej rany i zbierać gorącymi ustami strugi krwi, spływające po nogach.

Opanował się jeszcze w porę, ale czuł, że go ogarnia gorączka i krwawy szal biczowania i ran, że dzika i lubieżna żądza krwi rozpręży się w nim do skoku jak głodna pantera, że chwila jeszcze, a nie powstrzyma się od rzucenia... Więc całą, nadludzką siłą woli wyrwał się i uciekał, gnany furiami zgrozy i strachu.

Ani wiedział, jak i kiedy się znalazł w środku miasta, na jakiejś szerokiej ulicy, wśród rozkrzyczanych tłumów i gorączkowego zamętu.

Oślepiające światła słońc elektrycznych, transparenty na balkonach, wstrząsające krzyki tłumów, szalony ruch i zgiełk, bezładne śpiewy tworzyły z ulicy jakby rzekę potężną i wzburzoną, w którą wpadł całą siłą bezwładu, na samo dno, nie rozumiejąc zgoła, co się dzieje dokoła i gdzie go niesie ta rozkołysana fala ludzka...

A tłumy wciąż się zwiększały, płynęły zewsząd, jak lawina, parły zgiełkliwymi potokami z bocznych ulic, zalewając całą *Oxford Street*<sup>86</sup> nieprzeliczoną ciżbą falującą i rozkrzyczaną. Tysiące gazet powiewały nad głowami, setki *cabów*<sup>87</sup> i omnibusów wstrzymanych chwiały się nad gęszczeniem głów, a prawie z każdego jakiś człowiek krzyczał, usiłując zapanować nad nieustannym wrzaskiem. Tysiące kapeluszy podnosiły się w górę i tysiące gardzieli ryczały z całej mocy, bez przestanku, a chaos jeszcze się wzmacniał, bo huczące, potężne głosy trąb zbliżały się z góry ulicy. Ale Zenon nie słyszał tego wszystkiego, bo mu przed oczyma wciąż tańczyły nagie, okrwawione ciała. I słyszał świst bambusów nad sobą, tak że kurczył się bezwiednie, jakby chcąc uniknąć ciosów, i wciąż przyczajonymi trwożnie oczyma śledził jej długą szyję i wymykające się spod zasłony kędziory rudych włosów...

„A może to nie ona?”, pomyślał naraz, odrywając się z trudem od wizji. „Przecież nie mam żadnej pewności, zdawało mi się tylko, przeczuwałem ją po włosach rudych i po figurze... Głupstwo, tysiące musi być podobnych do niej w tym tłumie... Więc i tam mogła być podobna... Ale mogła być i ona sama?”

Zaczął się w nim głuchy bój, bój srogi, zły i podstępny, bo całą mocą serca bronił się od przypuszczeń. Ale już sama myśl, że ona mogła być wśród tej opętanej, biczującej się gromady, napawała go dziką męką, nieopowiedzianym udręczeniem. A głos podejrzeń, głos zawistny i zły, wzmacniał się w nim i syczał jak węże.

— Któż wie, kto ona? Któż wie? — rzucił sam do siebie urągliwie i z pogardą. — Awanturnica, medium, używane do różnych eksperymentów — dodawał, smagając się coraz okrutniejszymi przypuszczeniami. — A zresztą, cóż mnie to obchodzi; może się biczować, kiedy chce, może się nawet zatłuc. Mam tego dosyć...

I naraz zapomniał o wszystkim, bo o parę kroków dalej wychyliła się z tłumy głowa tak podobna do *Daisy*, że rzucił się do niej — ale przepadła w tłoku, bo właśnie w tej chwili tłum się zakolysał gwałtownie, orkiestra bowiem nadchodziła; trąby zabrzmiały przeraźliwie, „hymn królowej”<sup>88</sup> runął ze wszystkich piersi i huczał jak orkan.

Miasto, Tłum

<sup>86</sup>*Oxford Street* — historyczna ulica w Londynie, na terenie gminy City of Westminster. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*cab* (ang.) — taksówka. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*hymn królowej* — *God Save the Queen* (ang.), hymn Wielkiej Brytanii w okresie panowania kobiety; w przypadku, gdy na tronie zasiada mężczyzna, używa się wersji *God Save the King* (ang.). [przypis edytorski]

Oprzytomniał zupełnie, przyparty do ściany, tak że omal mu żebra nie popękały, dowiadując się równocześnie, iż to zwycięstwo nad Arabi Paszą<sup>89</sup> tak entuzjazmowało tłumy, że cały Londyn jakby się upił radością.

— A niech was diabli z waszymi zwycięstwami! — zaklął z wściekłością, ledwie trzymając się na nogach, popychany zewsząd, gnieciony i walkowany po ścianach jak kloc, bo tłum pchał się bezmyślnym pędem za orkiestrą.

Wreszcie udało mu się przedostać do uliczki poprzecznej, gdzie mógł odetchnąć i zebrać nieco myśli. Ale nie wiedząc, co zrobić ze sobą, śmiertelnie znużony, powlókł się jakimiś pustymi zaułkami. Szedł, aby iść, aby dalej, aby głębiej zanurzyć się w miasto i uciec od tych strasznych przypomnień, od samego siebie i od ludzi. Lecz długo jeszcze, jak odgłosy burzy, szły za nim rozhułkane głosy tłumów i wrzaskliwe dźwięki trąb...

I nie zapomniał o niczym. Przyszło mu na myśl, że jakoś niedawno mówiono mu w klubie o istnieniu sekty spirytystycznych biczowników. Śmiał się wtedy i nie wierzył. A teraz sprawdził własnymi oczyma!

Wszak Joe był tam wśród nich. I ona! Wzdrygnął się i znowu go ujrzał przed sobą — nagiego, skulonego. Znowu zobaczył okrwawione ciało Daisy i te jej cudne, strome piersi, pocięte krwawymi pręgami.... Ach, każda z tych ran głos miała swój, krzyczała mu w sercu boleścią i żalem; czuł je w sobie, paliły go i zalewały żywą, ciepłą krwią, smagały szaleństwem.

Z wściekłością roztrzącał przechodniów i zaczął biec jak wariat, aż ludzie przystawali, a jakiś policjant popędził za nim; ale on biegł coraz prędzej, gnany tym świstem bambusów i zjawą jej okrwawionego ciała, tak że tylko wyciągnął ręce i schwytał...

Dopiero Tamiza<sup>90</sup> zagroziła mu drogę, a obezwładniła go ciemność i cisza, panująca na wybrzeżu. Siadł bezwiednie na jakichś schodkach, wiodących do rzeki; pod nim pluśkała woda, obryzgując mu twarz rozgorączkowaną, a niekiedy, w ciemności, powstawały z sykiem fale, chwiejne i długie jak węże, i szły cicho obejmować mu stopy — nie czuł tego, zapatrzony w ciemności.

Czarne, ruchome masy wód przewalały się w nieprzeniknionych mrokach z posepnym szumem, bełkotały głucho i trwożnie i płynęły wciąż, bezustannie, jakby w wiecznej pogoni i w skardze wiecznej na trud nieustanny, na trud nieśmiertelny.

Nie było nieba ni gwiazd, tylko przyblakłe luny tliły się rdzawym, wilgotnawym pyłem nad miastem. Woda pusta była i cicha; po zgubionych, niedojrzanych wybrzeżach błyskały latarnie, chwając się jak kwiaty czerwone i złote, a dalekie mosty huczały sennie i połyskiwały lukami kolorowych świateł na rozedrganej, zasępionej rzece.

Czasem statek jakiś przesunął się wśród ciemności, zamajaczył rozgorzałymi oknami i przepadał — jak to, czego nigdy nie było.

A niekiedy z miasta napływały osłabłe echa zgłębów i wionęły drganiem syrkami, i martwe padały na wodę. To wiatr jakiś hukliwy<sup>91</sup>, niesforny, przejęty zgnilizną i błotem, wydzierał się z ulic, zatoczył się jak pijany i pełzał po wybrzeżu, do nagich drzew stulonych w ciemności... I potem, długo, długo słychać było ich dygot bolesny i cichy, łkający płacz...

Zenon siedział jak martwy z wyczerpania i tak zagubiony w sobie, a daleki od rzeczy zewnętrznych, że, choć dość często rozlegały się jakieś kroki po granitowych wybrzeżach, nie słuchał ich zupełnie. Nie wiedział i o tym, że już parę razy wyłaniała się za nim jakaś postać i przyczajone, zbójeckie oczy błyskały w ciemnościach.

W tej chwili nie wiedział o niczym i nic nie pamiętał; dusza mu omdlała i padła w mrok — była jak ta łódź, kołysząca się na fali pod jego stopami, martwa i pusta... Słyszał tylko ciche i trwożne szmery wód, jakby senne szepty własnego serca, czuł w sobie rozpościeranie się nocy przeniknionej, nocy kojącej i pełnej cichego płaczu drzew zziębniętych, bolesnych szamotań wody i dziwnej, nieopowiedzianej tęsknoty.

Zdało mu się, że leży wśród fal i płynie w nieskończoność zatruty i zapomnienia, że jest już tylko tym nieutulonym, żalonym płaczem, a noc obejmuje mu rozpaloną i ciężką

<sup>89</sup>*Arabi Pasza* (1842–1911) — właśc. Ahmad Urabi Pasza a. *Ahmad Arabi Pasza*; egipski polityk i oficer, minister wojny, przywódca powstania antybrytyjskiego i antyfrancuskiego w Egipcie. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*Tamiza* — rzeka w płd. Anglii, przepływająca przez Londyn. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*hukliwy* (daw.) — huczliwy. [przypis edytorski]

głowę chłodnymi, matczynymi rękoma i kołysze pieściwie, kołysze upajającym, słodkim ruchem i śpiewa jakąś pieśń zapomnianą, pieśń dzieciństwa i umarłej tajemnicy...

Byłby tak może przesiedział noc całą, w tym radosnym zagubieniu siebie, gdyby się nie rozległ nad nim surowy i grzmiący głos:

— Radzę stąd iść, zimno tutaj i niebezpiecznie.

— Ale cicho i dobrze! — odrzekł niechętnie, powstając, bo policjant wziął go pod rękę i uprowadzał daleko od rzeki.

— Czy i utopić nie pozwalacie się nikomu? — zapytał ironicznie.

Ale policjant doprowadził go do oświetlonych ulic, obejrzał i oddalił się bez słowa.

„Gdyby mnie aresztował, nie potrzebowałbym wracać do domu”, myślał, wahając się przez chwilę, czy nie iść za nim i nie prosić go o to jak o łaskę największą. Ale policjant już zniknął. Pozostał sam, bezradnie rozglądając się po pustej uliczce. Nie chciało mu się iść do domu, nie chciało mu się iść nigdzie; ot, chętnie siadłby pod pierwszą lepszą ścianą i tak pozostał — i gdyby nie pisk szczurów, przebiegających rynsztokami, który go przejął obrzydzeniem, byłby to zrobił z pewnością.

Powlóknął się dalej, poczuwszy naraz, że jest mu niezmiernie zimno i że mu się chce jeść.

Na Strandzie było już prawie pusto, tylko niekiedy z szynków lub bocznych ulic wytaczały się gromady pijanych i zaczynały śpiewać chrapliwie. Większość sklepów była zamknięta, już było dość późno. Stały tylko otworem niezliczone bary, a po trotuarach spacerowało pełno wymalowanych kobiet; zaczepiały go ustawicznie spojrzeniami, a śmielsze brały wprost pod ramię, odciągając w ciemne uliczki. Odsuwał je bez słowa, ale łagodnie, szukając, gdzie by wejść, aby się nieco posilić.

Zaglądał do wielu szynków, ale straszły go te wnętrza, buchające alkoholem i pijacką wrzawą, tak że cofał się i znowu szukał.

Ulicą snuło się dość podejrzanych i dziwnych postaci. Latały jakieś słowa, rzucane z cienia. Zbierały się w bocznych, ciemnych zaułkach tajemnicze gromadki, a pomiędzy nimi uwijał się jakiś stary, siwy człowiek i roznosił czerwone i zielone kartki ze świętymi sentencjami, głoszącymi o hańbie kalania ciała rozpustą. Uśmiechał się smutnie i śpiesznie zniknął, by jakaś pięść nie spadła na jego garb.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, bo tam, w ciemnych zagłębieniach domów, pod licznymi teatrami, przed oświetlonymi jeszcze kantorami pism — gdzie się tylko gromadziło więcej ludzi, skąd tylko wzywały czatujące sylwetki dziewczyn i rozlegały się wabiące psykania — ukazywała się wysoka, czarno ubrana kobieta, odważnie rozdająca wszystkim święte sentencje. A nieraz czaiła się wprost w jakimś cieniu i nagle zastępowała drogę parom, chwilowo skojarzonym, nie bacząc na obelgi, szturchańce i plugawe, okropne wymyślenia, jakimi ją co chwila obrzucały rozwścieczone dziewczyny; przyjmowała je z pokorą, pochylała głowę i szła dalej niestrudzenie, czyniąc święte dzieło miłosierdzia i litości.

Zenon zatrzymał się przed nią, wyciągając rękę. Podniosła na niego bladą, piękną twarz, podając mu całą garść kartek. Przemówił nieśmiało:

— Sieje pani niestrudzenie dobre słowo.

— Grzeszna byłam. Pan mnie oświecił i podniósł z dna hańby, przeto żywotem swoim pokutę czynię... — odparła z surowym namaszczeniem.

— Należy pani do Armii Zbawienia<sup>92</sup>?

— Jestem z kościoła Pogromców Grzechu.

— Z kościoła, chcącego zwyciężać zło sentencjami! — ironia zadźwięczała mu w głosie.

— Jeśli one nie nakarmią duszy, i chleb podany stanie się im kamieniem.

— A któż je wybawi z nędzy?

— My, panie, nasz kościół, niszczący zło aż do dna i walczący dobrem... Oto szczegóły i wykazy naszej działalności. — Podała mu cienką broszurkę.

— Nie obawia się pani obelg ni niebezpieczeństwa?

— A ze mną jest Pan!

— Być może, ale jest pani tak młoda, piękna i bezbronna — szepnął mimo woli.

<sup>92</sup>*Armia Zbawienia* — angielska organizacja religijno-filantropijna założona w drugiej połowie XIX w. przez Williama Bootha (1829–1912) i zorganizowana na wzór wojskowy. [przypis edytorski]



Zmierzyła go posępnie czarnymi, ogromnymi oczyma.

— Piękność twoja to pozór, którym szatan przywodzi cię do grzechu, to maska, kryjąca cuchnącego trupa, więc ją znieńdź i daj w pogardę samemu sobie — powiedziała fanatycznie i odeszła.

Wzruszył ramionami i, nie wahając się już, wszedł do pierwszego z brzegu szynku.

Przed bufetem, okutym błyszczącą miedzią, stały dwie dziewczyny, wystrojone jak skrawo. Nie zwracając uwagi na ich zaczepne słowa, poszedł do wielkiej, niskiej sali — poprzegradzanej niewysokimi przepierzeniami tak, że tworzyła szereg łóż odosobnionych, przeciętych wąskim korytarzem — i kazał dać sobie jeść.

Wkrótce w sąsiedniej przegrodzie zasiadły dziewczyny, często zaglądale do niego górą, ale nie zauważył tego, jedząc pośpiesznie i gęsto zapijając.

Prawie nigdy nie pijał, więc teraz odczuwał dziwnie bolesną i drażniącą rozkosz, wyróżniając kieliszek po kieliszku. Uspokajała go wódka; znużenie ustępowało, bezwładna myśl rozjaśniała się z wolna jak zarzewie, a całe jego ciało przejmowało kojące ciepło.

Upijał się prędko, dolewając sobie bez pamięci; ogarniała go cicha rzewliwość i błoga, rozkoszna ociężałość. Uśmiechał się sam do siebie głupim, pijanym śmiechem.

A szynk porykiwał chwilami pijackim gwarem; przez cienkie przegrody rwały się szczęki butelek, pijane mamroty, schrypnięte krzyki dziewczyn i buchały niekiedy brutalne, ohydne wrzaski. Dymy z fajek i cygar przysłały światła gryzącym tumanem, a obrzydły zapach rozwlóczył się po sali. Ale Zenon nic już z tego nie czuł, nie słyszał, objęło go bowiem takie pijackie rozrzewnienie, że chciało mu się płakać nad samym sobą. Poczł nagle niezmierny ciężar samotności i opuszczenia, niezmierne oddalenie od jakiegoś życia, którego nie mógł sobie teraz przypomnieć. A przy tym był już tak pijany, że się nie mógł poruszać; położył głowę na stole i, usiłując sobie coś przypomnieć, zapadał w gorączkową drzemkę — budził się z niej niekiedy, próbował wstać i znowu zasypiał.

— Panie, pójdziemy razem! — szeptała jedna z dziewczyn, wchodząc do zagrody.

— Czego, co? — wybelkotał po polsku, nie rozumiejąc, skąd się wzięła.

— Pan Polak? Rózia! chodź tutaj! *Mr* jest Polakiem — nawoływała zdumiona.

— Tak. Czego chcecie? Prędko... Prędko...

— No, nic... Niczego... Myśmy już sześć lat nie słyszały po naszymu... My tu zaraz... Na Durham Street<sup>93</sup>... Tam byśmy pogadali po naszymu... Niech pan pójdzie...

Obiadły go, ale umilkły, onieśmiałone jego wyniosłą, dumną twarzą i milczeniem, a może i jakimś utajonym w głębi serca wzruszeniem, dziwnie radosnym, jakie owładnęło nimi na dźwięk prawie zapomnianego języka, na dźwięk słów, co wskrzeszały nagle dawno pomarłe wspomnienia...

Otrzeźwiał nieco, wstrząśnięty tym spotkaniem nieoczekiwanym. Kazał dla nich po dać jeść i pić, zmuszając je prawie do jedzenia, bo się usilnie wymawiały, nie śmiejąc się przyznać do głodu i wzruszone niezmiernie jego dobrocią. Lecz wreszcie dały się namówić, zabierając się dość łapczywie do krwawej baraniny. Ale co chwila przestawały, podnosząc trwożliwe, badające, a wdzięczne oczy, bo troskliwie podsuwał im talerze i nalewał kieliszki, rozmyślając na pół przytomnie, o czym by mówić z nimi. Dziewczyny zaś odzywały się niekiedy zawstydzonym, pokornym głosem, mieszając bezwiednie słowa angielskie z polskimi, o przykrym akcencie żargonowym.

Obie były jeszcze dość młode i przystojne, ale tak wymalowane, uróżowane, obwieszane fałszywymi kosztownościami, zautomatyzowane w beczelnych ruchach i pozach, zmartwiałe w rysach, że sprawiały wrażenie figur woskowych jakiegoś podwórkowego *panopticum*<sup>94</sup>, wyszarzanych poniewierką i śmiertelnie znużonych pod maską bielidla — bo w oczach podczernionych i wyzywających tał się wyraz wiecznego lęku i długich lat głodu i hańby. Zrzuciły okrywki, prezentując z pewną bezwiedną dumą swoje śmieszne stroje, pełne świecideł; jedna z nich, wyższa, była dość głęboko wydekoltowana.

Drgnął naraz, dojrawszy na jej plecach czerwoną pręgę, jakby od bata.

— Skąd jesteście? — zapytał, przypatrując im się nieznacznie.

— My obie z Kutna<sup>95</sup>, może *Mr* zna?

— Znam, znam! — odpowiadał, myśląc o tej dziwnej prędze.

<sup>93</sup>*Durham Street* — historyczna ulica londyńska. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*panopticum* (łac.) — wystawa osobliwości; gabinet figur woskowych. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*Kutno* — polskie miasto, obecnie w województwie łódzkim, siedziba powiatu. [przypis edytorski]

- Pan zna Kutno? Rózia! *Mr* zna nasze miasto! — wykrzyknęła zdumiona.  
— Cicho, Salcia, bo może *Mr* jest sam dziedzic? — uspokajała ją przezornie.  
— *Mr* jest sam dziedzic? Prawda?

Skinął potakująco, nie rozumiejąc pytania, nie mogąc oderwać oczów od tej czerwonej pręgi, przeniesiony rozblyśłym nagle przypomnieniem tam, w szaleńcze koło biczowników. A one, rozradowane, wzruszone do głębi, ośmielone już, zaczęły opowiadać na przemian o tym mieście rodzinnym. Wyrywały sobie z ust przeróżne szczegóły, rozbudzały wspomnienia, stając w olśnieniu szczęśliwości wobec jakichś dni, nagle wyłonionych z pamięci, wobec lat, przypadłych w kurzu poniewierki, a zmartwychwstających teraz radością samą i szczęściem. Przestały jeść, wrzeszczały coraz głośniejszymi śmiały się jak dzieci, upijając się wspomnieniami i wódką, której już sobie nie żałowały. Zrywały się z miejsc i — zmęczone, rozgorzałe, nabrzmiałe łzami, zapominając o nim, o sobie, o całym świecie, oszalałe zgoła — przycichły naraz, wybuchając długim, żalonym płaczem. Ale i wtedy nie przestając snuć wspomnień przelazionych.

— Ty, Salcia, pamiętasz dziedzica? Pamiętasz, on miał cztery konie czarne jak smoki, karetą jeździł, co się świeciła jak lustro? Pamiętasz?

— A ty pamiętasz, Róziu, dom pana burmistrza?

— Ja bym nie pamiętała! To nie dom, to pałac! Pokaż mi taki pałac w Londynie! Na całym świecie nie ma takiego drugiego!

— A ty pamiętasz tę górę za miastem? A za nią wieś?

Nic z tego nie rozumiał ani nie słyszał, ale naraz, budząc się z zapatrzenia, dotknął tej pręgi palcem i zapytał cicho:

— Od czego masz ten znak?

— To... Zadrapałam się, to mój narzeczony — dodała śpiesznie pod jego rozkazującym wzrokiem, przyginając się z trwogi.

— Nieprawda... Musiałaś być tam — syknął, nachylając się do niej.

— Gdzie? Gdzie ja miałam być? — wołała, przestraszona jego nieprzytomnymi oczyma.

— Byłaś... Cała ociekasz krwią... Cała jesteś w ranach... Cała w pręgach... Pokaż... — szeptał urywanie, wyciągając chciwe, rozedrgane ręce; a gdy dziewczyna chciała uciekać, pochwycił ją jak w szpony, z błyskawiczną szybkością podarł jej stanik i wyłupał z niego jej nagie, sinawe plecy.

Opadły mu naraz ręce bezwładnie i zatoczył się na ścianę.

Dziewczyny zaś, zaskoczone gwałtownością tego, co się stało, wpadły w osłupienie — nie śmiejąc się ruszyć ni podnieść głosu, patrzyły zamarłym wzrokiem, obłąkane prawie ze strachu i grozy.

— Nie bójcie się, nie. Ja krzywdy wam nie chciałem zrobić. Darujcie, nie... — szeptał, sam przerażony tym, co się stało, i oddawszy im, ile tylko miał pieniędzy, uciekł z szynku.

W hotelu już wszyscy spali. Światła były pogaszone, dom objęła ciemność i cisza, ledwie rozwidnione korytarze ciągnęły się ponurymi tunelami, w których, jak przyczajone oczy pantery, migąły gdzieś przyćmione światełka.

Położył się zaraz, ale nie zasnął. Leżał z otwartymi oczyma — daleki od snu, daleki od wszystkiego, jakby na dnie ostatecznego zamętu duszy. A na krawędziach lękliwej i rozchwianej świadomości czaiły się posępne, złowrogie zjawy nadchodzącego jutra; mary, lęku pełne, przepływały mu przez mózg, zatapiając w nim ostre, drapieżne szpony majaczeń bolesnych.

— Coś się straszno dzieje ze mną! — to jedno teraz czuł tylko i wiedział.

Drzwi wejściowe trzasnęły tak silnie, że się wyrwał z odrętwienia; jakby ktoś szedł przez pokój — zatrzeszczała posadzka i meble zadręgały dość głośno.

— Kto tam? — pytał donośnie.

Nie było odpowiedzi, kroki przycichły, ale jakieś ręce przebiegły po klawiszach — ciche, przebudzone dźwięki zadręgały na mgnienie. Wskoczył z łóżka i chwycił rewolwer.

— Kto tam? — zawołał znowu; i znowu żadnej odpowiedzi, usłyszał natomiast ostry i szybki skrzyp pióra po papierze i szelest przewracanych kartek.

Rozniecił światło i rzucił się do pierwszego pokoju, skąd szły te odgłosy, ale tam nie było nikogo. Przeglądał wszystkie kąty, zajrzał nawet do szaf i pod łóżko — ani śladu.

List

Próbował drzwi; były zamknięte, klucz tkwił w zamku... Powrócił do biurka, nie wiedząc już, co myśleć o tym, gdy wpadł mu w oczy arkusz nutowego papieru, porzucony na rozłożonej książce. A na nim czerniały jakieś słowa, napisane jeszcze niezaschłym atramentem: „Szukaj... Idź za spotkany... O nic nie pytaj... Milcz... Bądź bez trwogi... *SOF* otwiera tajemnice...”. Przeczytał kilkakrotnie — pismo było wyraźne, sztrychy<sup>96</sup> energiczne i, widocznie jakby dla zwrócenia uwagi, szło w poprzek papieru. Pióro, jeszcze mokre, leżało obok.

— Cóż u diabła za żarty rebusowe, kto mi to nabazgrał! — wybuchnął, ani na chwilę nie przypuszczając czegoś innego.

Rzucił papier na biurko i poszedł z powrotem do łóżka. Był pewny, że uległ złudzeniu. Zgasił światło, okręcił się w kółkę i próbował zasnąć.

Znowu cichy, ledwie dosłyszany dźwięk fortepianu wionął z drugiego pokoju — ta tajemnicza, dziwna melodia, którą słyszał wtedy na seansie.

— Kto?... — ale zamilkł, zdławiony śmiertelnym przerażeniem.

## ROZDZIAŁ V

Mr Zenon już od trzech dni cały prawie czas przepędzał na ulicach.

Nazajutrz po niewytłumaczonym zjawieniu się pisma obudził się rano, przeczytał znowu te słowa zagadkowe, ubrał się pośpiesznie i wyszedł.

I odtąd chodził wciąż, chodził bezustannie, nawet spać nie przychodził do swojego mieszkania. Jadał również, gdzie mu wypadło i o ile głód go zmuszał. Bał się wracać do hotelu; zaglądał do niego codziennie, ale tylko po to, aby od odźwiernego odebrać listy Betsy, których zresztą nie czytał.

Błądził wciąż po mieście. Uciekał, szukając, unikał, nie mogąc się wyrwać z tłumów i przypatrując się z najwyższą uwagą każdej twarzy spotykanej, zaglądając trwożnie w każde oczy i drżąc wiecznym czekaniem, że posłyszysz jakieś słowo, dojrzy jakiś znak, zrozumie jakieś spojrzenie — a wraz stanie się to, co mu było zapowiedziano.

Nie zwracał uwagi na zimno, mgły, deszcze ni porę. Włóczył się bezustannie z miejsca na miejsce, często całymi godzinami wystając na rogach ulic, czając się pod wystawami, obserwował przechodniów, odgadywał w mrokach ich twarze, biegnąc na oślep za każdą postacią i za każdym spojrzeniem szczególniejszym. Czasami zachodził do kawiarni i szynków zatłoczonych, aby wypocząć; ale skoro przejrzał twarze, zrywał się od niedopitej szklanki, bo czuł, że musi iść dalej, musi szukać, musi czekać...

„Szukaj... Idź za spotkany, o nic nie pytaj... Bądź bez trwogi... *SOF* otwiera tajemnice”, brzmiały w nim ciągle te słowa bezwzględny, mocny nakazem.

Najslabsza chęć oporu w nim nie powstała. Był jak cios, rzucony ręką nieubłaganego, biegnący po swojej linii niepojętej do niewiadomego celu, ślepo posłuszny i zamarty na wszystko, co nie było tą ciemną, nieznaną koniecznością.

A przecież był zupełnie przytomny i świadomy tego, co się dokoła niego działo, tylko że przerwał się w nim wszelki związek z przeszłym życiem; myślał o nim, jak się czasem myśli o dziwnych opowieściach, zasłyszanych gdzieś bardzo dawno i już tonących w strupieszających dalach zapomnień.

„Co się stanie?”, myślał w rzadkich chwilach wewnętrznego przebudzenia; i wtedy całą mocą chciał wyrwać z niewiadomego tę zjawę jutra. Ale nie rozwiały się mgły, w których błądził, i nie rozerwało się błędne koło ślepego biegu za nieznanym, tak że znowu szukał, znowu czekał...

Krążył po City<sup>97</sup> i tam nieraz całe godziny przewalał się wraz z ciżbą, porwany przez fale tłumów, ale obcy im i daleki, i wciąż czatujący naprężonym, głodnym spojrzeniem. Zaglądał do muzeów, zagłębiał się w puste, przemiękłe i przemglone parki, błądził po wybrzeżach, jeździł wszystkimi napotkanymi omnibusami, przesiadając się bezustannie, zwiedzał zatłoczone teatry i banki, okrążał Londyn podziemnymi kolejami. Był wszędzie — niestrudzenie i bezustannie, gorączkowo goniący za niepochwytym cieniem, ciągle czyhający i ufny niezmiernie, spokojny i pewny, że znajdzie to, czego szuka...

Szaleństwo

<sup>96</sup>sztrych (daw.) — linia, kreska. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>City — właśc. City of London, historyczna dzielnica finansowa w Londynie. [przypis edytorski]

Nawet już policjanci zaczęli zwracać uwagę na jego twarz bladą i oczy błędne, a wciąż szukające wśród tłumów — oczy przenikliwe i puste zarazem — i na jego nieobliczone ruchy, bo już wiele razy rzucał się w pościgu w największą ciżbę powozów i omnibusów, wprost pod konie. Ale zawsze jakimś cudownym trafem wychodził bez szwanku, nawet nie wiedząc, iż był w niebezpieczeństwie.

I z wolna, nie spostrzegając tego, w tej obłąkanej pogoni za nieznanym, a może i nieistniejącym, zaczął tracić poczucie nawet tej zewnętrznej rzeczywistości; bo, czatując wciąż z napiętą do ostatnich granic uwagą, przestał spostrzegać ludzi i wyodrębniać ich. Wydawali mu się jakimś potwornym płazem o tysiącach głów i nóg, wijącym się bezustannie z głuchym i przerażającym szmerem.

A potem i Londyn stawał się dlań jakąś puszcza fantastyczną, głuchą i martwą, a pełną dziwnych zjaw, pełną stawań się rzeczy tajemniczych i strasznych, których nie mógł zrozumieć. Czuł tylko, że się stają dokoła niego, że są... Więc chodził w ciszy podziwu i niewy tłumaczonej, niejasnej zgryzoty, bo oto zaczął spostrzegać ukrytą przed zwykłym wzrokiem jakby duszę rzeczy wszelkiej...

Chodził po mieście niby po kamiennej, czarodziejskiej bajce, przepelnionej świecami, nigdy niewidzianymi drzewami, a co chwila spostrzegał jakieś cierpiące, chore domy, pochylone w męce wiekowego trwania, pełne ran, jęków i znużenia. Czuł bolesny dygot drzew, potopionych w mgłach i konających z tęsknoty do słońca, do rzeźwiących, wiśnianych powiewów. Słyszał ich jęki, niemilkące nigdy... Nigdy... I lży, spływające cicho po chorych gałęziach.

Zadumał się przed wieżą Tower<sup>98</sup> — stała, posepnie zamysłona, tragicznie ostatnia z dni dawno pomarłych, ale wyniosła w osamotnieniu i dumnie pogardliwa wobec nowych spraw i dni nowych, dni, plugawie pelzających u stóp jej nieśmiertelnego majestatu.

Uciekał trwożnie od płaskich, wielmożnych, a głupich pałaców West Endu<sup>99</sup>, które śmiały się z niego urągliwie tłustymi, beczelnymi głoskami rozsądku; uciekał od składów olbrzymich i sklepów, gdzie zrabowane ziemie świata całego jęczały męczeńsko.

Gubił się, zasłuchany w leniwą gędzbę<sup>100</sup> parków omglonych, w niewolniczy, strachliwie podły szepet żywopłotów, wyprężonych i stróżujących. Słuchał ptaków, przelatujących na niedojrzanych wysokościach i rozkrzyczanych żalosną skargą. Rozmawiał z bezdomnymi psami, gnijącymi wśród śmietnisk, tak że wlokły się za nim gromadami. A wszędzie i we wszystkim czuł duszę bolesną, tragiczny przymus trwania, gwałt wiecznie żywy, brutalną przemoc losu. Nawet te kamienie pomników w Hyde Parku<sup>101</sup> skarżyły mu się na tych, którzy je wydobywali z pra-lona ciszy na jawę dni nieszczęsnych. Nawet wody Tamizy, wiecznie goniącej, szumiały żałośnie, a te jakieś żelazne maszyny, porzucone na brzegu, spracowane, pordzewiałe, omotane i skute przez myśl człowieczą, szamotały się bezsilnie, podnosząc ciche skargi na wieczny trud trwania.

A w końcu już chodził jak we śnie ledwie przypomniałym, rozchwiany w sobie i lecący w jakąś głąb jak spadająca przez nieskończoność gwiazda.

Znalazł się bez wiedzy i chęci w Westminsterskim Opactwie<sup>102</sup> i długo, prawie martwy ze znużenia, siedział pod jakimś posągim, nic nie wiedząc o sobie ni o całym świecie.

Pusto było w tych mrocznych, posepnych obszarach katedry. Niekiedy ktoś przeszedł niedojrzany i ginął, a odgłos kroków rozlegał się echem pod wyniosłymi nawami, w przgasłym świetle witrażów, w smutnym brzasku stopionych i konających w mroku barw — jakby na wiec zebrane majaczyły niezliczoną ciżbą marmurów i brązów wszystkie wielkie duchy Anglii, sól tej ziemi odwiecznej, całe wieki historii, strupieszale i zapomniane epoki obok dnia wczorajszego. Nieustraszeni rycerze, zdobywcy, poeci, biskupi, prawodawcy, dusze szczytne i wywłoki, bohaterowie i kanalie, wieszcz i słynni szczekacze parlamentarni, tyrani świata i błażni królów, święci i zbrodniarze, wyklinani przez stulecia, cnoty, poświęcenia i zdrady, cmentarzysko wieków, w proch rozwianych, a wiecznie

Miasto

Świątynia, Naród, Historia

Świątynia

<sup>98</sup>Tower — właśc. Tower of London (niekiedy: Londyńska Tower), twierdza w Londynie, budowla obronna i pałacowa monarchów angielskich. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>West End — historyczna dzielnica w Londynie. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>gędzba (daw.) — muzyka, która towarzyszy śpiewowi lub recytacji. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>Hyde Park — królewski park w Londynie. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>Westminsterskie Opactwo — właśc. Opactwo Westminsterskie, kościół anglikański w londyńskim City. [przypis edytorski]

żywe i zapładniające myśl ludzką, kamienne przypomnienia wieków, zebrane w tej prastarej katedrze na niemy sejm, radzący milczeniem o wczoraj, a czekający na nowe, przyszłe dni i przyszłe dusze swoich następców — przeszłości rdzeń i przyszłości.

Zenon oprzytomniał nieco w tej świętej ciszy grobów. Posągi zdawały się patrzeć na niego szeroko otwartymi oczyma, pochylać i mówić coś ciszą głęboką, aż zadrżał z trwogi i zaczął się z wolna przedzierać przez te tłumy kamienne, wśród coraz grubszych mroków, do wyjścia.

Ale w poprzecznej, wyjściowej nawie cofnął się prędko między tłum białych posągów, ledwie widnych w mrokach, bo jakaś znana, wysmukła i czarna postać wychodziła z drzwi głównych i przeszła, skręcając na lewo, w wysoką, wąską nawę, obiegającą prezbiterium; z lewej strony, jedna za drugą, pogodnie ciągnęły się kaplice królewskie.

Poszedł za nią w mrok. Tylko górą, w poczerniałym gąszczu gotyckich żebrowań, tliły się jeszcze trwoźnie resztki dnia, ale w dole zalegała już zupełna noc. Z gotyckich kaplic, oddzielonych kratami, sączyły się ostygłe brzaski fioletów, złota i purpur witrażowych, w których ledwie majaczyły królewskie łoża sarkofagów w ciszy niezgłębionej. Marzyły nieprzespany sen śmierci królewskie pary, w kamienny spokój wdrażone. Smugi światła tęczowym, martwym i przygasającym pyłem owiewały kamienne profile, złożone sztywnie ręce, ciężko przymknięte powieki i twarde, dumne głowy. Berła i korony połyskiwały posępną barwą odwiecznych złociń, a na wszystkim leżał ciężki majestat śmierci i kamienny spokój obojętności.

Daisy stanęła przed jedną z kaplic i, wsparta o kratę, zapatrzyła się na sarkofag.

— Wiedziałem, że muszę spotkać panią — szepnął, przystając obok niej.

Spojrzała na niego surowo, jakby nakazując ciszę.

Nie czuł już znużenia; zsunął się z jego duszy obłądny nastrój jak łachman. Był znowu zwykłym, normalnym człowiekiem.

— A jednak im jest lepiej w królestwie wiecznej ciszy — szepnął znowu.

— Któż wie? A jeśli dusze są przykute do ich wyobrażeń cielesnych, to muszą się błąkać na uwięzi materii, muszą być tutaj, muszą zaludniać te nawy niedosłyszanych przez śmiertelnych jękiem i tęsknotą oczekiwań, póki trwania tych brązów i marmurów, póki czas nie rozsypie wszystkiego w gruzy i nie uwolni ich, nie wróci przeznaczeniu.

— Byłoby to zbyt okropne! — wzdrygnął się mimo woli na te obrazy.

— Któż wie, od czego zależy śmierć jego lub życie, co go wiąże i zbawia?

— *SOF* — wyrzekł wolno, prawie mimo woli, jak się mówi nieraz słowa, tkwiące uparcie w mózgu i same płynące z ust.

Czuł, że się zachwiała i wsparła na mgnienie o jego ramię, ale nie rozumiał powodu.

Poszli już w milczeniu dalej, przystając kolejno przed kaplicami, które mrok coraz gęstszą zasnuwał przysłoną, tak że widniały w cichych brzaskach witraży, jak przez gąszcz leśną widać ostatnie zorze zachodów.

— Dawno nie widziałam pana — ozwała się dziwnie miękko, jakby z wyrzutem.

— Dawno? — zdziwił się, przypominając sobie naraz scenę biczowań i wszystkie podejrzenia, które w tej chwili usilnie odpędzał.

— Ze trzy dni chyba nie było pana. *Mrs Tracy* już się niepokoiła.

— Trzy dni!... Nie... Wczoraj czy nawet dzisiaj wyszedłem... Nie... Doprawdy pierwszy raz mi się to zdarza, że dobrze nie pamiętam...

— Zagubił pan pamięć tych dni? — pytanie dyskretnie zadzwieczało w jej głosie.

— Nie... Skądże... Wiem już, że dzisiaj po śniadaniu grała pani na fisharmonii w *reading-roomie* — mówił szybko, z trudem wiążąc wspomnienia.

— Myli się pan; od trzech dni nie tknęłam nawet klawiszy.

— Więc... Cóż się ze mną działo? Przez trzy dni... Przez... — wyszeptał trwoźnie.

Zamajaczyły w nim nagle, porwane i senne przypomnienia czegoś, czego nie mógł skupić i wydobyć na jawę zrozumienia świadomości.

— A jednak... Jednak czekałem na panią...

Nie odpowiedziała. Klucznik zaczął dzwonić, a po katedrze błądziły światła, obszukujące przed zamknięciem kąty. Wyszli na skwer.

— Czasem zapominamy własnego istnienia lub patrzymy na nie jak na obce nam, poza nami będące... A czasami dusza, porwana jakimś tajemniczym wirem, gubi ciało, nie spostrzegając tego — mówiła w zamyśleniu.

— Więc i ja musiałem się zagubić w czasie, musiałem...

Wyciągnęła do niego rękę, gdy doszli do rogu Victoria Street<sup>103</sup>.

— Pani nie do domu? — pytał, wyrrywając się siłą z tych sennych omotań.

— Muszę jeszcze przed obiadem odwiedzić moich kalkuckich przyjaciół — mówiła wesoło, a w świetle latarni i wystaw dojrzał na jej cudnej twarzy wyraz dziwnie słodki, dziwnie przyjazny, jak nigdy dotychczas.

Patrzyła mu prosto w oczy cichym i prawie tkliwym spojrzeniem; wyjrzała nawet w nim z *caba*, tak że przejął go dreszcz radosnego wzruszenia i długo, długo patrzył za nią.

I natychmiast pojechał do domu, przynaglając woźnicę do pośpiechu.

Odzwierny powitał go radośnie i, oddając całą pakę gazet i listów, opowiadał dyskretnie, że jakieś dwie panie dowiadywały się o niego już dwa razy dzisiaj; po pewnych szczegółach domyślił się, że to musiała być Betsy z którąś z ciotek. Sprawilo mu to odkrycie niewymowną przykrość.

— Cóżście paniom powiedzieli? Przecież... *Mr Joe* u siebie? — zakończył śpiesznie.

— Przeszedł niedawno na górę.

Pobiegł do mieszkania, pozapałał światła i stanął zdumiony przed zwierciadłem, prawie przerażony własnym widokiem, był bowiem brudny, zarosły, obszarpany i tak ubrany, jakby sypiał w parkach lub pod mostami.

— Gdzież ja się tak urządziłem?

A gdy po przebraniu się zabrał się do czytania listów, pierwszą rzeczą, którą spostrzegł, był ten papier z tajemniczym nakazem; przypomniał go sobie natychmiast, nic już nie wiedząc, jak bardzo był mu posłuszny. „Muszę się dowiedzieć, kto to napisał”, pomyślał, chowając go do kieszeni.

Zmartwił się szczerze listami Betsy; nie rozumiał zgoła, dlaczego było ich aż tyle.

Sprawdzał daty i cofał się przed rozwiązaniem zagadki; bo ile razy jakieś słabo tlejące przypomnienie tych dni zamajaczyło w nim, czuł zamęt w głowie jakby nad przepaścią. Uciekał prędko i zatapiał się w tych dobrych, słodkich wołaniach Betsy, skarżącej się na brak wieści i zapomnienie.

Odpisał obszernie, starając się ją uspokoić z całego serca i obiecując przyjść jeszcze przed niedzielą.

Służący zameldował o podaniu obiadu, przynosząc jakąś depezę.

To Betsy, nie mogąc się doczekać listu, telegrafowała długą, pełną niepokojów skargę, błagając o parę słów odpowiedzi: co się z nim i Joem dzieje?

A w przypisku donosiła lakonicznie o chorobie ojca.

Napisał kilka uspakajających słów, wysłał depezę i poszedł na obiad.

*Mrs Tracy*, przyciskając czule koty do obszernego łona, jęła go tkliwie wypytywać o zdrowie i co się z nim działo.

— Wyjeżdżalem — odparł krótko, spostrzegając *Miss Daisy*, siedzącą już na swoim miejscu, że łbem *Bagh* na kolanach; zielone oczy pantery wpijały się w niego z taką siłą, że usiadł zmieszany i niespokojny.

— Co się z tobą działo? — pytał *Joe*, siadając obok.

Nim odpowiedział, podał mu depezę Betsy.

— Pojadę tam zaraz po obiedzie... Niepotrzebnie się niepokoi. Pojedziesz ze mną?

— Nie wiem... Cóż to za świta przy *Mahatmie*?

— Profesorowie z *Eton*<sup>104</sup> i różni uczeni — szepnęła, wskazując nieznacznie kilku starych panów, siedzących dokoła *Guru*, przy końcu stołu. — Odbędzie się prawdziwie platońska biesiada! — dodał z naciskiem.

— Tak, oślica *Balaama*<sup>105</sup> przemówi mową wyroczną — rzucił ironicznie.

— Nie odpowiedziałeś mi na pierwsze pytanie.

— Ale i ciebie nawzajem nie pytam o nic... O nic...

<sup>103</sup>*Victoria Street* — właśc. Queen Victoria Street, historyczna ulica w londyńskim City. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*Eton* a. *Eton College* — tu: jedna z najstarszych szkół męskich w Anglii. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*Balaam* — biblijny prorok ze *Starego Testamentu*, który został poproszony przez króla Moabu, by przeklął Izraelitów podczas ich wędrówki przez pustynię; gdy *Balaam* jechał do króla na oślicy, zatrzymał go anioł i zmusił do powiedzenia jedynie tego, co nakazał Bóg, a wówczas *Balaam* zamiast przekląć Izraelitów trzykrotnie im pobłogosławił (zanim jednak pojawił się anioł, jako pierwsza do *Balaama* przemówiła oślica). [przypis edytorski]

Rozdrażniał go ten wyteżony wzrok pantery, tak że nie mógł się powstrzymać od złośliwości.

— Pytaj, nie ukrywam nic przed tobą — powiedział łagodnie, zdziwiony jego tonem opryskliwym.

— Czy i *Miss Daisy* była z wami?

— Gdzie? Nic nie rozumiem, powiedz otwarcie...

— No, wtedy, na tej krwawej ceremonii biczowania... Nie zaprzeczysz przecież... Nie po wiesz także, iż zapomniałem — szeptał twardo, ale dojrawszy w jego oczach, szeroko rozwartych, najszczerze i głębokie zdumienie, przerwał.

— Że mówisz rzeczy zgoła niewiadome mi, na to daję ci słowo honoru.

— Opowiem ci je szczegółowo, jak powrócisz z Bartelet Court... A tymczasem powiedz, czy nie znasz tego pisma? — Podał mu ów nakaz tajemniczy.

Joe przeczytał i długo rozmyślał, nieznacznym, cichym, a badającym spojrzeniem ogarniając *Daisy*, wyjątkowo dzisiaj rozmowną, prawie wesołą.

— Nie znam tego pisma... Pomyślę jeszcze o tym — odpowiedział wreszcie, nie podnosząc na niego oczu i, skoro się obiad skończył, wysunął się cichaczem niezauważony, bo uwaga była zwrócona na spór, jaki coraz głośniejsze prowadzili uczeni z Mahatmą.

— Przejdźmy do *reading-roomu*; oni krzyczą jak kornakowie<sup>106</sup> na nieposłuszne słonie — zaproponowała *Daisy Zenonowi*.

Pantera cicho, z przygiętym do ziemi łbem, węsząca, ostrożna, pobiegła przodem, skoczyła na fotel i, zwinąwszy się w kłębek, zdawała się drzemać.

— Obrzydliwy czas w Londynie! — zaczęła *Mrs Tracy*, patrząc przez zadeszczone okno.

— Luty, wszędzie tak samo zimno, deszcze i mgły.

— Nie wszędzie, *Mr Barney*. Rok temu byłem na dalekim południu i pamiętam, jak tam było słonecznie i ciepło — zaprotestował *Zenon*.

— We Włoszech? — zapytała *Daisy*, siadając obok niego.

— Tak, w *Amalfi*<sup>107</sup>, za *Neapolem*<sup>108</sup>.

Zaczął z zapalem opisywać cuda dni słonecznych, cuda mórz lazurowych, posianych słonecznymi skrami, gaje cytryn, dojrzewających w amfiteatrach, gór, opłyniętych błękitem i zapatrzonych w nieskończoność; dale pełne słodocy, gdzie wskroś topieli nieba pogodnego i morza przemykają czerwone żagle jak skrzydła ptaków nieznanych. Wysępki, podobne do przejrzystych szmaragdów, zatoki wśród skał zielonych, spleśniałych, opiętych w bluszcze, jakby drażone w jednej sztuce olbrzymich turkusów. Stare, umarłe wieże, pełne zielonych jaszczurek i mew białych jak śnieg. Ciche i słodkie życie tych zapomnianych wybrzeży, gdzie nawet śmierć nie jest straszna nikomu, bo przychodzi jak zmierzch wieczorny i klei do snu słodkiego olśnione blaskami oczy; gdzie nie ma fabryk, nie ma miast zgiełkowych, nie ma chaosu sfery ludzkiej, zażerającej się nawzajem o byle ochłap; gdzie się odczuwa samą rozkosz istnienia! Gdzie panują jeszcze w sercach dobre bóstwa Grecji wespół z *Madonną* zawsze czuwającą nad dolą człowieka!

Mówił długo — rozpromieniał się, unosił zapalem, nagle poczuł tęsknotą porwany, tak że rozrzewnienie dzwoniło mu w głosie, a łzy błyskały w oczach.

Nie przerywali, pogrążając się w słodką wizję, a *Daisy*, gładząc czarny łeb pantery, patrzyła na niego i jakby przez niego na te dalekie, czarodziejskie widnokreśli. Uśmiech dziwnie tęskny wykwitł na jej ustach gorących, a szafiry oczu — jak te morza dalekie, zasnułe słoneczną pajęczyną melancholii. Przez jej bladą, cudowną twarz przepływały wiotkie cienie tęsknot nagle rozkwitłych, rozmarzone pragnienia i namiętne, nieme wołania. Była jak toń przejrzysta, spokojna, a w głębiach rozchwiana, tak że przez gładzie powierzchni majaczyły zarysy tajemniczego dna.

— Tak pan opowiada kusząco, że zatęskniłam do poznania tych cudów.

— Pani, która zna baśń świata, *Indie*?

— Nieznane jest zawsze bardziej upragnione.

— Ale również zawieść może i rozczarować.

<sup>106</sup>*kornak* — poganiacz słoni, opiekun słoni. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*Amalfi* — włoska miejscowość i gmina, położona w regionie Kampania. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*Neapol* — włoskie miasto, stolica regionu Kampania. [przypis edytorski]

— O nie, bo widziałabym to wszystko oczyma pana, oczyma poety. A gdy pod takim kątem patrzymy, wszystko jest cudem i baśnią czarodziejską.

Te słowa, wymówione szczególnym, hipnotyzującym dźwiękiem, uderzyły w niego ciosem rozkoszy niewypowiedzianej. Podniósł na nią dziękczynne, olśnione oczy; spojrzenia ich się zbiegły i zatoneły w sobie jak dwie rozgorzałe przepaście. Naraz pantera ziewnęła, skoczyła na ziemię i, szczerząc straszliwe kły, czółgała się do jego nóg.

— Niech się pan nie obawia, rękę za nią.

Bagh położyła ciężki łeb na jego kolanach. Dotknął go dość lękliwie, bo była bez kagańca i te czerwono-zielone migoty jej oczu przejmowały go niepokojem.

Daisy, szepcząc do niej jakieś piśszcotelwe słowa, zaczęła ją gładzić po grzbiecie. Pochyliła się w tym ruchu tak nisko przed nim, że prawie dotykał ustami jej włosów miedzianych; muskały go drażniąco po twarzy. Miał tuż przed oczyma jej biały kark, wychylający się z kołnierzyka, tak że ogarnął go spojrzeniem i chciał dojrzeć ślady biczowania, ale pantera warknęła groźnie, a Daisy, cofnąwszy się prędko, pochwyciła jeszcze kierunek jego spojrzeń.

— Cicho, Bagh! Ona wszystko wie... Wszystko przeczuwa i za każdą moją krzywdę gotowa się zemścić... — powiedziała z lodowatym uśmiechem, zatapiając w nim dzikie, przesywające jak nóż, oczy.

Nie zrozumiał słów, ale poczuł, że się stosują do niego i groźnie ostrzegają.

Podniósł się machinalnie, głęboko dotknięty.

— Ja pani nie obraziłem ani jednym słowem, *Miss Daisy!* — szepnął pokornie.

— Są spojrzenia bardziej obrażające niżli najbrutalniejsze słowa...

— Chyba gdy obnażają starannie ukrywaną tajemnicę — dodał jeszcze ciszej.

— Albo pod tym pozorem, że jak węże obwijają się plugawym dotknięciem.

— To się nie do mnie stosuje! — rzekł surowo i szczerze.

— Ma pan w oczach pioruny! — zwróciła się do niego z dawnym uśmiechem.

— Niesprawiedliwość rani najboleśniej i gniewa!

— Bezwiedna tylko, więc się zamienia w prośbę o przebaczenie — mówiła cichutko i prosząco.

Burza przeszła, ale nie powrócił już dawny nastrój swobody i wesela.

Siedzieli niemi; nawet *Mrs Tracy* nie wiedziała, co mówić.

Zenon zaś wyszedł, korzystając z tego, że profesorowie z *Mahatmą* na czele przynosili się do *reading-roomu*, krzycząc i kłócąc się już na dobre.

Ale Joe nie powrócił jeszcze z *Bartelet Court*. Było dość wcześnie, zaledwie dochodziła dziesiąta, lecz dziwnie nie chciało mu się tam jechać — czuł się nieslychanie znużony, a ta ostatnia scena z Daisy rozstroiła go do reszty.

Rozważając jej dziwny, nierówny stosunek do niego — tę chwilami lodowatą obojętność i te prawie wyzywające spojrzenia, a może i coś więcej — gubił się w niepewnościach, w jakiejś tajemniczej, niepokojącej mgłę, pełnej zarysów ledwie dojrzanych i męczących zagadkowością.

Nie zapalał w mieszkaniu światła. Nie miał sił na żaden ruch świadomy; upadł na jakiś fotel i zapatrzony w mętną, czarniawą noc, z której sączyły się złotawe brzaski latarni ulicznych, rozmyślał, chwiejąc się oczyma wraz z cieniem drzew, kołyszących się sennie czarnym zarysem po szybach.

„A jednak ona tam była!”, myślał, spostrzegając ją znowu przed sobą, całą w pręgach, opasujących jej ciało niby rojowisko krwawych węzłów.

— Była tam, była! — powtarzał, sycąc oczy jej pięknnością i sromem tego obnażenia; i tą bolesną rozkoszą stwierdzeń jakby się mścił na niej, czując się zarazem jej bliższym o tę wydartą tajemnicę.

— Medium do biczowań! — szepnął z pogardliwą goryczą i porwał się nagle; drzwi wejściowe trzasnęły i wszystkie światła zajaśniały w żyrandolach.

Rozglądał się ze zdumieniem, bo drzwi stały zamknięte i w pokoju nie było nikogo. Tylko na biurku leżała rozłożona mapa kolejowa z podkreślonymi punktami — grubym, czerwonym ołówkiem — a obok przewodnik po Włoszech, otwarty na *Amalfi*, również opatrzone licznymi podkreśleniami.

Przyglądał się temu ze skupioną ciekawością, nie mogąc zrozumieć, kto to mógł zrobić i kiedy? Bo musiał ktoś być przed chwilą... Może nawet był jeszcze, gdyż ciężkie portiere



u drzwi drgały w ostatnim, konającym ruchu, jakby ktoś tylko co przeszedł... Posadzka zaskrzypiała w drugim pokoju... Odsunęło się jakieś krzesło... Ktoś tam był z pewnością... Ktoś przechodził z pokoju do pokoju... Drgały sprzęty... Szelest cichych kroków rozlegał się wyraźnie...

— Annie! — zawołał, myśląc, że to pokojówka.

Nie było odpowiedzi. Szelesty ucichły, ale — jakby z ostatniego pokoju — rozległ się przyciszony, daleki śpiew...

Rzucił się tam gorączkowo.

Tu również nie było nikogo, lecz śpiew spotęźniał i brzmiał donośnie w ciszy mieszkania, tak że poznał głos Daisy i tę dziwną, tajemniczą piosenkę.

Stał osłupiały w cichej trwodze, wodząc przyczajonymi oczyma po mieszkaniu.

Nie, z pewnością nie było nikogo, a dźwięki płynęły wciąż tylko — już nie wiadomo skąd. Brzmiały tuż przy nim; to płynęły górą, to okręcały się falą leniwą, przygasającą, i znowu rozbrzmiewały pełniej i silniej, gdzieś dalej, jakby w pierwszym pokoju... Pobiegł za nimi bezwiednie... Ale już rozlegały się w jakiejś dali, jakby za oknem, w gąszczach drzew, potopionych w mroku... A może i w nim samym...

Był zupełnie przytomny i absolutnie zdawał sobie sprawę ze wszystkiego, co się z nim działo w tej chwili; więc, nie bacząc na żadne względy, zapragnął dowiedzieć się, skąd ten śpiew płynie. Przypuszczał bowiem, że Daisy musi być u siebie, w przyległym mieszkaniu.

Zapukał energicznie do drzwi. Odpowiedziało mu krótkie i złe warknięcie pantery, a potem dopiero, nie otwierając, upewniała go pokojówka, że *Miss Daisy* wyjechała na miasto.

Nie uwierzył temu i poszedł do *reading-roomu*.

— Z pewnością wyjechała na miasto, sama ją odprowadzałam do schodów! — tłumaczyła mu *Mrs Tracy*, zdziwiona jego natarczywymi pytaniami, odwodząc go nieco na bok, bo profesorowie rozprawiali namiętnie.

Mahatma siedział pośrodku i jego przenikliwe, czarne oczy spoczęły na nim przez chwilę jakimś złym spojrzeniem. Odwrócił się i mówił wzgardliwym tonem:

— Wasza kultura materialistyczna, wasze wynalazki, wasze odkrycia, prowadzą do jednego: do uwielbienia brutalnej siły i złota. Służą Złu, Zło sięją... Jesteście jak sępy, krążące w przestworzach, ślepe na blaski cudów, a chciwie wypatrujące w nizinach pądliny... Przepadniecie w niepamięci czasów rychlej i bardziej bez śladów, niżli...

Zenon nie słuchał więcej. Podrażniony jego ostrym tonem, wyszedł prędko. Ale na korytarzu — jak słabe, dalekie echo — usłyszał znowu ten śpiew dziwny.

„Woła mnie! Tak wyraźnie mnie woła!”, pomyślał naraz, przypominając sobie to, za czym gonił dni tyle na próżno.

— Idź za spotkanym... Idź za spotkanym — powtarzał zbielełymi wargami i, już nie rozmyślając, bez wahania ni najmniejszej chęci oporu, spokojny, zimny prawie, zupełnie świadomie powstał w sobie posłuszny, by iść za tym nakazem nieubłaganym, jaki znowu nim zawładnął.

Poszedł w jakimś niewiadomym kierunku — za tą piosenką, co się niekiedy odzywała cichym kwileniem z cieniów i była mu drogowskazem do Nieznanego.

— Idę... Idę... — szeptał niekiedy, przyśpieszając kroku.

Dopiero na *Piccadilly*<sup>109</sup> rozwiały się zupełnie te dźwięki, tonąc w tłumie ulicznym i zgiełku. Stał wtedy bezradnie, rozglądając się po ulicy.

Po drugiej stronie, w świetle wystawy sklepowej, wyraźnie zobaczył idącą Daisy. Pobiegł natychmiast za nią, nie mogąc się jednak zbliżyć z powodu gęstwy ludzkiej, nad którą widział jej głowę.

„Niechaj się stanie, co się ma stać”, pomyślał, zupełnie niezdziewiony tym spotkaniem, pewny już, że po to tutaj przyszedł, że tak być miało...

Szedł za nią o parę kroków zaledwie, nie zbliżając się nawet wtedy, gdy tłum cały gdzieś się podział; gdy szli jakimis̄ prawie pustymi ulicami, tak że tylko ich kroki rozlegały się głucho. Szedł za nią jak jej cień nieodstępny i nigdy niezgubiony, jak konieczność...

Jakieś ulice przeszli, jakieś puste place, jakieś parki uszione i pełne cichych szmerów; i po szerokich schodach wchodzili na jakiś dworzec kolejowy.

<sup>109</sup>*Piccadilly* — historyczna ulica w Londynie. [przypis edytorski]

Kupił bilet do tej samej stacji, której nazwę ona przedtem rzuciła kasjerowi.

Nie krył się przed nią zupełnie. Weszli do poczekalni prawie razem, ale ona, patrząc nań, jakby go nie spostrzegła; błędziła oczyma po jego twarzy niby po rzeczy obcej, jak się błędzi po kamieniach przydrożnych i przedmiotach niepostrzeżonych. Nie czuł się tym dotknięty, rozumiał, iż tak być musi, a nawet chwilami wydawało mu się, że ona jest nim samym, taką dziwnie zgodną tożsamość rytmu czuł z jej duszą... Snuli się obok siebie jak dwa cienie, przenikające się nawzajem, albo jak dwa światła. Patrzyli na jednakie rzeczy i z pewnością z jednakim uczuciem niepostrzegania niczego. Byli jak te drzewa, obumarłe w czas zimowy i wynurzające się z mgieł pierwszej budzącej się wiosny — któreż z nich wie, którym jest i gdzie...

Bezwiednie chciał wsiąść do jednego z nią przedziału, ale nim doszedł, zamknęła drzwi, więc wszedł do sąsiedniego i stał w oknie całą drogę, przesuając pustymi oczyma po widomych zarysach krajobrazów, wynurzających się z nocy chmurnej, po tych sennych wizjach natłoczonych obłoków, przez które księżyc przepływał wolno, zapadając się co chwila w przepaście postrzępione i silne. A jeśli co spostrzegł, to tylko jej cień, czarną sylwetkę jej głowy, leżącą na kręgu światła, padającego z okien i biegnącego po ziemi obok pociągu — snąc cały czas stała tak samo w oknie.

Wysiedli na jakiejś głuchej, uśpionej stacji; przeszli milczące i puste sale, mroczny i równie pusty podjazd i zanurzyli się w czarną aleję drzew ogromnych.

Wiatr zahuczał, drzewa zakolysały się ciężko, powiał senny trzepot i szum gałęzi; jęk się rozległ posepny, trwożny i cichy szept przeleciał nad ziemią, zatrzęsły się przydrożne żywopłoty, zalkały smutnie twarde liście laurów. Trwoga, jak puchacz, załopotowała skrzydłami i przyczaiła się w ciemnościach.

Weszli w jakiś park śpiący, w nieprzeniknione i czarne gąszcze. Tylko pasy nieba jaśniały nieco nad głowami, wlokły się jak długie i kręte drogi, zawalone postrzępionymi chmurami. Obrzeżony rozchwianymi konturami drzew, księżyc wychylał się niekiedy, a wówczas ich cienie waliły się na drogę martwą ciemnicą i przerzynały ją jak trupy czarnymi progami.

Zenon szedł bez trwogi, zapatrzony w nikłą, ginącą co chwila w mrokach sylwetkę Daisy i zasluchany w ponurą gędbę drzew rozkołysanych...

Nie myślał w tej chwili o niczym; cienie pełne tajemniczych jaśnień załazy mu duszę rozkołysanymi, nieujętymi zjawami tego, co się stać miało — te przyszłe chwile rozdziły się w niewiadomych głębiach i osuwały go w mroczny, nieuchwytny lęk tajemnicy...

Wyszli na jakąś pustą przestrzeń. W głębi wynurzał się z cieniów ogromny, czarny dom. Księżyc znowu ukazał się na chwilę, tak że spostrzegł wyraźne, twarde zarysy wież porozwalanych i ścian, prześwietlających powybijanymi oknami, i stare bluszcze, opinające rozpadające się mury.

Ale nim zdążył się rozejrzeć, skądś — jakby z piwnic — wyrwała się smuga oślepiającego światła i rozległ się huk zatrzaśniętych drzwi.

Daisy zniknęła na jakichś zrujnowanych, olbrzymich schodach.

Pozostał sam, rozglądając się bezradnie. Dokoła stała ciemna, postrzępiona w górze ściana drzew rozchwianych; wiatr uderzał w nią raz po raz, aż przyginała się z jękiem jak tłum, smagany batami — a nad nią, w głębiach nieba, tliły się łuny Londynu, niby przygasający, daleki, a olbrzymi pożar.

A nigdzie nawet śladu człowieka, nigdzie światła ni żywych głosów. Ponure milczenie strupieszalnych murów, w których tłukły się świszczące głosy wiatrów i ciężkie jęki drzew; a wszędzie pełno krzewów, przyczajonych w ciemnościach i jakby chwytających niespodzianie gałęziami, pełno głązów i rumowisk, zastępujących drogę. Gdzieniedzie, w jakichś jamach, migotały pośleple oczy wód zmartwiałych.

Obszedł z wolna cały dom, ale wszystkie wejścia były zabite na głucho, zatem powrócił na te schody olbrzymie, na których czerniały potrzaskane złomy kolumn i balustrad, do jakich drzwi wielkich. I stanął przed nimi, nie wiedząc, co począć.

Wiatr się wzmagał stopniowo i huczał coraz posepniej w ruinach, a chwilami jakiś złom muru spadał na ziemię. Drzewa z krzykiem rzucały się na siebie, szumiąc i świszcząc w zmaconych, ślepych ciemnościach, bo księżyc utonął już w zwałach chmur, podobnych do spiętrzonych, rozsrożonych fal; a jakieś głosy przyduszone, dalekie, jakby głosy

Ruiny

z grobów, przerażającym brzmieniem przeciekały z ruin czy spod ziemi — z przestrzeni płynęły nieznanymi czy też z dna nocy powstawały? Nie wiedział.

— „Bądź bez trwogi... Milcz... *SOF* otwiera tajemnice” — powtórzył naraz, przypominając sobie tajemniczą formułę; i już śmiało, bez wahania, ujął za młotek, wiszący na łańcuchu, i uderzył w drzwi.

Milczenie... Tylko brząz jęknął i echa zagrały długie i głuche...

Powtórzył i wyrzekł, akcentując każdą literę:

— *SOF*.

Drzwi się otwarły cicho i, skoro wszedł, zatrzasnęły się z hukiem.

Znalazł się w ogromnej, prawie ciemnej hali. Na środku niski trójnóg podtrzymywał miedzianą, olbrzymią kadzielnicę, wypełnioną rozżarzonymi węglami, z których buchały upajające, ciężkie wonie, a za nią majaczył jakiś kolosalny posąg, przysłonięty fioletową draperią — i nic poza tym. Nagie ściany, gładkie, lśniące kamienie, z których gdzieś wyrywały się zgaszone w nocy malowidła, jakieś głoski złote, tajemnicze symbole ognia, wody i powietrza, halucynacyjne skręty jakichś potworów i zwierząt, larwy, krzyczące w trwodze — wszystko ledwie dojrzane przez pasma krwawych dymów, przez rozetlałe purpurą ciemności.

Rozglądał się, nie mogąc dojrzeć nikogo — przerażony tą martwą ciszą, co jak grobowa płyta przywalała mu duszę — gdy poczuł, że kamienna tafla, na której stał, drgnęła i z wolna zaczęła z nim płynąć z jakimś ledwie odczutym spadkiem. Nie poruszył się, nawet nie drgnął, tylko przyklnął oczy, bo strach go zdławił i zatrząsł lodowatym dreszczem, ale wnet oprzytomniał, uderzając o ścianę. Zupełna noc go oprzędła w nieprzeniknione mroki; nie miał pojęcia, gdzie jest. Przez to mgnienie obawy stracił poczucie, co się z nim stało; to zrozumiał tylko, że jest w jakimś niskim i wąskim korytarzu. Trzymając się ścian, pochylony, zaczął iść naprzód nieustraszenie.

Chór głosów odległych, stłumionych i głębokich, podobnych do szmerów fal konających u dalekich wybrzeży, rozbrzmiewał gdzieś przed nim, lkał jakby w głuchej próżni, drgał coraz ciszej i bliżej, bliżej... Biegł ku tym brzmieniom sennym i niewytłumaczonym, pełen lęku i ciekawości zarazem.

Korytarz urwał się nagle przy jakiejś ścianie zimnej i śliskiej, dźwięki rozwiały się w ciszy. Zaczął po omacku, gorączkowo poszukiwać drzwi, gdy znowu podłoga się pod nim ugięła... Poczul, że się zapada... Że leci w przepaść z błyskawiczną szybkością... Obezwładnił go lęk i to przerażające poczucie zapadania się bez możliwości ratunku.

Kiedy ochłonął, siedział na jakiejś ławie kamiennej. Ostrożnie jął suwać rękoma po ścianach: zimne były i gładkie jakby z porfiru<sup>110</sup>. Pokój był mały, kwadratowy i bardzo wysoki, bo, stanawszy na ławie, nie mógł dosięgnąć sufitu. Tylko jedna ze ścian wydała mu się zimniejsza — jakby ze szkła — i pełna dziwnych wypukłości oraz twardych, poskręcanych linii; a nigdzie ani śladu drzwi ni okien.

Upadł, śmiertelnie znużony i jakby zabity niezglębioną, straszną ciszą; przywalała go kamienna noc i cisza pustki absolutnej, nieopowiedziana groza martwego milczenia.

Siedział odrętwiały, bez ruchu i zgoła bez myśli, jakby na samym dnie umarłego od milionów lat świata, w wiekuistych przepaściach ciszy. Zdało mu się niejasno, że marzy mu się kamienny sen, że śni wieczystą martwość, z której się nigdy nie powstaje, że jest jak źdźbło żywe, porwane nagle w samą głąb wiecznego milczenia i mocy wiekuistej.

I tak mu w pamięci i w bez-czuciu przepływały chwile niewiadome — jak musi upływać czas bazaltom na dnach oceanów albo duszom, blakającym się w nieskończonościach, albo gwiazdom, pomarłym i spadającym wiecznie, wiecznie...

Był już tylko milczeniem skamieniałej trwogi, śniąc bezprzytomny sen o sobie — i jak przez sen majaczył, że oczy jego zaczynają coś spostrzegać, że staje się coś w nim widmowymi zarysami... Ściana naprzeciw wylaniała się z wolna z nocy, robiła się przejrzysta, stając się jak toń zielonawa, przez którą chwieją się blade kontury dna... Dziwaczne grotty... Fantastyczna roślinność i cicho przemykające larwy jakiegoś potwornego życia... Błaski rozpierzchłe zjaw nierozpoznanych.

Był już pewny, że tylko śni. Nie poruszył się z miejsca, aby nie pierzchły widzenia; ciężkimi oczyma patrzył w jeden punkt — w dno tych wylaniających się z wolna prze-

<sup>110</sup>porfir — skała magmowa zawierająca wcześniej wykrystalizowane kryształy. [przypis edytorski]

strzeni, w jakąś skałę, sterczącą pośrodku, a spowitą w krwawe płomienie i podobną do ognistego wytrysku, do rozpalonej pochodni, targanej wichurą, tak rwały się płomienie wzburzonym rojowiskiem krwawych węzów. A dookoła, w zielonym mroku jakby dna morskiego, leżały kręgiem bezładnym głązy ogromne... Chwiały się jakieś drzewa o gałęziach podobnych do pazurów... Drgały jakieś ruchy rzeczy niewiadomych...

Tak, snem tylko musiała być ta grota olbrzymia, zasnuta stalaktytami, co, jak sople potworne, zwieszały się ciężkimi splywami; zalana zielonym mrokiem, w którym zaczęły się poruszać nikłe, złote mżenia, jak rój motyli świetlistych, a spoza nich wynurzały się ciężkie, nierozpoznane postacie, wypełzały jakby spod głązów, z tych jam zielonych, z gąszczów zielonych cieniów i procesją cichą, ledwie dojrzaną poruszały się w szmaragdowej toni niby w wodzie rozedrganej... Jakby płynęły, okrążając krwawą wizję płomieni... Dźwięki jakieś zadrgały, jakby tysiące harf naraz zajęczały i skonały... Rozsypały się po głązach, niby rdzawe ropuchy, a zarazem potem wysunął się znowu długi orszak biało ubranych postaci o bosych nogach i obnażonych piersiach kobiecych... Głowy węzów, głowy ptaków, głowy zwierząt — cały piekielny orszak złowróbnego Seta<sup>111</sup>. Szli wolno, rytmicznie, dźwigając na ramionach długie, czarne mary nakryte, okrążali płomień i, ustawivszy mary tuż przed nim, rozwinęli się po jego bokach, jak dwa skrzydła białe...

Nagle rozległ się przerażający huk. Błyskawica złotą pręgą przewinęła się na wskroś groty. Wszyscy padli na twarze. Krwawe płomienie trysnęły w górę jak wulkan i opadły cicho, natomiast jęły bić kłęby złotawych dymów kadzielnych, z których z wolna, w śmiertelnej ciszy stawiania się wylaniała się postać Bafometa... Wynurzał się z tych wylękłych, rozchwianych, pobladłych płomieni... Wyrastał jak groźna chmura z dogasającej otchłani... Aż się jawił cały, jak noc posepny i jak śmierć straszny... Przykucnął na koźlich nogach...

Złote rogi półksiężycy rozbłysły na wąskiej, obnażonej czaszce. Nagi był cały, wysmukły, młodzieńczy. Siedział z szeroko rozwartymi kolanami, między którymi, jak wąż jadowity, wiła się krwawa błyskawica. Opuszczone, długie ręce dotykały zakrzywionymi pazurami całunu mar stojących mu u kopyt złotych. Czerwone, jakby z rozżarzonych karbunkulów oczy błysnęły światłem i zdały się błądzić po głowach leżących przed nim w prochu wylękłej pokory. Był okropny w piękności zimnej jak ostrze i zatrutej czarem śmiertelnym; posepny, jak nieubłagane. Dzika słodycz lśniła w boleśnie zaciętych ustach. Brwi, ściągnięte i groźne, były jak łuki, napięte pomstą i gniewem. A w twarzy chudej i wyniosłej, na dumnym czole leżała utajona męka wiecznego buntu, nocy nieskończonej, krzywd niepomoszonych i wiekuistych błąkań. Ciało miał przygięte i naprężone w przyczajonym skoku, tak że wydawało się, iż jawił się na mgnienie i zaraz rzuci się znowu w przepaście przebiegać lodowate pustynie milczenia i biec zawsze, nieskończenie, wiecznie...

Zenon oprzytomniał wobec tego widziadła. Czuł, że nie śpi, a nie mógł uwierzyć... Bronił się przed szaleństwem... Chciał uciekać... Otaczały go zimne, nieubłagane, nieustępliwe mary. Chciał krzyczeć z naglej, obłąkanej trwogi — nie wydobyl głosu; dźwięki pomarły mu w krtani jak poduszone w gnieździe pisklęta. Zaczął bić i łomotać w tę ścianę przejrzystą, jakby szklaną; nawet nie zadźwięczała pod razami, poranił tylko boleśnie ręce i kolana i padł wyczerpany.

Dopiero po jakimś czasie uniósł głowę. Ściana jeszcze jaśniała. Jakiś śpiew przeciągły brzmiał monotennie — słowa dziwne, ciężkie jak kwiaty, spadały cicho, splatając się w modlitewny, uroczysty wieniec płomiennych szeptów:

- Panie nocy i milczenia...
- Bądź z nami — odbrzmiewały echa.
- Panie trwożnych i uciśnionych...

Łkały coraz namiętniej głosy. Podniósł się, przytknął twarz do pocerniałej nieco ściany — grota była prawie niewidzialna, noc ją zapełniła, tylko pośrodku posąg Bafometa jaśniał niby skamieniała w biegu błyskawica, a czarne mary stały wciąż pod nim. W kręgi światel z głębin cieniów wdarła się wolno uroczysta, przejmująca psalmodia<sup>112</sup>:

- Który zbawisz wyklętą...

<sup>111</sup>Set — w mitologii egipskiej demoniczny bóg burz, pustyni, ciemności oraz chaosu. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>psalmodia — tu: śpiewany psalm. [przypis edytorski]

- Jedyne — odpowiadały konające echa.
- Który utulasz pobite przemocą...
- Zemsto nieśmiertelna...
- Któryś równie potęgą...
- Cieniu bolesny...
- Światłości, mściwie zepchnięta w otchłanie...
- Mocy spętana!
- Mocy litosna!
- Mocy święta!

Zrozumiał naraz tę dziwną litanie. Pamiętał ją — to była ta sama melodia, jaką usłyszał wtedy na seansie; to były te same słowa, których nie mógł sobie przypomnieć dotychczas... Gdzie on je słyszał i kiedy?

Śpiewy się rozwiały, w stłoczonych i mętnych ciemnościach zaczynało się coś dziać. Nie mógł rozróżnić chwiejnych zarysów. Mgliste, białawe cienie wiodły się korowodem, opływały posąg, snuły się drgające światła... A jakiś cień nachylił się nad marami. Wyraźnie rozróżnił stąpanie niewidzialnych nóg po ostrym żwirze. Szepty jakieś... Syczenie płomieni... Ruchy niedojrzane...

Naraz rozległ się przeciągły, żalony ryk.

— To Bagh! Bagh! — szepnął, spostrzegając zarys pantery, rzucającej się na mary.

Opadła z nich płachta cieniów i naga, wysoka postać podnosiła się wolno. Zadrżał do głębi — dałby w tej chwili całe życie za możliwość dojrzenia jej twarzy... Widział tylko, jak przez gęstą mgłę, wysmukłe, nagie ciało, owiane płaszczem rdzawych w oddali włosów, stojące między kolanami Bafometa!

Głos mocny spiżowym dźwiękiem rozległ się donośnie:

- Czego chcesz?
- Umrzeć dla niego! — odpowiedział śmiało drugi.
- Chcesz poślubić śmierć?
- Poślubiłam zemstę i tajemnicę.
- Przeklinasz „A”?
- Przeklinam!
- Przeklinasz „O”?
- Przeklinam!
- Przeklinasz „M”?
- Przeklinam! — padały dźwięczne, nieustraszone słowa odpowiedzi.

Nie rozumiał już dalszej litanii przysięg straszliwych i zaklęć mrozących krew, bo zasluchał się całą duszą w oddźwięki przysięgającego głosu. Czuł po dreszczu, jaki w nim budził, że już go gdzieś słyszał — łowił go więc w sobie jak motyla, nie zwracając uwagi na przerażający rytuał, ciągnący się bez przerwy. Aż w końcu zrozumiał jasno, że to była Daisy, że to ją poświęcono Bafometowi w tych tajemniczych obrzędach. Ale nie dziwił się temu, jakby już wyzbyty zdolności zdumiewania się czymkolwiek.

Ciemności pobladły i grota zaczęła się nieco rozjaśniać.

Daisy siedziała między kolanami Bafometa, w takiej samej jak i on pozycji. Opuszczone ręce dotykały pantery, leżącej u jej nóg, a nad jej głową, opłyniętą w złoty dym kadzielnym, pochylała się zielonawo-krwawa, smutna twarz diabła. Jego ręce długie zdawały się obejmować ją wpół i przytulać do siebie — to jedno tylko widział dobrze, a reszta majaczyła przed olśnionymi oczyma jak korowód sennych, ledwie przypomnianych mar i zjaw.

Nie wiedział, skąd płyną, i nie wiedział, czy są poza jego duszą.

Oto, na poły zwierzęcy, złowrogi orszak Seta przywiódł białego baranka, którego jakiś człowiek z głową psa zabijał ciężkim, krzemiennym nożem; i wśród ponurych śpiewów i przekleństw rzucono go na pożarcie panterze.

Oto palono siedem ziół czarnoksięskich, skropionych krwią niewiniątka, i popioły rozsiewano na siedem stron świata.

Oto zamajaczył korowód płazów i ropuch olbrzymich, wlokąc za sobą na słomianych sznurach rozpięte drzewo krzyżowe; i wśród urągówisk i plwań, wśród piekielnego chóru chichotów i naigrawań podarto je w drzazgi, rozdeptano i rzucono pod kopyta posągu.

Ofiara, Obrzędy, Diabeł

Obrzędy

Oto gromada potworów nieopowiedzianych — rozwyte stado strachów, wampirów, mar — zjawiała się jakby wylęgła z obłąkanego mózgu, niosąc na wiekach spróchniałych trumien symboliczną, białą hostię<sup>113</sup>; i wśród przerażających wrzasków, znieważen i wycia zwalono je przed Bafometem.

Oto zaczęły się wychylać na światło jakby wszystkie potwory katedr średniowiecznych, wszystkie larwy pokuszeń i lęków, tające się w duszach świętych; zjawiały się milczące, posępne, niosąc księgi święte, symbole, znamiona, wizerunki, szaty rytualne, zwalając wszystko na jeden stos ogromny. Siedem krwawych błyskawic trysnęło z oczu Bafometa, siedem gromów runęło w stos. Buchnęły płomienie, a wszystkie zjawy piekielne powiodły dziki, rozchwyany, okrążający tan.

Gryzące, czarne dymy przysłoniły postać Daisy i wzbijały się wysoko rozwichrzonymi słupami, zaciemniając grootę ponurym, nieprzeniknionym tumanem.

A Zenon pochylił się w sobie — jakby nad krawędzią świata nieznanego. Spoglądał w tajemnice i oczy jego duszy pierwszy raz wybiegły poza siebie, poza głupią i leniwą myśl, poza fakty i rzeczy widome; pierwszy raz leciały przez jakieś nieprzejrzone obszary, przez jakieś dale czarowne, przez jakieś wyże i przepaście nieskończone, tak iż cofnął się olśniony, pełen świętej cichości przeczuwań i widzeń. Jakiś wiew nieśmiertelnej mocy przewiał mu przez duszę.

— Nie trwóż się! Jestem przy tobie! — zadźwięczał tuż przy nim głos Daisy.

Ukorzył się nagle w sobie, padł na twarz jakby u stóp niewidzialnej i głosem pokory najwyższej i oddania szepnął:

— Nic nie wiem, nic nie rozumiem, ale czuję, że jesteś przy mnie.

— Myśl, a znajdziesz mnie zawsze i wszędzie!

Dusza mu się zawarła na wszystko i zapadła w długie odrętwienie.

Kiedy powstał z ziemi, grotą była w białych, błękitnawych jasnościach skąpana. Bafomet stał jak krzew purpurowych ogni, a u jego stóp na rozkrzyżowane, białe ciało Daisy wypełzał czołgający się cień — jakby pantery, biorącej ją w uścisk.

Grotą była pusta. Nadludzki strach o nią tak spreżył mu siły zwątlale, że krzyknął z całej mocy i trwogi, i szaleństwa, rzucając się na nieprzejrzytą ścianę, jakby chciał biec na ratunek.

Wszystko naraz przepadło, brązowe drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Znalazł się znowu przed tą ponurą ruiną — niepewny, wahający i bezradny; jak przedtem, jakby tam nigdy nie wchodził.

„Gdzie ona mogła zniknąć”, rozmyślał jak przedtem, niepamiętny niczego zgoła, wodząc zdumionymi oczami po rozwalinach. Obszedł znowu dom i znalazłszy, jak poprzednio, wszystkie wejścia zabite na glucho, stanął zniechęcony, nie wiedząc, co ze sobą począć.

Świt się już stawał. Łuny Londynu zaledwie się tliły przygasłymi zorzami na wzburzonym i pobladłym niebie, przesianym martwą jeszcze i szarawą jasnością. Gwiazdy zamierały jak oczy, przysłaniane martwiejącymi powiekami. Chmury ogromne, postrzępione, sinawe leciały nisko z jakimś niemym krzykiem. Wichura targała drzewami, które ze snu ciężkiego podnosiły przemoczone, czarne i rozbolełe gałęzie. Dzień wstawał wolno i ciężko, boleśnie przemokły i odrętwiały z zimna. Wszędzie lśniły sinawe kałuże wody, twarde zarysy ruin potężniały w brzaskach, głuche i ślepe jeszcze pola dźwigały się w ciemności. Świat stawał się w chaosie mroków blednących...

I Zenon jakby się podniósł z nocy niepamięci o sobie. Zbudziło go zimno i wicher, więc, nie namyślając się już, oderwał się od ruin i poszedł śpiesznie do stacji.

Pod drzewami noc się jeszcze tłukła strwożona. Szedł aleją drzew ogromnych, szarpanych wicherem i wyjąjących dziką pieśń zimowego poranka. Jakiś paw zabłąkany krzyczał w żywopłotach. Stado wron zerwało się z gałęzi, ginąc w mrocznej kurzawie świtów. Pospały się nań połamane gałęzie i przysiadł bezwiednie w jakimś gąszczu, aby przeczekać huragan, szalejący coraz potężniej.

I pozostał już tam, jakby uwięziony w wicherze i oczarowany rozwieją żywiołów. Zespałał się z nimi, łączył w ponurych wyciach huraganu, śpiewając razem dziką, bezładną

<sup>113</sup>*hostia* — w liturgii katolickiej okrągły opłatek, w którym po konsekracji uobecnia się Chrystus. [przypis edytorski]

i przepotęzną pieśń bez słów — pieśń upojen, pieśń ślepych, a nieśmiertelnych sił przyrody.

Zapomniał o powrocie. Poszedł w park, błądził między drzewami, utonął w rozwitych ciemnościach. Był przytomny, a niewiedzący. Dojrzał jakiś kwiatek, rozetlały w zwiedłych trawach, i przycisnął go do ust rozpalonych. Nagła, niezmożona tęsknota rozparła mu duszę taką miłością i taką głodną żądzą stopienia się ze wszystkim, że podniósł się, zbratany z nocą i wichurą, podobny w czuciu drzewom i niebu, spotężniały mocą tkliwości niezmiernej, tak że przytulał się do drzew, klękał przed krzakami, obejmował gałęzie, całował trawy zeschłe, oblewając serdecznymi łzami szczęścia te istoty najdroższe i najświętsze, zagubione dawno i odnalezione niespodziewanie.

## ROZDZIAŁ VI

Pokój był szary i smutny od dnia rozdeszczonego i mgieł, co jak pasma dymów wiskały się do mieszkania, osnuwając ściany i sprzęty popielną, lepka i zimną przesłoną. Deszcz brzęczał po zapoconych szybach i był jedynym głosem, szemrzącym nieustannie w zmartwiałej ciszy.

Joe siedział przy łóżku Zenona razem z doktorem, który co chwila badał puls śpiącego i niecierpliwie spoglądał na zegarek.

Milczenie stawało się już niewypowiedzianie nudne i senne.

— Ciekawym, jak jeszcze długo potrwa ten sen? — szepnęła doktor.

— Najdłużej z pół godziny.

— Trzy dni i trzy noce to sen wprost niepojęty!

— Dla medycyny!

— Dla nikogo! — odparł z naciskiem, podnosząc dumnie głowę.

Joe uśmiechnął się ze słodką, lecz zabijającą pobłażliwością.

I znowu zapadła cisza i przydławione zniecierpliwienie. Doktor patrzył w okno, na szklane, skośne włókna deszczu, trzępiącego w czarne, pochylone drzewa. Joe siedział nieruchomo, z przymkniętymi powiekami, a chodzący w drugim pokoju *Mr Smith* zaglądał co chwila przez rozchyłone portiery, aż wreszcie wsunął się cicho i rzekł lękliwie.

— Trzeba, aby zapomniał; to go najpewniej uleczy...

— O czym mam zapomnieć? — ozwał się naraz Zenon, otwierając oczy.

— O własnej chorobie! — pośpieszył z odpowiedzią Joe, biorąc za rękę.

— Jak to, ja jestem chory? — Zdumienie go ogarnęło.

— Już przeszło wszystko, nie sil się na przypomnienie, nic straszego.

— Ależ niczego sobie nie przypominam.

— Omdlał pan widocznie z przepracowania! — szepnęła *Mr Smith*.

— Nie, nie, *Mr Smith* żartuje — zaprzeczał energicznie Joe.

— Omdlałem? Kiedy? — usiłował nawiązać porwane przypomnienia, snujące się po mózgu.

Ale znalazł się nagle w ciemni. Nikłe błyski wymknęły mu się ze świadomości jak ratunkowe sznury z rąk tonącego. Spojrzał na Joego i zadrżał. Usiłował powstać z pościeli, chciał krzyknąć. Pragnął coś powiedzieć i pozostał zeszywniały, z wyciągniętą ręką... Z pustym dźwiękiem na zbiegających wargach... Z przewróconymi oczami... Porażony do rdzenia jego stalowym hipnotyzującym wzrokiem, rozprężył się naraz i padł uspijony.

— Będziesz spał do rana mocno i spokojnie. Obudzisz się zdrowy. Nic już nie pamiętasz i o niczym, o niczym! — sugerował mu z siłą, czyniąc nad nim długie, usypiające ruchy rąk.

Doktor chciał protestować, ale było już za późno. Zenon zapadł w kamienny sen, głuchy na wołania i próby budzeń.

— Tylko mnie słyszysz i mnie rozumiesz, i mnie odpowiadasz! — szeptał mu Joe, naciskając mu palcami skronie i oczy.

— Chciałem, aby wypoczął nieco i pożywił się; jest straszliwie wyczerpany — tłumaczył się doktor.

— Czekałem na jego przebudzenie, aby go uspić zaraz, zanim zdoła się w nim rozbudzić świadomość. Potem byłoby za późno, już by nikt nie spętał rozbudzonej myśli.

— A czyż można ją tak uspić, że przebudzony nie będzie pamiętał o niczym?

Lekarz, Sen, Choroba

- Ale można ją wyrwać i zatracić w niepamięci.
- Ciekawy, ale wątpliwie skuteczny eksperyment!
- Konieczny dla jego ocalenia i najpewniejszy! — rzekł twardo.

Przeszli do drugiego pokoju. Doktor jeszcze obmacał puls, zmierzył temperaturę, zajrzał śpiącemu w przewrócone białkami oczy i wyszedł, a *Mr Smith*, zamknąwszy za nim drzwi, szepnął trwożnie:

— Co mu się stało? Czy to wpływy Daisy?

— Nie wiem... Boję się, że tak... Sprawa zupełnie zagadkowa... Sam nic nie wiem i niczego nie rozumiem... Ale będę nad nim czuwał ze wszystkich sił... Posiedzę przy nim do rana.

*Mr Smith* zakręcił się po pokoju; obejrzał swoim taksatorskim, głodnym wzrokiem wszystkie obrazy, popieścił lubieżnymi palcami brzozy i, przysunąwszy się krętym, kocim ruchem, zapytał pokornie:

- Czy naprawdę występujesz z naszego kościoła?
- Wszak napisałem wam o tym wyraźnie i stanowczo.
- Zrywasz z nami na zawsze?
- Nie zrywam, tylko odtąd idę swoją własną drogą.
- Proszę cię w imieniu całej braci, abyś szedł z nami.
- Po co, gdzie, dokąd? — odrzekł niecierpliwie, prawie z gniewem.
- Ty wiesz, któryś razem z nami wznosił świątynię...
- Tak, ale przejrzałem i wychodzę na światło.
- Runie, jeśli ją przestaniesz podtrzymywać.

— Niechaj runie wszystko, co samo nie stoi, czego nie wspiera potęga własnej treści. Byliście mi etapem w ciężkim pochodzie ku prawdzie. Jestem wam za to wdzięczny, ale muszę iść dalej koleją swego przeznaczenia.

— Pogardę czuję w tobie — szepnął ze smutkiem.

— Nie, mam tylko dosyć wirujących stołów, pukań, zagrobowych bełkotów i tego kręcenia się wśród kurzawy głupich faktów! Wasz spirytyzm jest tylko wulgarnym i dzikim fetyszyzmem sił przypadkowych i zjaw halucynacyjnych, jest wiarą ślepych i słabych. Stworzyliście kościół, w którym króluje medium, mniej lub więcej oszukujące; kościół, który nie wie do czego, nic nie rozjaśnia i nikogo nie zbawia!

- Zali nie byłeś jego apostołem? — jęknął *Mr Smith*.
- Wczoraj jest tylko cieniem na jaśni *dzisiaj*, marzącego o *jutrze*...
- Zali nie pracujemy dla jutra?

— Nie, świat gnije w zbrodni i hańbie, a wy żebrzecie o zmiłowanie u mar struchlałych i pragniecie cudów jedynie na karm<sup>114</sup> dla rozgorączkowanych wyobraźni. Jutro, wytęsknione przez miliony, nie wstanie z tego, bo to tylko poniżający strach przed nieznanym. Nie zbawia się jękiem ni łzami... Zły świat należy zdruzgotać i rozwalić do fundamentów, aby nowy mógł powstać z ruin. A trzeba go stworzyć czynem, czynem woli, spotężnionej *laską*. Kto jej nie osiągnie, nawozem jest tylko dla przyszłych pokoleń... Kto chce być, musi zabić własnego trupa; aby się mógł stać, musi zwalczyć życie i samego siebie. Nieśmiertelność płynie przez wszystko nieskończoną rzeką, ale nieśmiertelna jest tylko wola, przeświecona *laską* i powracającą tęsknie do Niego. Mówię za wiele i za mało równocześnie; daruj, streszczę się. Oto rozeszły się nasze drogi na krzyżowym rozstaju. Przy rozpiętym drzewie niechaj pozostaną trwożni i słabi, niechaj oczekują zmiłowania. My pójdziemy w otchłanie!

- Pycha jest wiarą twoją! — rzekł drżąc i wyszedł.
- Nie... Nie... — szeptał Joe, pogrążając się w zadumie.

Zmierch zaczął z wolna zapadać, turkoty ulic milkły, oddalały się; światła jęły błyskać w mgłach przez nieruchome, oprzędzone w szarość drzewa.

Zenon spał snem równym i mocnym. Przygaszone, lęklive światełko przy jego łóżku żarzyło się złotym brzaskiem w ciemnościach, a reszta mieszkania zanurzała się w grubym, nieprzeniknionym mroku.

Joe pozamykał drzwi, pospuszczał story u okien i długo stał w najgłębszym skupieniu, w niemej modlitwie, jaką odprawiał zawsze przed seansem. Aż wreszcie poszedł do

<sup>114</sup>*karm* (daw.) — pokarm, karma. [przypis edytorski]



pierwszego pokoju i usiadł na podłodze obok kominka, wspierając się grzbietem o ścianę — w głębi, przez pootwierane drzwi i rozchylone portiery, widniał słaby zarys śpiącego.

Przysiadł na podwiniętych nogach, by się zapaść w siebie i rozdzielić, by się wyłonić na zewnątrz sobowtórem i ujrzeć siebie poza sobą — nie zrywając jedni, rozszczepić się i być tej jedni dwiema tożsamościami; podwoić się w rozdzieleniu, nie przestając być sobą. Były to wstępne praktyki Joego, prowadzone z żelazną konsekwencją pod wpływem i kierunkiem Mahatmy.

Wnet znieruchomiał i jakby zastygał. Mimo męki tej pozycji skurczonej nie poruszył się jednak ni razu, nie zadrżał z bólu; przemagał z wolna ciało, zabijał wrażliwość i krzepiąc się cierpieniem znoszonym bez drżenia, ściągał rozproszone myśli w jeden punkt, w jedno przerażające mocą pragnienie je zamykał: ujrzenia samego siebie.

Daremnie rozedrgane życiem przypomnienia jakies budziły się w głębi mózgu; daremnie tłumny szereg obrazów, zdarzeń, zarysy twarzy, dźwięki głosów wydzierają się zgiełkiem na pole świadomości, obsiadając mu duszę zjawami prawie widzialnymi — zabijał je, spychając na samo dno zapomnienia. Ogarniał siebie coraz potężniej, krzepnął, popadając w świadomie wywoływaną katalepsję.

Otwarte szeroko oczy patrzyły nieruchomo, szklście, a czujnie, napięte straszonym oczekiwaniem widzenia.

Parł się z wolna z siebie, wydierał z więzów ciała, smagał z nieubłaganiem własnego trupa. Szponami woli wylupywał z siebie własną duszę, stwarzając z niej drugi — swój własny, tylko przez siebie widziany i czuty — byt.

Godziny płynęły wolno, cicho, niepostrzeżenie; przesuwaly się, jak sen nocy po oślepiłym zwierciadle. Stawały się, nie będąc. Przychodziły z nieznanych głębin i marły niezapamiętane — wydzwaniał je zegar, gdy już ich nie było i jeszcze nie nadchodziły. Stwarzały wszystko same, nie stając się niczym, znaczyły swój ślad błędny tęsknotą i rozmarzeniem, czasem łzami, a niekiedy śmiercią...

Miasto spało ciężkim snem spracowanych kamieni, spowitych w niepokojące marzenia. Głucha noc patrzyła ślepa twarzą w ostygły świat.

Zenon spał bez przerwy. W mieszkaniu leżało odrętwiałe, senne milczenie; tylko niekiedy ciemność i cisza przemawiały nikłym cieniem nieopowiedzianego, szemrały dawno pomarłe dźwięki i barwy... Jakies utajone trwożnie życie poczynało się zjawiać... Martwe zdawało się żyć... Ściany szeptały, brzozy śpiewały żałośnie jakby jękiem dusz, błądzących koło swoich cielesnych awatarów. Twarde mahonie podnosiły tęskny głos, a z muszli, leżących na kominku, promieniowały rozręsknione szumy mórz dalekich, obszarów pływających się w słońcu, emanacje rozkołysanych głębin — życie inne, życie rzeczy wszelkiej drgało w ciemnościach.

...W cieniach zawsze się kryją straszne zjawy, noc ma wieczną swoją tajemnicę.

Samotność i cisza odkrywa niekiedy nieznane łono, stare zwierciadła zaczynają przemawiać, pokazując to wszystko, co się w nich niegdyś jawiło.

Wszystko, co jest, ma swoją duszę, poślubioną milczeniu i tajemnicy...

Joe siedział wciąż w najwyższym, prawie skamieniałym napięciu woli. Był już tylko snem, poczynającym samego siebie poza sobą...

Otulała go cisza mrących z wolna godzin. Nie wiedział o niczym — zapatrzony w głąb straszego pożądanja. Jego zgięta i we czworo złożona postać zaczynała się wyłaniać z nocy fosforescencyjnym<sup>115</sup> obrazem; jaśniał jakby obsypany błękitnawym brzaskiem. Oczy mu gorzały zastygłą strugą sinego światła, a z palców zaciśniętych, z włosów, ze wszystkich stawów wydzieliał się pył świetlany — promieniował cały!

Naraz drgnął w sobie i jakby jeszcze natężył marzenie... Oto zamajaczył przed nim cień jakiś, w czarnej otchłani zawirował mgławki i rozprysnięty zarys. Chwiał się płomieniem. Stawał się z wolna... Przyjmował kształt ludzki i nieruchomiał. Zaczął widzieć kogoś, siedzącego naprzeciw i zapatrzonego przed siebie...

Zrozumiał, że stał się ten cud upragniony, widział już bowiem siebie, siedzącego na podwiniętych nogach, skupionego i nieruchomego — takiego samego i tego samego. We własne oczy patrzył i we własną twarz, jakby zwierciadlane odbicie oderwało się i siedło naprzeciw niego.

Czas

Cud, Czary, Przemiana,  
Sobowtór

<sup>115</sup>*fosforescencyjny* — od: *fosforescencja*, czyli świecenie ciała po naświetlaniu. [przypis edytorski]

Zachwiał się naraz. Jakaś mgła przysłoniła mu świadomość na mgnienie, tak że gdy się znowu podniósł w sobie, nie mógł zrozumieć, gdzie jest, którym jest z tych dwóch rozszczepień...

Podniósł się nagle z ziemi pod wpływem świętej radości cudu. Ten drugi on podniósł się również. Stali naprzeciw siebie z tym samym cichym, szczęsnym uśmiechem, z tym czuciem siebie.

Każdy ruch duszy, każda myśl i każde drgnienie czucia było w nim podwójne i tożsame, rozdzielone, a jedno.

„To ja tam jestem, ja!”, myślał, czuł raczej, pochylając się naprzód — sobowtór uczynił toż samo i z tym samym uczuciem zdumienia...

Posunął się do siebie o krok jeden i przystanął; tamten również. Zajrzeli sobie w oczy i długo, mocno, do najtajniejszych głębin patrzyli — z tym uczuciem trwożnego podziwu, z jakim człowiek spogląda w siebie niekiedy. Bo nie ma nic bardziej przerażającego nad osuwanie się świadome w przepaście własnego ja.

„I gdzie ja jestem?”. Spozrzegł nagle wiecznie czuwającą myślą, że cały pokój widzi równocześnie z dwóch przeciwległych sobie punktów, że rozpatruje siebie z dwóch przeciwnych stron, czując siebie w obu zjawach z jednaką mocą i zupełnością.

Przymknął oczy, aby ciszej i radośniej śnić ten cudowny sen o sobie. Pogrążył się w marzenie niewyraźne zgoła, w marzenie o marzeniach.

Niekiedy powracał z nieśmiertelnych krain tęsknoty jak ptak, znużony samotnym lotem w bezmiarach. Krążył nad życiem i odlatywał strwożony w nowe otchłanie snów o snach.

Niekiedy otwierał oczy, przyglądał się sobie z uśmiechem niewysłowionej tkliwości, z uśmiechem nadludzkiego szczęścia i znowu śnił nieśmiertelność.

Niekiedy zaś całą pamięcią ciała powracał na ziemię, przypominał sobie życie i wszystko ogarniał — a wtedy to drugie jego ja unosiło się przed nim, krążyło z wolna i nieustannie po mieszkaniu, zajmowało się czymś nie bardzo rozumianym przez niego, czymś błahym, pewnie życiowym, bo on, spostrzegając ten swój awatar życiowy, szeptał prawie rozkazująco:

— Idź, myśli moja... Stawaj się życiem... Wypełnij konieczność i przeznaczenie... Idź... Ja wracam do Niego...

I pochylał się rozteściony w ramiona nieskończoności, padał w tajemnicze, samotnie królujące *Milczenie*.

Noc już dochodziła swego kresu; pokój napelniał się z wolna szarym świtem, jakby popielnym brzaskiem rozwianych w pył, pomarłych godzin ciszy. Z mroków poczynały się leniwe zarysy sprzętów...

Jeszcze senny ruch budził się w odrętwiałym domu. Życie codzienne przytomniało po ciężkim śnie odpoczywania. Zjawiały się pierwsze, nieśmiałe głosy dnia; jakiś poranny wiatr z szumem otrząsał zimną rosę z drzew pokurczonych, ulice poczynały bełkotać głucho. Dzień spadał na budzących się jak głodny wilk i porywał w drapieżne pazury trudu krwawego.

Tylko Zenon spał wciąż, a Joe siedział pod ścianą na podwiniętych nogach, zeszywniały, z szeroko otwartymi oczyma, ale w zupełnej katalapsji.

Dopiero ostre i gwałtowne dzwonięcie u drzwi wejściowych wyrwało go nagle z odrętwienia; porwał się na nogi.

Malajczyk stał w progu, zakłopotany wielce.

— Czego chcesz? Mówiłem ci, abys czekał na mnie w domu!

— *Miss Daisy* kazała mi obudzić pana i powiedzieć, że *Mr Zenon* ma już dosyć snu i że trzeba go zostawić samego.

— Spotkałeś ją na schodach? — Zdumiony był tym szczególnym nakazem.

— Przychodziła na górę... Kazała mi iść — tłumaczył się lękliwie.

— Dobrze. Naszykuj kąpiel, zaraz przyjdę.

Zdumiał się jeszcze więcej, ujrzawszy Zenona, siedzącego na łóżku i zgarniającego palcami rozsypane na kółdrze fiołki.

— Dawno nie śpisz?

— Przed chwilą się przebudziłem. Kto to przyniósł i rozsypał?

— Właśnie o to samo chciałem cię zapytać.

— Śniło mi się, że Daisy rzuciła we mnie pękiem kwiatów. Śniło mi się przed chwilą, że, przebudziwszy się, myślałem, iż to sen: te kwiaty.

— Nie, to są rzeczywiste kwiaty, jakiś tajemniczy aport! — szepnął, pomagając mu zbierać fiołki, bo pełno ich było na łóżku, świeżych, wonnych jeszcze, rosą błyszczących, tak iż nappełniły mieszkanie wiośnianym aromatem.

— Jak się czujesz?

— Zupełnie dobrze. Ale co mi się stało właściwie? Bo nic nie pamiętam.

— Ależ prawie nic, omdlałeś na ulicy... To wszystko.

— Omdlałem? Dziwnie nic nie mogę sobie przypomnieć... Mam jakieś przypomnienia w sobie, ale tak zamglone, że nic dojrzeć nie mogę. Czuję tylko ich ruch zgiełkliwy i niepokój... Otacza mnie mrok... A teraz te fiołki...

— Są od niej!

— Była tutaj, była u mnie? — wykrzyknął zdumiony.

— Zwykły aport. Nie potrzebowała przychodzić aż tutaj, aby ci je rzucić na piersi.

— Być może, ale nie bardzo wierzę w te cudowne aporty.

— Cuda się z tobą dzieją, cuda stają się dokoła ciebie, ty zaś nic nie spostrzegasz, jesteś ślepy na światło — mówił z pewną goryczą.

— Prawda, że ze mną dzieją się rzeczy nadzwyczajne, niewytłumaczone...

Przypomniawszy sobie naraz jakieś rozproszone strzępy zdarzeń i uczuć.

— Czuwałeś dzisiaj w nocy nade mną? Bo coś sobie przypominam.

— Byłem przy tobie, byłem... — drgnął nagle i rzucił się gwałtownie w tył, bo oto znowu ujrzał samego siebie stojącego naprzeciw.

— Co ci się stało?

— Nic... Nic... Powiedz mi, gdzie ja jestem? — wyszeptał trwożnie, śledząc to drugie swoje ja, również pochylone nad Zenonem i szepczące mu do ucha.

— No, tutaj, przy mnie... Nic nie rozumiem... — zaniepokoił się jego wzburzeniem.

— Weź mnie za rękę... Mocno trzymaj... Silniej... — Jęknął żałośnie, padając na krzesło; z zamkniętymi oczyma, na wpół przytomny, długo siedział bez ruchu w najstraszniejszej trwodze, że, skoro otworzy oczy, znowu siebie ujrzy.

— Czy sami jesteśmy? — zapytał ledwie dosłyszalnie.

— Ależ najzupełniej, nikt nie wszedł.

— Przejrzyj mieszkanie, proszę cię. — Strach dygotał mu w głosie.

— Zapewniam cię, że prócz nas nie ma nikogo więcej.

Otworzył wtedy oczy i ze strachem przyczajonym rozglądał się dokoła.

— Strasznie czuję się zmęczony i senny — rzekł po chwili.

— Co ci się stało?

— Zdawało mi się przez chwilę, że ktoś wszedł tutaj — wstrząsnął się nerwowo, rozglądając się po pokoju — ale, jeśli będziesz mógł, jedź dzisiaj do Bartelet Court. Tam czekają na ciebie z upragnieniem.

— Z pewnością pojedę. Wczoraj nie mogłem przyjechać za tobą, późno było i...

— Wczoraj! Trzy dni temu byłem... Przypomnij sobie... Przypomnij... — powtórzył mocno, uderzając w niego stalowymi oczyma.

— Trzy dni... Więc ja cały ten czas byłem bezprzytomny... Nie mogłem wtedy pojechać do Betsy, bo... Tak, wiem już... Pamiętam...

Zerwał się, olśniony przypomnieniami. Mrok się w nim rozdarł, tak że nagle ujrzał to wszystko, co przeżył i widział.

— Pamiętasz teraz? — pytał cicho, chcąc mu wydrzeć tajemnice.

— Wszystko, wszystko...

— Opowiedz kolejno, mniej się zmęczysz... — podsuwał mu podstępnie, nie zdejmując z niego oczu hipnotyzujących.

— Nie, nie mogę, nie... — bronił się zajadle, bo naraz zabrzmiało mu jakby tuż nad uszami: „Bądź bez trwogi, milcz”.

— Jeśli to tajemnica, nie żądam jej... Ale jeszcze ci raz powiem: strzeż się Daisy, ona stanie się twoim nieszczęściem — szepnął groźnie.

— To będzie, co przyjdzie... Niechaj się stanie, co się stać ma... Nie w mojej mocy odwrócić przeznaczone — odparł z nieoczekiwaną stanowczością.

— Daruj, ale musiałem spełnić swój przyjacielski obowiązek.

— Nie żal, ale wdzięczność mam tylko dla twoich ostrzeżeń.  
— I niczego się nie lękasz? — zapytał jeszcze.  
— Nie wiem; zdaje mi się, że zamarła we mnie sama możność obawy.  
Joe uściskał mu rękę i odszedł w milczeniu.

— Niechaj się stanie, co ma się stać — szepnął sam do siebie z jakąś cichą i zupełną determinacją.

Nie bronił się już i nie wydzierał przeznaczeniu. Poczł nagle w głębiach swej istności — jakby w rdzeniu duszy — że musi być posłuszny; więc pochylał się kornie przed *Nieznany* i czekał na wyrok bez drżenia.

Pamiętał teraz wszystko i w najdrobniejszych szczegółach, lecz się nie dziwił niczemu ani się nie przerażał, ani nie chciał zrozumieć otaczających go tajemnic.

Nawet mu na myśl nie przychodziło pytanie: „Dlaczego? Kto?”.

Zdawał się trwać jak człowiek zabity w bitwie, ściśnięty w szeregi i porwany wichurą żywych, który idzie razem ze wszystkimi. Patrzy, spostrzega, coś czyni bezwiednie, coś nawet myśli automatycznie — a gdy się rozerwą szeregi, pada martwy.

Czuł się tylko dziwnie słaby fizycznie i tak roztkliwiony, że, odczytując listy Betsy, rozplakał się nad jej troskliwością.

— Biedne dziecko! — rozmyślał o niej ze współczuciem bardzo silnym, nie wiedząc sam, dlaczego się nad nią lituje.

Niedługo to jednak trwało, ustępując miejsca niewytłumaczonemu niepokoju i zderwowaniu. Nie potrafił myśleć o niczym i nie był w stanie zająć się czymkolwiek. Zrywał się co chwila z miejsca, bo zdawało mu się, że go ktoś woła w przestrzeni, że musi gdzieś bieć... Coś robić... Z kimś się spotkać... Przypomnił sobie jakieś pilne sprawy i zapomniał o wszystkim, bo ten nawołujący głos brzmiał w nim coraz wyraźniej. Ale kto wołał i gdzie? Nie mógł zrozumieć.

Stawał bezradnie, nasłuchując w skupieniu najgłębszym.

Tak, był już zupełnie pewny, że woła go jakiś głos przytłumiony, daleki, że ktoś na niego czeka i myśli o nim...

Tysiąc razy rzucał się wyczerpaną, szukającą myślą w próżnię odgadywań i tysiąc razy opadał, zniechęcony daremnym wysiłkiem.

— Kto mnie woła? — pytał głośno z najwyższym zniecierpliwieniem.

Odpowiedzi nie było, ale i to wołanie głuche nie ustawało ani na mgnienie, drgało mu w sercu jak daleki, daleki krzyk tęsknoty.

Chwilami słyszał tak wyraźnie, jakby ktoś wołał za oknem, przez ścianę lub na korytarzu; ale pod oknami drzewa szumiały rozkołysane i szczebiały tylko zziębłe ptaki, a na korytarzach było prawie pusto.

Wracał do mieszkania, rozdrażniony coraz więcej i tak znużony wysiłkami daremnych odgadywań, że położył się w końcu na otomanie i zasnął.

Przeszło południe i zmrok już zapadał, gdy się przebudził.

— Pójdź! — zabrzmiał mu głos jakiś nad uchem.

Śpiesznie się podniósł i rozglądał nieprzytomnymi oczyma po pokoju. Nie było nikogo. Mrok się już rozpościerał gęsty, szare, smutne tumany przysłaniały wszystko, meble zaledwie widoczne były w zarysach, a zwierciadła szarzały jak mętne tafle lodowe.

Jeszcze słuchał tych mrących w ciszy dźwięków, gdy nagle zwierciadło zamigotało błyskawicą — w lustranej głębi poczęło się coś dziać, gąszcze drzew i kwiatów wylaniały się jakby z przesłonecznionych mgieł.

Obejrzał się trwożnie. Pokój ciemniał z wolna i zapadał w noc, ale tam, za zwierciadlaną powierzchnią, w dziwnej, rozblyskującej jaśni, wychylała się jakby wizja podzwrotnikowego lasu. Wyniosły tłum palm pierzastych osłaniał nieskończoną drogę jakby tunel zielony. Przsunął się bliżej, nie mogąc oderwać oczu, bo z tych głębin, wprost ku niemu, nadchodziła Daisy.

— Pójdź!

Widział poruszenie jej ust i przyzywające, rozgorzałe oczy.

Zadrzał do głębi. Rozpoznał głos i poszedł — jakby wprost przed siebie — do niej. Poszedł jakby w tę głąb zwierciadlaną, straciwszy świadomość, co się z nim dzieje, ale z tym radosnym drżeniem, że odnalazł wreszcie poszukiwaną.

Przeszedł jadalnię ciemną, niby przez zwały nierozpoznanych rzeczy, wpatrzony wciąż w Daisy, zbliżając się ku niemu.

Oprzytomniał naraz, znalazłszy się w oranżerii.

Tak, Daisy tam czekała na niego przy fontannie z kwiatem magnolii w ręce. Bagh tuliła się miłośniczo do jej kolan, zaglądając w oczy.

— Jestem! — szepnął, stając przed nią.

— Ma pan oporną duszę.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

— Dawno pragnęłam pana ujrzeć, dawno już przyzywałam.

— Słyszałam, nie wiedząc, kto mnie woła!

Fontanna szemrała cicho, rozpryskując rosisty pył na kwiaty migdałów, które jak różowy obłok wznosiły się z zielonych głębin gąszczów. Mocne, przenikające zapachy kwiatów przepelniały oranżerię.

— Pamięta pan? — zapytała, dotykając jego ręki.

— Wszystko...

— Kto tam był ze mną, jest Jego!

— Jestem twój, pani, twój! — powtórzył, chyląc przed nią głowę.

Uśmiech — jak radosna błyskawica — rozjaśnił jej twarz bladą. Oczy strzeliły potężnym płomieniem, a purpurowe usta zaszemrały:

— Więc niechaj się stanie. Czy tak?

— Co się ma stać! Tak, tak myślałem, tego pragnę.

— I jesteś gotów?

— Choćby na śmierć! — zawołał namiętnie, zapominając o całym świecie. Utopił w niej całą duszę.

Patrzył w nią pokornie, niewolniczymi oczyma oddania i zależności, czując, iż jest związany z jej duszą na zawsze, że jeśli ona powie: „Umrzyj!”, to spełni ten nakaz z rozkoszą.

Ujęła go za rękę, wiodąc w zaciemnioną głąb, pod bambusowe krzewy. Tam usiedli. Pantera patrzyła na nich zielonymi, stróżującymi oczyma.

— Mam kilka słów do powiedzenia, kilka ważnych słów.

— Czekałem na nie z utęsknieniem...

— Jeżeli chcesz, możemy pojechać na ten słoneczny brzeg, o którym niegdyś opowiadałeś... Parę tygodni... Przepadniemy dla ludzi... Będziemy śnili nadludzkie szczęście...

— To droga, wykreślona wtedy na mapie, tam wiodła?

— Do wykradzonego od życia szczęścia wiodła! — szepnęła.

— Nie mogę się przebudzić! — ozwał się, ściskając sobie głowę.

— Zginiemy na kilka tygodni, ale potem pamięć tego czasu musi w nas umrzeć... Będziemy dla siebie tak obcy i dalecy jak dotychczas.

— Jakże pamięć szczęścia może w nas umrzeć!

— Chcesz? — zapytała znowu, zaglądając mu z bliska w twarz.

Pochwyił jej rękę i przycisnął do ust.

— Mów do mnie, obudź mnie. Niech uwierzę, iż to nie sen, błagam cię... — szeptał nieprzytomnie i gorączkowo.

Wpatrzyła się w niego rozgorzałymi jak płomienne otchłanie oczyma. Stała się jak kwiat cudny, rozkwitły nagle przepychem barw i dyszący upajającymi aromatami — usta jej drgały, aż, nachylając je prawie do jego ust, szepnęła:

— Tylko sen możemy śnić razem; życia nam nie wolno.

— I kiedy się ma to stać? — pytał z lękiem, że wnet się rozwieje wszystko.

— Może dzisiaj jeszcze... Może jutro... Nie wiem, ale kiedy nadejdzie ta chwila, zjawię się przed tobą i ty...

— A ja pójdę za tobą! O Daisy! O Daisy! Ja śnię rzeczy nieopowiedziane...

— Będziemy śnili o sobie... Prześnimy nasze dawne istnienia i awatary.

— Słowa twoje mnie budzą, zmartwychwstają w tobie...

— Bom jest tobą; jak kwiatem jest jego aromat!

— Musiałem cię już dawniej kochać, dawniej i zawsze...

— Bo zawsze byłam przy tobie i zawsze byłam twoją duszą...

Pokusa, Kobieta  
demoniczna

— Wiem... Przed czasami... Przed istnieniem... Musiałem być słońcem i zgasłem, utonąłem w bezmiarach twojej źrenicy świętej.

— Pójdiesz ze mną? — wsparła oczy swoje na jego oczach nieruchomych.

— Choćby w śmierć! Kochasz mnie? — zamierał z nadludzkich wzruszeń.

Ale Daisy porwała się z miejsca, bo pantera podniosła się nagle i, wsparłszy się łapami o basen fontanny, zaczęła ponuro wyć. A jemu się wydało, że spoza strug wody wychyla się smutna i groźna twarz Bafometa, rozbliżyła krwawymi oczami.

— Idę w wieczny sen o tobie! — majaczył, padając na ławkę.

## ROZDZIAŁ VII

„A potem już chyba śmierć!”, myślał po długim milczeniu, podnosząc rozgorzałe oczy. Daisy już nie było. Tylko Bagh, czolgając się po zrębie basenu, skomlała tęsknie, a rozmoty pióropusz fontanny dzwonił trwożliwym, rozekłanym szmerem. Chwiały się liście palm i z zielonych gąszczów przeblyskiwały jakieś kwiaty, podobne oczom zaczajonym tak niemo, a drapieżnie, że zatrząśł się i śpiesznie wyszedł z oranżerii.

Ale głos Daisy wciąż w nim śpiewał. Wciąż słyszał jej słowa, spadające mu na duszę rosą wonną i palącą. Wciąż widział jej oczy; przenikały go niby ostrza, dręczące bolesną rozkoszą. Przepalał go straszliwy żar ekstazy, miotał nim wicher szczęsnego szaleństwa, unosił w nieba i rzucał w odmęty niepojętej zgrozy, na jakieś głuche, umarłe dno wyczerpania. A wśród tego chaosu i strzępów myśli wilo się przez niego tylko to jedno mocne i świadome uczucie, że musi być posłuszny jej woli, musi, i że ta konieczność ofiary z siebie i zatracenia się ma niewypowiedzianą słodycz zamierania.

„A może ja śnię? A może wszystko jest tylko halucynacją?”. Zachwiał się w nagłym przypływie wątpliwości. Za oknami śniał się smutny, zadeszczony dzień — chaos miasta, zatopionego w strugach wody spływającej nieustannie i we mgłach.

Naraz obejrzał się na zwierciadło. Polyskiwało martwą, sinawą taflą, odbijając w sobie cały pokój i jego twarz, dziwnie pobladłą i zmienioną.

„Ale czy to ja jestem?”. Wydał się sobie tak niepojęcie inny, tak strasznie obcy i nieznany, że aż się cofnął w bezradnej trwodze.

„Przecież jestem! Widzę, czuję, stwierdzam!”, myślał, dotykając różnych przedmiotów. Czuł chłód brązów, miękkość jedwabnych obić, rozróżniał barwy i kształty, spostrzegł różnice i nieco tym uspokojony usiadł do fortepianu, ale nie potrafił nad nim zapanować, gdyż spod palców rwały się jakieś bełkotliwe, splecione krzyki. Uderzył klawisze z mocą, władczo, aż fortepian zajęczał i popłynęła dzika melodia, podobna do jęków i chichotów szamocących się szaleńców.

„Radosny jestem i szczęśliwy, a coś we mnie płacze, coś się trwoży. Ale co? Co?”, pytał z uporem i, nie znalazłszy odpowiedzi, rzucił się na otomanę. Ukrywszy twarz w poduszkach, usiłował zapomnieć o wszystkim. Nim jednak pogrążył się w niepamięci, odezwał się jakby tuż nad nim głos Daisy. Zerwał się gwałtownie; głos brzmiał już w pewnej odległości, cichł.

— Gdzie jesteś? Gdzie? — wołał, przeszukując całe mieszkanie; a musiała gdzieś być, poczuł bowiem zapach jej perfum, słyszał jej kroki, szelest sukien roznosił się wyraźnie.

— Daisy! O Daisy! — wybuchnął naraz, wyciągając ręce do zwierciadła, w którym zamajaczył jej zarys niby utkany z perlister mgły, błysnęły jej fiołkowe oczy, uśmiech rozkwitnął wskroś bielmi i, nim dobiegł, wszystko się rozwiało i przepadło.

Długo czekał, zapatrzony w pustą taflę jakby w zamarzlą toń, zazdrośnie kryjącą przed okiem śmiertelnych swoje cuda i dziwy niepojęte. A potem spadła nań jakaś cicha i szara zaduma, że jakby utonął w bezwładzie i trwał — wolny już wszelkich od szamotań, radości i bólow, zapomniany i zapominający, daleki nawet od siebie i tyle o sobie wiedzący, co mogą wiedzieć gwiazdy, lecące przez nieskończoność.

Zbudził go dopiero bełkot życia, szturmujący dziką, brutalną wrzawą do okien. Lęk ścisnął mu serce i oczy napełnił łzami niewytłumaczonego smutku. Wodził po mieszkaniu trwożnymi oczami, gdyż mu się wydało, że ze wszystkich stron wyciągają się ku niemu drapieżne szpony życia i że jego własny głos woła srogo i nakazująco.

— Nie, już nie wrócę do ciebie, nie wrócę — odpowiadał, zapatrzony w jakiś brzeg, majaczący coraz słabiej i dalej. — Pójdę swoją drogą! Pójdę w sen o życiu nowym — dumał.

Wszedł służący, meldując jakiegoś nieznanego pana.

— Nie ma mnie! — zawołał niecierpliwie i drugimi drzwiami poszedł na górę do Joego.

Małajczyk bardzo stanowczo zastąpił mu drogę.

— Nie można!

— Czy tam jest ktoś?

— Nie można.

— A może już zaczęli seans? — pytał podstępnie.

— Nie można — powtarzał uparcie, zasłaniając sobą drzwi.

„Jakieś spirytystyczne praktyki”, pomyślał Zenon wzgardliwie i poszedł na miasto. „A może znowu biczowania? A może i ona?”. Błyskawica wspomnień wstęgą ohydnych obrazów przewinęła mu się przez mózg. „Samo podejrzenie już jest szaleństwem”.

Błąkał się długo we wrzaskliwym odmiecie miasta, przypatrując się murom i twarzom z jakiegoś niezmiernego oddalenia i jakby po raz ostatni, jakby oczami pożegnań na zawsze. Dalekim się już poczuł od wszelkich zabiegów i spraw, dla których żyły i umierały te niezliczone rzesze; tak bardzo dalekim, iż tylko majaczeniem wydawał mu się wszystkim ich żywot, majaczeniem zgoła niezrozumiałym i zupełnie obcym. „Kto z nas halucynuje? Ja czy oni?”, zapytywał się niekiedy, usiłując pojąć swój stosunek do nich. Ale wtedy wypełzały wspomnienia Daisy i te trzeźwiejące myśli rwały się w strzępy, tak że znowu zapadał się w tuman nieokreślonych marzeń i dręczącej tęsknoty. I znowu przechodził wśród ciżb i wrzasków, niby zahipnotyzowany, poruszając się automatycznie, odruchami nawyków i przyzwyczajzeń — błądził jak żywy trup, w niepojętych pustkach i milczeniu. Dopiero w jakimś poślepym zaułku oczy jego, ślizgające się martwo po wszystkim, zatrzymały się machinalnie na białym, jaskrawo świecącym się szyldzie.

„Tu sprzedają rosyjskie papierosy”. Przeczytał parę razy i pchnięty jakimś ciemnym odruchem wszedł do sklepu.

Stara Żydówka w peruce drzemała za bufetem. Gromada dzieci w lachmanach kłębiła się z piskiem na podłodze w bocznej izbie — niskiej i straszliwie brudnej. Klekotały maszyny i kilkunastu ludzi, kiwając się nad robotą, ciągnęło jakąś przesmutną pieśń.

Ale skoro wszedł, owionęło go tak przegniłe i jakby zropiałe powietrze, że ledwie zdołał wykrztusić jakieś słowo, na które Żydówka porwała się z miejsca. Maszyny przycichły i wszystkie oczy podniosły się na niego.

— Pan może z samej Warszawy? — spytała nieśmiało i jej wynędzniała twarz rozjaśniła się cichym rozradowaniem.

— Tak, tak! — odpowiadał, zmieszany ciżbą, jaką go zaraz otoczyli, i natarczywymi spojrzzeniami.

Naraz wszyscy zaczęli mówić i pytać się jeden przez drugiego. Podniósł się niesłychany gwar. Ktoś mu podsunął stołek, ktoś trzymał jego kapelusz, ktoś podawał wodę, a ze wszystkich stron dotykały go delikatnie jakieś palce i zaczerwienione oczy wpijały się w niego z żarłocznością.

Odpowiadał machinalnie, gdyż gwałtowna fala wspomnień zalała mu duszę. Wołały w nim jakichś dawnych lat majaki, jakieś dni przebrzmiałe zamigotały i jakieś bolesne widma chwil pomarłych, i echa dalekiej ojczyzny...

„Gdzie ja jestem? Co robią tutaj ci ludzie? Dlaczego?”, myślał, rozglądając się trwoźnie dokoła, bo nędza, wyzierająca z każdego kąta, z każdej twarzy i z oczów każdego, odpowiadała mu wielkim głosem dlaczego i po co! Taka głęboka litość wtedy nim zatagała, że, przemógłszy obrzydzenie i wstręt do ich brudu i lachmanów, zawiązał z nimi dłuższą rozmowę. Nie skarżyli się, nie narzekali, nie zlorzeczyli, ale każdy z nich w paru cichych i niezdarne wypowiedzianych zdaniach rozsnuwał straszną litanię bólów, krzywd, poniżenia i niesprawiedliwości — całą gehennę wydziedziczonych. Słuchał jakby fantastycznej opowieści z tysiąca i jednej nocy, od której powstawały mu włosy i dusza kurczyła się z gorzkiego, palącego wstydu. Wiele razy chciał już uciekać, ale nie mógł się poruszyć z miejsca, obezwładniony zdumieniem i zgrozą. Pierwszy raz w życiu zajrzał na samo dno rzeczywistości, na samo dno człowieczej nędzy.

Żyd

Bieda, Krzywda

— Straszne! Straszne! — szeptał i, odwracając twarz od ich zaczerwienionych oczów, spostrzegł jakąś małą dziewczynę, skuloną pod stołem, która co chwila biła piąstkami lalkę, uwitą z gałganków, i coś do niej groźnie szeptała.

— Co ona tam robi?

— Pan wie, ona ma trochę słabość w głowie! — wyjąkała stara.

— To wasza córka?

— Nie, nie! — Obejrzała się podejrzliwie i zaczęła szeptać jakby w tajemnicy: — Pan wie, jak był pogrom w Kiszyniewie<sup>116</sup>, to zabili jej tatę, zabili jej mamę, zabili jej rodzinę. Jej twarz rozcięli, zrabowali cały towar i jeszcze dom podpálili! Co to było, to nawet nie można opowiadać! Znaleźli ją pod trupami, ledwie żywą! Taka sierota została, żeśmy ją wzięli ze sobą! Ale od tego czasu ciągle się boi, a jak zobaczy żołdata, to zaraz płacze, krzyczy i ucieka! Bardzo się boi! Róziu, chodź do nas, Róziu! Nie bój się, ten pan nic ci złego nie zrobi!

I mimo oporu wyciągnęła ją spod stołu i przyprowadziła. Dziewczyna — wystraszona — trzęsła się i płakała. Wielkie łzy spływały po jej bladej twarzy, przeciętej krwawą pręgą, w niebieskich oczach o złotych rzęsach tał się obłęd i przerażenie. Chciał ją pogłaskać po rudych, poskręcanych w pierścionki włosach, ale ona zakrzyczała strachliwie i uciekła w głąb mieszkania.

I Zenon miał również dosyć tego.

„A mimo wszystkiego chce im się jeszcze żyć”, myślał, powróciwszy do mieszkania. I dosyć długo nie mógł się otrząsnąć z przykrego wrażenia, długo pamiętał tę dziecinną twarzyczkę z krwawą pręgą — jej błędne zdziczałe oczy i te męczeńskie, wynędzniałe głowy biedaków. „Co się tam dzieje?”. Buchnęły mu znowu do mózgu przypomnienia ojczyzny. Spychał je na samo dno niepamięci, lecz nie dały się zatracić; podnosiły się pieśnią tęsknoty i w coraz boleśniejszej tonacji powracały. Stał przed biblioteką, czytając machinalnie polskie tytuły; już nawet wyciągnął rękę po jakiś tom, ale cofnął się śpiesznie.

— Nie, po co wskrzeszać pogrzebane? Umarłem dla nich, nikt już tam nie pamięta, że byłem kiedyś pomiędzy nimi! Nikt! — powtarzał smutnie i z pewną goryczą. — I ja nie pamiętam nic i nikogo! — wmawiał w siebie bardzo usilnie, gdyż właśnie w tej chwili pamiętał wszystko. — Straszny kraj i straszni ludzie! — bronił się przed tęsknotą, sączącą mu się przez serce ostrym spazmem bólu. — Wszystko przez tych Żydów! — szarpał się gniewnie. — Po licha włąziłem do nich! Głupi sentymentalizm! — wyrzucał sobie niecierpliwie.

Ale dopiero wieczorem, przy obiedzie, w ognistych spojrzeniach Daisy zapomniał doszczętnie i o wszystkim. Daisy była milcząca i jakby owiana melancholią, tylko Bagh co chwila czolgała się do niego, kładła mu głowę na kolanach i jakoś miłośnie patrzyła zielonymi źrenicami.

— Mam dzisiaj u Bagh jakieś nadzwyczajne łaski!

— Ona wie, kogo ma nimi darzyć! — odpowiedziała Daisy, ogarniając go jakimś długim, a niewidzącym spojrzeniem.

— Chyba dlatego, że służymy jednej pani — wyrzekł cicho.

— Nie, ale dlatego, że my troje służymy Jedyemu...

Nie miał czasu prosić o wytłumaczenie, gdyż wstawano od stołu i Daisy zaraz wyszła.

I życie znowu potoczyło się jak zwykle, jak co dzień.

Jak zwykle dnie wlokły się wolno i nudnie. Poranki wstawały senne i mgliste, południa przychodziły blade, wyczerpane i smutne, wieczory były rozdygotane gorączką i zdenerwowane, a noce ciągnęły się bez końca, zasluchane w pluski nieustannych deszczów i w krzyki szamocących się drzew. Nieskończony korowód chwil niepamiętanych, tysiące twarzy i rzeczy niezauważonych, tysiące rozprysniętych myśli przesuwano się jakby głębią zwierciadła przez jego mózg, niezdolny do żadnego skupienia, i przez jego oczy, ślepe na wszystko zewnętrzne, a wytężone wciąż w jakąś tajemniczą, czarowną dal oczekiwania.

Czekał na znak Daisy. Na to obiecane jutro — tam, nad błękitami mórz dalekich. Czekał spokojnie, ufny, że zjawi się i powie: „Chodź!”.

I codziennie wstawał z płomienną nadzieją, że to zaraz się spełni, że to dzisiaj otworzą się wrota wymarzonego raj. Ale po kilku dniach ekstatycznych wyczekiwań Daisy wy-

Krzywda, Szaleniec, Sierota,  
Antysemityzm

Wspomnienia, Ojczyzna,  
Polska, Współczucie

<sup>116</sup>Kiszyniew — być może chodzi o stolicę Mołdawii, Kiszyniów. [przypis edytorski]



jechała z Mahatmą do Dublina na pewien czas. Zaniepokoił się nieco, lecz odprowadził ich na kolej wraz z Joem i wieloma wyznawcami. Już w ostatniej chwili odjazdu Daisy zatopiła w nim rozgorzałe potężnie oczy i szepnęła:

— Wkrótce... Pamiętasz?

— Czekam! Czekam! — odpowiedział niemymi ustami.

I tak długo, a uporczywie patrzył za pociągiem, ginącym w oddali, że aż Joe, zrozumiawszy jego stan, ścisnął mu rękę w kostce i lekko dmuchnął w oczy.

— Chodźmy już, zimno — zawołał rozkazująco.

Zenon wstrząsnął się febrycznie i jakby się budząc, pytająco patrzył dokoła.

— St Pancras Station<sup>117</sup>! Nie poznajesz?

Zenon zaśmiał się dziwnie nerwowo.

— To dziwne, ale przez jakieś mgnienie nie wiedziałem, gdzie jestem. Miałem wrażenie, iż jadę pociągiem i rozmawiam. Nie rozumiem, co mi się stało! — przecierał czoło, usiłując skupić rozpierzchłe strzępy jakichś wspomnień.

— To resztki jakiejś choroby. Albo jej początek...

— Być może, istotnie, ale od paru dni czułem się tak niesłuchanie podniecony! Byłem pewien, że mnie coś nadzwyczajnego spotka. Prawda, przecież ja czekam... — Nie skończył.

— Powinieneś wyjechać! Nawet nasz doktor mówił mi, abym ci poradził zmienić klimat i otoczenie. A zwłaszcza otoczenie.

— To prawda, że nasz pensjonat jest nieco wariacki.

— A niektóre osoby mają na ciebie wpływ bardzo niebezpieczny.

— Mylisz się... — powstrzymał na ustach jej imię.

— Tak mniemam. Ty nie znasz całej potęgi jej woli. Nie wiesz, kim ona jest, nawet nie przypuszczasz!

— Mówmy otwarcie. Przypuszczasz, iż Daisy mnie zaczarowuje i urzeka? — zaśmiał się drwiąco.

— Jestem tego pewien! — odpowiedział z twardą stanowczością.

— Skoro wiesz, to może mógłbyś mi z taką samą pewnością wyłuszczyć, dlaczego to robi?

— Betsy mówi, że ona się w tobie kocha! — zaczął wymijająco.

— Betsy? Skądże Betsy może wiedzieć?

— Przeczula to intuicyjnie.

— Jeszcze tego brakowało, żeby ona się tym zajmowała.

— Ale ja myślę, iż miłość jest tylko przynętą, że to tylko pozór, bo Daisy idzie o co innego...

Zenon przystanął z zapytaniem w oczach.

— O twoją duszę! — dokończył Joe poważnie.

— Czy wskrzeszamy czasy cyrografów i zaprzędawania się diabłom?

— Nie wskrzesza się tego, co nigdy nie umarło. Zło jest również nieśmiertelne, jak i *On*.

— Przebac mi to, co teraz powiem, ale widzę, że istotnie powinienem zmienić na czas jakiś otoczenie. Dawno już spostrzegłem, że żyję wśród obłąkanych. Daruj mi tę szczerłość, ale słuchając ciebie i drugich, a przy tym wiedząc o waszych czarodziejskich praktykach, można by wkrótce i samemu dostać bzika. Jestem wprawdzie dosyć trzeźwy i oporny, czuję jednak, iż ta mistyczna gorączka może być zaraźliwa.

— Ulegniesz jej z pewnością... Nie pomoże twoja oporność, skruszy ją wola Daisy... Ulegniesz... Dlatego właśnie radzę ci wyjazd. Czasem w ucieczce leży największe zwycięstwo! Wiesz, ojciec z Betsy planują podróż na kontynent. Jedź z nimi! Uciekaj z tego domu, póki jeszcze czas! Ratuj się! — prosił żarliwie, patrząc mu błagalnie w oczy.

— Więc zagraża mi takie straszne niebezpieczeństwo?

— Żartujesz, nie wierzysz, a ja ci mówię, że już się chwyciesz nad przepaścią i lada chwila możesz w nią runąć.

<sup>117</sup>St Pancras Station — właśc. St Pancras International, międzynarodowa stacja kolejowa w północnym Londynie. [przypis edytorski]

— Lubię aforyzmy i symboliczne przenośnie, ale słucham tylko siebie i własnego rozumu — odpowiedział dosyć cierpko.

— Tak ci się wydaje, a pójdiesz za nakazem potężniejszej woli...

— Na szczęście nie tak łatwo poddaję się sugestii, a już właściwości mediumicznych zgoła nie posiadam.

— Jesteś największą siłą mediumiczną, jaką znam!

Zenon musiał tego nie dosłyszeć, gdyż, wchodząc do *boarding house*, był zajęty odbieraniem jakiejś depezy od portiera.

— Nie odpowiedziałeś mi nic na projekt wyjazdu z ojcem!

— Będę u nich jutro.

Rozeszli się dosyć chłodno.

Zenon niecierpliwie otworzył depezę.

„Czekamy na ciebie od dwóch dni. Przyjdź lub odpowiedz. Henryk.”

List

Depesza była po polsku i mimo srogich przekręceń zrozumiał jej treść, nie mogąc tylko pojąć, od kogo pochodzi.

„Widocznie jakiś rodak! A skończy się na prośbie o parę funtów!”, pomyślał złośliwie, wchodząc do mieszkania.

— „Czekamy od dwóch dni”. Są jakieś listy?

— Wszystkie leżą na biurku! — objaśnił służący.

— To dzisiejsze?

— Od czterech dni składam...

— Tak... Od czterech dni... Prawda, zapomniałem przejrzeć...

Na samym wierzchu błękitniała jakaś koperta, adresowana nieangielskim charakterem pisma. Ważył ją w rękę, oglądał ze wszystkich stron; wreszcie rozerwał, list przeczytał jednym tchem i osłupiał.

Pisał do niego brat stryjeczny, który przyjechał przed paru dniami do Londynu i usilnie chciał się z nim widzieć. U spodu listu czerniał krótki dopisek: „P. S. Bardzo proszę i bardzo czekam. Ada”.

„Ada! Ada!”. Wpatrzył się w sznur drobnych, wykwintnych liter, od których podniósł się zapach jakichś przywiedłych wspomnień. „Czekają na mnie! Ada! Muszę iść, trzeba, koniecznie...”. Chwiał się przez chwilę, nie wiedząc, co począć, ale tak go coś ciągnęło do nich, że ani wiedział, kiedy się znalazł w *cabie* i polecił się zawieźć do Cecil Hotelu<sup>118</sup>. „Dziesięć lat! Upiory mnie gonią! Umarłe powstają!”, myślał, przypominając sobie jakąś twarz dawno zapomnianą.

Wspomnienia, Miłość  
niepełniona

— A jednak tanto umarło już we mnie! Umarło! — powtarzał, jakby broniąc się przed wspomnieniami.

Na próżno. Rozdarły się nagle mroki, a spod całych lat niepamięci, spod burzliwych zwałów nowego życia, wydzierały się echa dawnych czasów — coraz tłumniej i potężniej, i bardziej zgiełkliwe.

„Zaledwie pamiętam o tej miłości, zaledwie pamiętam!”, rzucił wyzywająco własnemu sercu, oczekując z niepokojem jego odpowiedzi. Lecz serce ani drgnęło; nie zabiło żywiej, nie szarpnęło się tęsknotą, tylko zjawiała się pamięć jakichś strasznych chwil. Ostatni dzień przed ucieczką z kraju wpełznął mu do mózgu i żarł kolczastymi kłami przypomnień.

*Cab* toczył się wolno, wciśnięty w nieskończony łańcuch powozów, omnibusów i samochodów. Ulice szumiały wrzawą i ruchem. Miasto majaczyło w szarych i zimnych mgłach. W głębiach sklepów połyskiwały światła. Czarne mrowie ludzkie płynęło jakby rzekami — bez końca i liczby.

„Jak ona wygląda? Jak mnie przyjmie?”, dumał, zapatrzony w larwy tamtych dni, wynoszących się coraz wyraziściej. Wszystkie słowa pomarłe znowu zadźwięczały w mózgu, wszystkie jej spojrzenia kłębem błyskawic przewinęły się, budząc strupieszale przypomnienia cierpienia. Godziny ciężkich walk, godziny zwątpień i rozpacz, chwile nadludzkiej męki — cała Kalwaria tamtego życia przepływała przez niego gorzką, trującą falą. I chociaż przechodziły korowodem mar, do snów tylko dręczących podobne, w wybla-

<sup>118</sup> *Cecil Hotel* a. *Hotel Cecil* — historyczny hotel londyński, obecnie nieistniejący. [przypis edytorski]

klą grozę przyodziane i w proch się rozsypujące, ale syciły mu duszę jakimś smutkiem daremnego żalu.

„Kaźde dzisiaj jest grobem dla wczoraj! To bardzo mądra konieczność!”. Westchnął jednak smutnie i, wchodząc do hotelu, postanowił niezłomnie, że się nie pozwoli wytrącić z równowagi i nie da się urokom przeszłości.

„Jestem im obcy i obcym pozostanę. Dziesięć lat czasu leżą między nami! Ale czego chce ode mnie ta marmurowa pani? Czy jeszcze mało zapłaciłem?”, pytał, wrząc głuchym, buntowniczym gniewem i niechęcią. Jednak kiedy wszedł do przedpokoju i służący poszedł go oznajmić, poczuł szaloną chęć ucieczki.

Było już jednak za późno. Ktoś biegł pośpiesznie, drzwi się otwały i Ada stanęła przed nim.

Wyciągnęła ręce gwałtownym ruchem radości.

Nie potrafił również wykrztusić ani słowa; tylko ręce ich się zwarły, oczy zatoneły w sobie i stanęli nieprzytomni prawie z dziwnego wzruszenia.

— Chodźcież! — ozwał się jakiś głos z głębi mieszkania.

Pociągnęła go do środka. Naprzeciw szedł o kiju ktoś, kogo nie poznał na razie, i rzucił mu się w ramiona.

— Henryk! — zawołał z przykrym zdumieniem.

Tamten objął go jeszcze raz i szepnął bardzo serdecznie:

— Nareszcie! Takeśmy czekali!

— Od dwóch dni liczyliśmy każdą godzinę — odezwała się cichym, zdławionym głosem.

Zaczął się usprawiedliwiać, lecz Henryk, nie puszczając jego ręki, pociągnął go na fotel i zawołał radośnie:

— Nie tłumacz się, wszystko już jedno. Jesteś z nami, a resztę wyrzucimy za burtę. Ileż to lat nie widzieliśmy się?

— Prawie dziesięć! — szepnęła cichutko, przymykając oczy.

— Straszny kawał czasu. Nie przypuszczałem jednak, że spotkamy się w Londynie.

— Ja byłam pewna, że pan wróci do kraju...

— Cóż, kiedy jeszcze nie zateśniłem do drogiej ojczyzny! — odezwał się ironicznie; był już spokojny, panował nad sobą.

— Jak to, nigdy nie zateśniłeś do kraju? Nigdy?

— Nigdy, bo tutaj znalazłem to wszystko, czego na próżno pożądałem w ojczyźnie.

— I spokój? — spytała, podnosząc na niego oczy.

— Tak. I spokój — dorzucił z naciskiem.

— I nigdy pan nie żałował niczego?

Zawahał się przez mgnienie i rzekł cierpko:

— Nie. Przebrałem się zupełnie z przeszłości, a resztę zamordowałem w sobie. Zresztą, czego mógłbym żałować? Polskiej doli? Nawet szatan nam jej nie zazdrości, chociaż to jego pomysł! Przepraszam, niepotrzebnie poruszam tego rodzaju kwestię.

— I popełniasz głęboką niesprawiedliwość względem swoich przyjaciół.

— Nie mam w kraju żadnych przyjaciół i nigdy nie miałem.

— Więc i my się nie liczymy?

— Nie miałem na myśli rodziny.

— Niech Ada powie, jak boleśnie odczuliśmy twój wyjazd.

— Naturalnie, ubył partner do winta<sup>119</sup>.

Henryk zachnął się, boleśnie dotknięty.

— I nie zdobyliście się ani na jedno słowo do mnie!

— A czy pan dał nam jaki znak życia?

Głęboko skryta skarga brzmiała w jej głosie.

— Więc to moja wina? — wyzywająco patrzył na nią.

Ada pochyliła głowę i wyszła do drugiego pokoju.

— Dajmy spokój wyrzutom. Nie trujmy się i przekreślmy wspólne winy! Na usprawiedliwienie powiem ci to, że dopiero przed paru laty dowiedziałem się, iż jeszcze żyjesz (Ada nigdy o tym nie wątpiła), zaś dopiero rok temu zdobyłem twój adres.

<sup>119</sup>wint — dawna gra karciana przypominająca wista. [przypis edytorski]

— Musiał go zdradzić mój dzierżawca!  
— Nie, mordowaliśmy go nie raz i nie zdradził. Twój zaś adwokat nieustannie nas przekonywał o twojej śmierci, a jako najważniejszy dowód przytaczał to, że cały majątek, obciążony tylko jakimś dożywociem<sup>120</sup>, zapisał na cele publiczne. Musieliśmy w końcu uwierzyć; tylko Ada nie dała sobie wmówić. Ona jedna przeczuwała prawdę. Przed paru laty w Kairze poznaliśmy pana W. P. Greya.

— Poeta! Mój przyjaciel. I on wam powiedział?

— Zrobił to mimowolnie i potem bardzo żałował, zaklinając nas, abyśmy o tym nie mówili.

— Więc w kraju wiedzą już o mnie?

— Nie, nikt nie wie, kto się kryje pod angielskim pseudonimem Waltera Browna. Ada twierdziła, że nie mamy prawa zdradzać twojej tajemnicy.

— Jestem wam nieskończenie wdzięczny!

— Ale zrobiła jeszcze więcej, bo kilka twoich książek przetłumaczyła. I jesteś w kraju znany, panie Walterze Brownie.

— Nawet mam te tłumaczenia. Wspaniale, ale nigdy nie przyszło mi do głowy po-dejrzewać Adę! To niespodzianka!

— Umyślnie nauczyła się po angielsku. I od czasu gdy wiemy, kim jest Walter Brown, wiemy wszystko o tobie. Nie uwierzysz, jak cieszyliśmy się twoim powodzeniem, jak dumni byliśmy.

Zenon milczał, miotany najbardziej sprzecznymi uczuciami.

— I czekaliśmy wciąż twojego powrotu, ale lata szły i moja choroba czyniła takie postępy, że przestałem już liczyć na twój powrót do kraju. Byłbym się pewnie ciebie nie doczekał?

— Nigdy nie myślałem o powrocie — szepnął pośępnie.

— Przeczuwałem to w końcu! Pamiętasz, iż zawsze byłem chorowity, lecz od paru lat nerki i serce zaczęły mnie zjadać coraz pośpieszniej. Na próżno szukałem zdrowia po świecie; i wreszcie dałem spokój, ale tym bardziej chciałem się z tobą zobaczyć. Przyjechaliśmy do Londynu umyślnie.

— Dla mnie?

— Tak. A czy wiesz, że umierającemu niczego się nie odmawia?

— Nie rozumiem! Co to ma za związek z tobą?

— Taki, że mam do ciebie wielką, ostatnią prośbę.

— Chyba żartujesz ze mnie. Przesadzasz ze swoim stanem.

— Niestety, znam go lepiej niżli doktorzy. I wiem, że mogę umrzeć w każdej chwili. Dlatego właśnie tu jestem i proszę cię, jak prosi umierający, zaopiekuj się moją żoną i córką!

— Ja? Twoją żoną i córką! — zerwał się ze zdumienia.

— Po mojej śmierci zaopiekuj się nimi! — powtórzył z mocą i patrzył na niego serdecznym, przeżawionym spojrzeniem. — Pomyśl, po mojej śmierci nie będą miały nikogo prócz ciebie. Pomyśl!

— Chyba nie wiesz, co mówisz! — wykrzyknął, nie mogąc jeszcze uwierzyć własnym uszom.

— Myślałem o tym długo! Cóż w tym widzisz nadzwyczajnego?

— Tak, istotnie, ale spadło na mnie tak nieoczekiwanie...

— Usiądź przy mnie, pomówimy obszerniej. Nie obawiaj się kłopotów opieki, wszystkie sprawy uregulowałem. Daj mi rękę na zgodę. Tak, wiedziałem, że mi nie odmówisz. Dziękuję ci z całego serca. Nie mogę zwlekać i odkładać na później. — Ucałował go serdecznie i cicho, przemęczonym głosem zaczął się zwierzać ze swoich trosk o przyszłość Ady i dziecka.

A Zenon słuchał, patrząc na niego z pewnym przerażeniem.

Jak to, Adę oddaje mu w opiekę? Adę! Własny jej mąż! Co za zbieżność! Teraz, po tylu latach, kiedy już w nim wszystko umarło? Ohydna zemsta czy naigrwanie się losu? Leciąły błyskawicami oślepiającymi myśli i uczucia — skłębione i tak mętne, że chwilami

Literat, Poeta

Rodzina

<sup>120</sup>dożywocie — tu: świadczenie pieniężne wypłacane komuś dożywotnio na mocy testamentu. [przypis edytorski]

był pewien, że ulega dręczącej halucynacji! Ale nie, Henryk siedział tuż przy nim; słyszał jego głos, patrzył mu w twarz, czuł na swojej dłoni jego rękę zimną i spoconą. Wzdrygnął się gwałtownie. Zgadzał się już na wszystko i wszystkiemu potakiwał, nie śmiejąc niczego odmawiać. Tylko pod wpływem jego słów bezgranicznej ufności zaczął nim władać jakiś palący wstyd; i bolesne upokorzenie przeżerało mu serce.

— Nie wiedziałem, że macie córkę! — przerwał mu w nadziei skierowania rozmowy na inne tory.

— Zaraz ją zawołam! Wandziu!

— Ileż ma lat? — ciągnął dalej w tym samym celu.

— Zaczęła dziesiąty! Urodziła się w parę miesięcy po twoim wyjeździe! — ogarnął go dziwnie zagadkowym spojrzeniem.

Zenon ściągnął brwi, jakby oślepiiony nagłą błyskawicą, i zaczął prędko zapalać papierosa, gdy weszła Ada ze smukłą dziewczynką, całą w lokach jasnych jak len, prześliczną.

— Wandziu, to twój wujaszek!

Dziewczyna zatopiła w nim ogromne, błękitne oczy.

— Przywitajcież się! — komenderował Henryk.

Dziewczynka, przemógłszy nieśmiałość, rzuciła mu się w ramiona. Całował ją z wymuszoną czułością i zbyt nieco ostentacyjnie, żeby pokryć jakieś niewytłumaczone wzruszenie.

— Bardzo ładna. Typowe polskie dziecko!

— Nadzwyczajnie do ciebie podobna.

— Zupełnie odmienny typ! — poczuł się niemile dotknięty.

— Właśnie, że zupełnie ten sam typ rodzinny! Przecież dawniej, przed chorobą, Henryk był bardzo podobny do pana — mówiła Ada, przytulając głowę dziecka, lecz w jej oczach tliło się coś zagadkowego, a usta okalał nieodgadniony uśmiech; Henryk też miał w twarzy jakiś smutny wyraz rezygnacji. Tylko Wandzia, przytulona do matki, rzucała na Zenona wesołe, rozbawione spojrzenia.

Rozmowa utykała, wlokła się ciężko, skacząc ustawicznie z przedmiotu na przedmiot, nie mogąc się zaczepić o nic stałego. Leżała bowiem pomiędzy nimi tyloletnia rozłąka, a łączyły tylko dawne, zatarte nieco wspomnienia, których dotykano niejednokrotnie, lecz jakby z obawą. Oboje byli dla niego niezmiernie serdeczni, ale on wciąż trzymał się odpornie, zbywając ich krótkimi, chłodnymi odpowiedziami. Czuł się tak daleki i obcy wobec wszystkich spraw poruszanych i nawet ich samych, że znużony spojrział na zegarek; ale jej oczy strzeliły taką niemą i rozpaloną prośbą, iż pozostał jeszcze, próbując zainteresować się nimi i pokryć nudę, jaka go ogarniała coraz uporczywiej.

Naraz Henryk ze szlachecką otwartością zapytał:

— Powiedz nam szczerze, dlaczego wyjechałeś z kraju?

Był na to przygotowany, bo odparł z uśmiechem:

— Miałem już dosyć Polski, chciałem się poczuć Europejczykiem!

— U nas mówiono o tym inaczej, zupełnie inaczej...

Rozdrażnił się jego głupim, domyślającym się uśmiechem.

— Jakże mówiono? To może być ciekawe.

— Przede wszystkim podejrzewano cię o nieszczęśliwą miłość! Wielu znowu dowodziło, że wypędził cię z kraju jakiś pojedynek amerykański. Ale byli i tacy, którzy przypuszczali bardziej skandaliczne powody...

— Morderstwo lub kradzież! Poznają w tym lotność moich kochanych kolegów literackich.

— Coś w tym rodzaju. Głównie jednak mówiono o samobójstwie z powodu zawodu w miłości.

— Najgłupszy powód, ale za to romantyczny. U nas bardzo chętnie tłumaczą sobie podobne sprawy miłością lub lądactwem.

— Bo tak przeważnie bywa.

— Bywa, nie przeczę, ale bywa i wiele innych przyczyn. Mogą być powody tysiąc razy głębsze i ważniejsze.

Ada odwróciła się nieco, rumieniec krwawą luną oblał jej twarz.

— Ludzie wolą sobie tłumaczyć tym, co najłatwiej rozumieją.

— Słusznie. Gdybym był powiedział: „Wyjeżdżam, bo mi się znudziło życie między wami”, nikt by mi nie uwierzył. Za proste.

— I miałby rację!

— A jeśli bym cię upewniał, że tylko taki był powód mojego wyjazdu?

— Uwierzyłbym, oczywiście musiałbym uwierzyć, ale...

— Cóż znaczy powód wobec samego faktu? — odezwała się Ada.

— Fakt był ważny, nie przeczę, ale tylko dla mnie jednego! — rzucił niechętnie, lecz widząc jej twarz nagle zachmurzoną, zaczął żartobliwie: — Musicie mi kiedyś opowiedzieć wszystkie plotki, jakie krążyły po moim zniknięciu! No i jak mnie tam żalowano? Smutek musiał być powszechny, nieutulony żal i głęboka żaloba!

— Żartujesz, a corocznie twoi wielbiciele zamawiają żałobne nabożeństwo za twoją duszę.

— Aż tak? To pewnie moi wydawcy, w obawie, abym nie ożył i nie upomniał się o swoje prawa, chcą mi zapewnić niebo.

— Nie umiał pan dawniej żartować ze wszystkiego...

— Człowiek się wciąż uczy czegoś nowego, wciąż...

Podniosła się i zaczęła chodzić po pokoju, wyczepiając co chwila przez okno. Nie mógł oderwać od niej oczów. Była wyniosła, piękna i dumna — jak niegdyś. Niekiedy zbiegały się ich oczy i rozlatywały niby sploszone ptaki. Czasem stawała pod oknem, cudowne jej brwi napinały się jak węże gniewne, a usta, dziwnie wygięte w kątach, nabrzmiały purpurą, zaczynały się jakoś żałośnie. Zdawała się nie słyszeć rozmowy, jaką wiedli, a tylko chwilami podnosiła na Zenona mądre, badające oczy. I wtedy jakimś głębokim westchnieniem podnosiły się jej piersi.

Pozostał u nich na obiedzie, gdyż po przełamaniu pierwszych lodów nastrój stawał się coraz swobodniejszy i miłszy. Ożywili się wszyscy i posiłek przechodził bardzo wesoło.

Miał jej twarz przed sobą; puszyste, czarne włosy ocieniały ją niby chmurą, spod której błyskały ogromne, przepaściste oczy, a niski, przecudowny głos budził w nim całe pokłady wspomnień, wskrzeszając przeszłość z niesłychaną mocą.

— Chwilami mam wrażenie, jakbym siedział u was na wsi... przed laty. Nawet ten garson<sup>121</sup> podobny jest do Walentego...

— Wrócisz i wszystko znowu będzie po dawnemu! U nas w domu nic się nie zmieniło. Nie poznasz, żeś tak długo nie był.

— Nie wróciłbym już do dawnego!

— Nie lubi pan przeszłości... — uśmiechnęła się melancholijnie.

— Bo nie miałem nigdy ani jednej chwili, do której pragnąłbym powrócić.

— Ani jednej chwili? — zapytała prędko.

— Jeśli nawet i była, to zalało ją całe morze goryczy.

Rozdrażnił się nagle, gorycz osiadła mu na ustach i zaostrzyła spojrzenie, a stary żal tak szarpnął sercem, że, skoro tylko wstali od stołu, chciał natychmiast odejść.

— Mamy łożę na operę i pragnęliśmy ten wieczór spędzić razem z panem! Czyż pan może nam odmówić?

Znowu ten dziwnie słodki, przejmujący głos, znowu te oczy, nakazujące w prośbie, i ten obezwładniający uśmiech. Nie, nie potrafił się wymówić i pojechał z nimi do teatru.

Widowisko było już rozpoczęte.

Siedział w przyćmionej głębi łoży, patrząc tylko na nią chłodnymi, badającymi oczami, na jej cudowną głowę o suchym, orlim profilu. Miała twarz muzy i zarazem grzechu. W półmroku i tak blisko, tak kusząco blisko krwawiły się jej usta — te niepokojące, jakby wiecznie spragnione usta. Patrzył na nią niby na dzieło sztuki, sycił oczy jej pięknem, radował się najczystszą radością artysty i dlatego z pewnym niepokojem zauważył, iż nieco przytyła i jej wspaniałe biust nabiera pełni gron dojrzewających. Zdawała się nie widzieć przedstawienia ni jego oczów, gdyż spojrzenia jej niosły się gdzieś błędnie, daleko, jakby do wspomnień minionych leciały.

Uroda

<sup>121</sup>garson (daw.) — chłopak na posyłki albo kelner. [przypis edytorski]

„Czy pamięta? Czy zawsze z tą samą obojętnością pozwala się uwielbiać? Czy i innym w nagrodę rzucała okrusz łaski królewskiej? Czy zawsze tak samo zimna i obojętna?”, rozmyślał. Na scenie śpiewano *Romea i Julię*<sup>122</sup>.

Teatr był przepelniony. W łóżach bielily się obnażone ramiona, połyskiwały rozgąrkowane oczy, skrzyły się brylanty i ustawicznie szemrały wachlarze. Zapach perfum i kwiatów przesycił powietrze.

Na sali panował mrok, tylko na jasnej scenie udani kochankowie śpiewali udawaną miłość. Słodkie kantyleny<sup>123</sup> sączyły jad podrażnień, budząc szalone tęsknoty pocałunków i dreszcze namiętnych pragnień. Żądza śpiewała bezwstydną i nigdy nienasyconą pieśń rozkoszy.

A w jakiejś chwili, gdy kochankowie na scenie rzucali się sobie w objęcia, Ada upuściła wachlarz i kiedy go podawał, szepnęła ledwie dosłyszalnie:

— Pamiętasz?

Właśnie był wskrzeszał wspomnienia tej jedynej i nigdy niepojętej chwili, więc na jej słowo zadrżał i spojrział zdumiony. Siedziała spokojna, zimna, jakby z marmuru wykuta.

Jakże teraz pamiętał tamten wieczór grozy i szału!

Był u nich na wsi.

Wiosenna burza szalała na świecie; niekiedy deszcz lał strumieniami, niekiedy wicher łomotał o ściany, park jęczał, biły pioruny i migotały błyskawice.

Całe towarzystwo grało w karty w przyległym pokoju, a on w wielkiej, mrocznej sali grał na fisharmonii Bacha; grał dla niej jak zawsze i jak zawsze śpiewał o swojej beznadziejnej miłości.

Przyszła, przyciągnięta dźwiękami, i snuła się po sali niby biała, cicha błyskawica. Noc stawała się coraz straszniejsza i grzmoty huczały złowrogo, jakby się walił cały świat. Patrzyła w burzę i oslepiające migoty bez trwogi, jednakowo spokojna, wyniosła, milcząca i tak martwo obojętna, że jak zawsze pomarły mu na ustach słowa wyznań, a duszę zalały lzy beznadziejnej rozpacz.

Tego wieczora nie zamienili ze sobą ani słowa.

Został u nich na noc, gdyż z powodu szalejącej burzy niepodobna było wracać do domu.

I kiedy się znalazł w swoim pokoju i, zgasiwszy świecę, zaczął rozmyślać, że trzeba iść precz z tego domu, iść zaraz i na zawsze... Otworzyły się drzwi... Ktoś wszedł bosymi nogami... I nim się zdołał unieść i zapytać, ktoś padł mu na piersi... Ktoś go objął... Czyjś usta pożerały go chciwymi, głodnymi pocałunkami... Czyjś głos zduszony... Głos objawienia... Głos upojeń i szału...

Nie mógł teraz myśleć o tym spokojnie. Zerwał się bezwiednie z miejsca; brakowało mu tchu i jakieś szalone pragnienie rozprężyło mu ramiona.

Na szczęście akt się skończył. Kurtyna opadła i grzmiące brawa oprzytomniły go natychmiast.

Wyszli oboje do *foyer*, gdyż Henryk wołał pozostać w łoży.

— Wiem, o czym pan myślał! — zaczęła, nie patrząc na niego.

— Mógłżebyś myśleć o czymś innym?

Przenikliwy, nieodgadniony uśmiech przewiał po jej ustach.

— Gdyby nie to spotkanie, byłbym zapomniał — szepnął jakby z wyrzutem. — Byłbym zapomniał na zawsze.

Fala ludzi rozdzieliła ich na chwilę.

— Musimy się jutro spotkać. Przyjdę do *British Museum*<sup>124</sup> o jedenastej. Będzie pan na mnie czekał!

— Rozkazuje pani, więc będę.

— Ależ ja proszę, ja proszę — powtórzyła z tkliwością.

— Długo będziecie w Londynie? — spytał już spokojniej.

Wspomnienia

<sup>122</sup>*Romeo i Julia* — opera Charles'a Gounoda (1818–1893), wystawiona po raz pierwszy w 1867 r. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*kantylena* — tu: melodia, piosenka o charakterze lirycznym. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>*British Museum* a. *Muzeum Brytyjskie* — muzeum narodowe znajdujące się w Londynie, największe w Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

— To zależy od tego, co mi pan jutro powie — zajrzała mu w twarz lękliwie, wyczekując.

— Ja mam decydować! Nigdy nie chciała mnie pani nawet słuchać, a teraz... Jakąż nową krzywdę szykuje pani dla mnie? — uśmiechnął się z bolesnym szyderstwem.

Przybladła, oczy jej zatrzepotały, jęknęła prawie.

— Nienawidzi mnie pan!

— Tylko się bronie, bo zbyt dobrze jeszcze pamiętam dawną.

— A więc do jutra! Wszystko panu powiem i wyjawię...

— Dziesięć lat na to czekałem — szepnął, wracając do łóżka.

Nowy akt się rozpoczynał. Na scenie działy się przeróżne rzeczy, ale on nie spostrzegł niczego, nawet jej płomiennych spojrzeń, jakimi go ogarniała. Siedział skulony, przeżywając te dawne krzywdy; pasł się męką przypomnień tamtych czasów i tamtej niepojętej nocy...

Przyszła i oddała mu się sama.

Jakąż straszną zgryzotą były brzemienne te chwile szału!

I dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Ach prawda, jutro się nareszcie dowie wszystkiego...

Ale któż mu i czym zapłaci mękę lat całych, kto? Czy ta piękna, marmurowa pani, której nie kochał i nie pożądał? O tamtej przecież marzył, o tamtej umarłej i pogrzebanej w sercu na wieki! Nie wskrzesi się, co się już w proch rozsypało!

Jakże pamiętał w tej chwili ten świt, gdy go opuszczała i na wszystkie jego zakłęcia i pytania nie wyrzekła ani jednego słowa. Odeszła jak sen, tak że chociaż wkrótce dzień zajrzał mu w oczy, słońce zaświeciło, zaśpiewały ptaki, jemu się wciąż zdawało, że to wszystko było marzeniem. A w radości, jaka go chwilami przejmowała, było tyle niepokojów i lęku, i niewiary we własne szczęście, że w odurzeniu oczekiwał śniadania. Nie przyszła do stołu.

On tylko jeden rozumiał, dlaczego nie przyszła, i miał ochotę ogarnąć cały świat ramionami bezbrzeżnego szczęścia. Rozwód i życie z ukochaną! Wszystko mu się rozwiązywało jasno, prosto i szczerze. Nie byłby w stanie oszukiwać nikogo, czuł wzgardę do uwodzicieli. Upił się marzeniami przyszłości, czekał na nią z niewypowiedzianym utęsknieniem.

Ale nie pokazała się nikomu przez całe dwa dni.

Henryk opowiadał, że chora i leży w łóżku.

Nie mógł już dłużej czekać i napisał list, w którym zamknął wszystką miłość i wszystką wiarę, i wszystką nadzieję na ich wspólną przyszłość.

Zwróciła mu nierozpieczętowany!

I trzeciego dnia, kiedy się ukazała, była jak zawsze zimna, obojętna i prawie wzgardliwa.

Obląkany z bóleści i — nie mogąc zrozumieć, co się z nią stało — doprowadzony do rozpaczcy, zażądał kategoriycznych wyjaśnień. Odeszła wtedy bez słowa.

Zaczął przypuszczać, iż stała się jakaś straszna omyłka. Ale w jakiejś litosnej chwili powiedziała mu otwarcie:

— Proszę nie pytać. Wszystko musi być po dawnemu, kiedyś panu wyjaśnię.

A że nie potrafił żyć po dawnemu, ludząc się jakąś mglistą nadzieją, że upływały tygodnie, a ona wciąż była jednako zimna, nieprzystępna i daleka, więc rozpaczliwym wysiłkiem pozrywał wszystkie więzy, łączące go z krajem, i uciekł we świat. Stworzył sobie nowe życie i prawie zapomniał.

A teraz, po tylu latach, to widmo przeszłości staje przed nim.

„I czegoż ona chce ode mnie?“, dumął posępnie, wgłębiając się z niepokojem w jej dumne, królewskie oczy. „Nie dam się w dawne jarzmo, nie dam!“, buntował się coraz zapalczywiej.

Po wyjściu z teatru Henryk bardzo serdecznie przypominał, że musi z nimi spędzać cały czas.

— Ja już zaprosiłam pana Zenona na jutro do British Museum.

— Przyjdę, o ile mnie narzeczona nie wezwie na służbę...

Adzie zamigotały oczy, ale powiedziała swobodnie:

— O tak, narzeczona ma pierwszeństwo nawet przed nami...



Henryk z ciekawością jął się o nią rozpytywać.

— Jutro opowiem szczegółowiej! Musicie ją poznać. Dobrze się nawet złożyło, że pozna kogoś z moich! Do widzenia!

Z tym się rozstali. Zenon wracał zdenerwowany i zły na siebie, na nich i na cały świat, postanawiając najsolennie nie pójść jutro do British Museum.

„Bo i po co? Rozgrzebywać stare rany! Czegóż się dowiem? Że to się stało pod wpływem burzy i chwilowej słabości? Dlaczego jednak tak ze mną postąpiła?”, buchnęło w nim równocześnie to stare, dręczące pytanie, tak że się już nie mógł na nic stanowczego zdecydować.

W domu zastał list Betsy, proszącej, aby przyszedł do nich jak najprędzej dla zdecydowania sprawy ich wyjazdu na kontynent. List był pisany z taką głęboką tkliwością, że pod jego wpływem zapomniał chwilowo o swoich udęczeniach, odpisując bardzo serdecznie i obszernie. Podniósł się właśnie, aby list zanieść do portiera, gdy ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę! — Zdziwił się, gdyż cały hotel spał już od dawna; Malajczyk stanął w progu, belkocząc coś bez związku.

— Co się stało? Mówże wyraźnie, nie rozumiem.

— Niech pan idzie prędko... Już od zmroku siedzi... Ja nie...

Nie słuchając więcej, poleciał na górę.

W okrągłym pokoju, tam gdzie kiedyś odbywała się scena biczowań, Joe siedział na środku podłogi z podwiniętymi nogami, skulony i zapatrzony przed siebie szklanymi oczami. Kryształowa kula u sufitu mżyła bladym, zielonawym światłem.

— Joe! Joe!

Ani drgnął na głos przyjaciela, tylko bezprytomny uśmiech zamigotał na jego sinych wargach; poruszył nimi bez dźwięku i pochylił się nieco naprzód. Zenon poszedł oczami za kierunkiem jego spojrzenia i stanął jakby sparaliżowany. Naprzeciw, pod ścianą, siedział ktoś tak zupełnie podobny do Joego jakby jego zwierciadlane odbicie, tak samo skulony i patrzący przed siebie szklanymi oczami, z tym samym bezprytomnym uśmiechem na posiniałych wargach.

Zenon obejrzał się trwożnie po pokoju. Malajczyka już nie było, ale ci dwaj wciąż siedzieli jakby zastygli w natężonym, martwym wpatrywaniu się w siebie samych.

Pot mu zrosił czoło i serce bić przestało.

„Śnić czy co? Co to znaczy?”, myślał, przecierając oczy.

Nie śnił jednak, a to, co miał przed sobą, było jakąś zgoła niepojętą rzeczywistością i trwało niezmiennie. Badał ich najbardziej szczegółowo i z najgłębszą uwagą, nie mogąc jednak rozeznaczyć, który z nich jest tylko odbiciem drugiego — każdy bowiem był Joem, każdy był tym samym, identycznym, a w dwóch postaciach.

— Więc to możebne! To prawda! — szeptał zbielełymi ustami, cofając się w głąb przypomnień tych wszystkich rzeczy, jakie był widział i słyszał, a z których zawsze żartował, biorąc je za obłąd i błagę.

A teraz zwały się na niego chwile tak strasznego zamętu, że niby o granity rozbijał się o tę niepojętą rzeczywistość. Walczył z nią, szamotał się z własnym mózgiem, z własną duszą szedł w krwawe zawody, żeby się tylko nie dać zepchnąć na dno szaleństwa. Bo czyż to podobna, aby fizyczna niemożliwość stawała się faktem? Aby człowiek mógł się rozdzielać na dwie tożsamości? Jakiś cud spełniał się na jego oczach, cud, na który patrzył i sprawdzał całą swoją świadomością. Przecież widział, a nie mógł tego pojąć, tak że w końcu zgroza nim zatrzęsała i rzuciła w proch ukorzeń przed jakąś nieznaną potęgą. Jakby naraz przejrzał i, zatopiwszy olśnione oczy w niezmiernych dalach, chwiał się na krawędziach tajemnicy — a byłby może runął w głąb nagle rozwartą, gdyby nie to straszliwie gorzkie poczucie całej swojej ludzkiej nicości.

— Boże mój! Boże! — westchnął żałośnie i modlitewna tkliwość przejęła jego wylęknione serce.

Pierwszy raz w życiu zaciężyło nad nim Nieznane. Pierwszy raz w życiu spojrzął w ślepe oczy nieznannej zagadki i padł struchlały w świętym przerażeniu, a z serca wyrwały się słowa jakiejś zapomnianej modlitwy i popłynęły strugą uwielbień. Nie wiedział, przed kim otwiera duszę nabrzmiałą trwogą, do kogo śle tę pomdlącą z żaru westchnienia, kogo

Sobowtór

Cud, Konflikt wewnętrzny,  
Strach

wielbi ni przed czym się korzy, ale wiedział, że musi tak czynić całą swoją istotą i całą głębią rozplomionego uczucia.

A potem wyszedł i, zapalwszy wszystkie światła w całym mieszkaniu, zaczął spacerować po pokojach w stanie trudnym do pojęcia.

Małajczyk kłęzczał w chińskim gabinecie przed złotym posągami Buddy, żarliwie przesuwając ziarna różańca.

Godziny wlokły się ciche, a tak zarazem nabrzmiały niepokojem i trwogą, że każdy dźwięk zegara odzywał się w sercu Zenona przesywającym hukiem. Niekiedy deszcz zabrzęczał po szybach, a niekiedy szarpnęły się drzewa i pocięte, nagie gałęzie migotały za oknami widmowymi zarysami.

Dosyć często zaglądał do pokoju okrągłego, lecz zawsze zastawał to samo: siedzieli zapatrzeni w siebie w jednako znieruchomiałej pozycji. Jak dwa posągi o żywych, a nieprzytomnych spojrzeniach, majaczyli w tym zielonawym świetle niby pod wodą rozedrganą i mętną. Zbliżał się do nich, przemawiał, dotykał ich rąk lodowatych, próbował unosić, ale byli jakby zrośnięci z podłogą, tak że mimo wysiłków nie potrafił ich nawet poruszyć z miejsca.

„Który z nich Joe? Który?“, myślał z niezmierną udręką i, nie mogąc tego rozstrzygnąć, znowu spacerował po mieszkaniu. Czekał coraz niecierpliwiej na rozwiązanie tej oszałamiającej zagadki. Biła już szósta rano, gdy przeciągły jęk przedarł się z okrągłego pokoju. Rzucił się tam gorączkowo. Joe leżał omdlały na środku i był tylko sam jeden. Przenieśli go na łóżko, trzeźwiąc tak energicznie, że wkrótce otworzył oczy; rozejrzał się przenikliwie i zupełnie przytomnie szepnął:

— Czy on jest jeszcze? — Coś jakby trwoga zadrgała mu w głosie.

— Nie ma nikogo. Jak się czujesz?

— Jestem strasznie znużony, strasznie... strasznie... — powtarzał coraz wolniej i senniej; Zenon posiedział przy nim, dopóki na dobre nie zasnął, wrócił do swego mieszkania i natychmiast położył się do łóżka.

Ale o jedenastej już był w British Museum, pod kolumnadą. Czuł się dzisiaj dziwnie smutny i ociężały i mimo usiłowań nie potrafił na niczym skupić uwagi. Wszystkie myśli przeciekały przez niego jak woda przez sito, nawet wspomnienia nocy nie wywoływały żadnych żywszych uczuć — były mu równie obojętne jak wszystko. Był jak ten dzień: znużony, mglisty i nudny.

Wreszcie ukazała się Ada — piękna, strojna i czarująca, tak że spoglądano na nią z podziwem.

Przywitali się w milczeniu, on bowiem nie miał nic do powiedzenia, zaś ona tak wiele, że tylko jej oczy zaśpiewały hymn radości, a na usta buchnęły uśmiechy jakby odbłaski pożarów wewnętrznych.

— Wygląda pani nadzwyczajnie! — szepnął zdawkowo.

— Bo jestem w tej chwili szczęśliwa! — przycisnęła się do niego ramieniem; czuł, jak się rozdygotała. — Mów do mnie! Jestem głodna twojego głosu, tyle lat czekałam! — prosiła z tkliwością.

— Pozwól mi tę pierwszą chwilę uczcić w milczeniu — powiedział wyszukanie z jakimś anemicznym uśmiechem na wargach.

Weszli do egipskiej sali. Sfinksy, potężne sarkofagi, bogowie i posągi świętych zwierząt, złomy kolumn i prawieczne szczątki umarłego przed wiekami życia stały niezmierną ciżbą w olbrzymiej i nieco mrocznej galerii. Lśnienia porfirów, przybladłe barwy malowideł, tajemnicze napisy i nieodgadnione uśmiechy bóstw, zapatrzonych pustymi oczami w dal niepojętą, rozsiewały dokoła posępną i trwożną cichość. Groza tajemnicy przemawiała milczeniem. Wieczność tała się w głuchym i obojętnym trwaniu. Ze źrenic bóstw płynęło nieubłaganie i konieczność, a ich kamienny spokój drażnił, niepokoił — i przesycił duszę człowieczą tragiczną trwogą...

— Dlaczego wyjechałeś z kraju? — spytała nagle.

— Wypędziła mnie twoja obojętność! Nie pamiętasz?

— Moja obojętność! — powtórzyła jak echo.

Zbudził się w nim stary, dręczący żal — aż się od niej odsunął.

— Przyszedłem prosić cię o wyjaśnienia.

— Tylko po to? — krzyk przerażenia zadrgał w jej głosie i oczach.

— Miałem je wczoraj obiecać — usprawiedliwił się bardzo zimno, bowiem wydała mu się wroga i postanowił się bronić.

Usiedli pod olbrzymim złomem, pokrytym hieroglifami.

— Tak, masz prawo żądać... Powiem ci wszystko... Pytaj... — Jej głos się przełamał i twarz omroczała bolesnym smutkiem; nie zważając na to, zatopił w niej drapieżne, nielitościwe źrenice.

— Dlaczego wtedy... Tej nocy... — nie potrafił skończyć pytania.

— To twoja córka! — odpowiedziała nieulekłe i szczerze.

Odsunął się gwałtownie i w najgłębszym zdumieniu, prawie z przestachem, nie mogąc przez długą chwilę przemówić.

— Wandzia... Moja córka... Wandzia...

— Twoja. Masz wyjaśnienie...

— To wyjaśnia jeden fakt, ale nie wszystko! Błądzą w ciemnościach i nie mogę nic zrozumieć! Wandzia, moja córka! Ale dlaczego później byłaś taka obojętna? Dlaczego pozwoliłaś na moją mękę? Dlaczego zmusiłaś mnie do uciezki? Dlaczego? — rzucał pytania niby kamienie miażdżące, a tak zapamiętałe i mściwie, aż spojrzała na niego błagalnie.

— Powiem ci wszystko... Szczerze, niczego nie ukrywając. Niech się stanie, co się ma stać... Zbierałam odwagę na tę chwilę, a teraz... Boże, jakże mi ciężko! Ty nie masz pojęcia, jak może pragnąć dziecka kobieta samotna, taka panna-mężatka, jaką ja byłam. A ty byłeś moim ideałem człowieka, wiedziałam, że mnie kochasz, i czułam, że na każde moje skinienie... Ale czyż mogłam powiedzieć, czego pragnę od ciebie? Z całą szczerością mówię ci w tej chwili, że wtedy nie ciebie, nie twoich uniesień ni nawet własnego szczęścia było mi potrzeba. Pragnęłam całą siłą nieprzepartego instynktu macierzyństwa i nie mogłam się odważyć... Musiałam przewyciężyć w sobie wszystkie wstydlivości kobiece, zakorzenione od wieków, całą moją naturę. Całe miesiące trwała ta męka. Nie domyślałeś się nawet, co się we mnie dzieje... Czekalam jakiegoś cudu; a że cud nie nastawał... Odważyłam się wreszcie tej nocy... Masz całą prawdę. Nie wstydzę się tego, bo jestem matką twójego dziecka.

Matka, Dziecko

Umilkła, rozplamiona jakimś głębokim, świętym wrażeniem — i była tak piękna i porywająca w szczerości swoich wyznań! Obnażyła się przed nim do rdzenia swojej istoty i stanęła jak samo życie, wечно żądne zapładniań i wечно zapładniające — jak słońce niepokalana, jak kwiat przeczysta i jak Ewa dumna świętością swoich przeznaczeń.

Ale Zenon tego nie odczuwał, gdyż, wyssawszy z jej wyznań straszne upokorzenie, syknął z tłumioną wściekłością:

— A potem przestałem ci być potrzebny! Pajęczycy!

— Nie mów tak do mnie, to potworne!

— A nie jesteście jeszcze potworniejsze to, coś mi powiedziała? Więc nie miłość rzuciła cię w moje ramiona, nie szłaś jakiejś świętej chwili uniesienia, lecz tylko dziki, rozrodzcy instynkt! Nie pożądałem cię przecież jak samicy, nie; kochałem twoją duszę, twoją wzniosłość, twoją człowieczą dostojność kochałem! A tyś szukała we mnie tylko samca! Czemuż na mnie wypadł ten wybór! Byłem tylko użyty jako narzędzie... To wprost straszne!

Dławiła go bezsilna wściekłość, upokorzenie i niewysłowny żal.

Ada słuchała mężnie, chociaż chwilami bladła jak trup, pochylając głowę coraz niżej.

— I po coś mi to wszystko powiedziała? — jęknął.

— Bo cię Kocham!

— Czy znowu aby... — bluznął szyderczo.

Już z trudem zniosła tę zniewagę. Pochwyciła jego ręce i, całując je z jakąś żarliwą pobożnością, wyszeptala łzawo:

— Zlituj się nade mną! Kochałam cię zawsze. Dopiero po twoim wyjeździe zrozumiałam, co tracę. Dopiero przez te długie, długie lata samotności przemierzyłam całą otchłań cierpienia! — zaczęła roztaczać taki przebolesny obraz męki, tęsknoty i daremnego oczekiwania, że dusza mu spokorniała i już ze współczuciem wsłuchiwał się w te echa, przesiąknięte łzami; ale gdy potem jęła snuć przędzę przyszłości, zachmurzył się nagle i wtrącił z rozmysłem:

— A Henryk?

— Po cóż go mamy wspominać w tej chwili!

Obejrzał się zdziwiony, jakby to wyrzekł ktoś inny.  
 — Przecież rozważamy tylko nasze sprawy! — dodała z mocą.  
 Uśmiechnął się, nie mogąc powstrzymać złośliwości.  
 — Prawda, mąż musi być zawsze okłamywany...  
 — Nigdy go nie okłamywałam! — dumnie podniosła głowę.  
 — Nigdy? A Wandzia... — pchnął jakby sztyletem.  
 — Byłam mu zawsze tylko siostrą; i on wie, że to twoja córka! Sam tego pragnął.  
 Zwierzył się z tym przede mną otwarcie.  
 — On wie i sam tego pragnął...  
 — Czemuż się tak zdumiewasz?  
 — Bo to wprost nie do uwierzenia!  
 — Że przemógł własny egoizm dla mojego szczęścia? Bo to nawet nie poświęcenie, jakież? Ma za to we mnie wiernego do śmierci przyjaciela.  
 — Nie mogę tego zrozumieć, nie potrafię. Pierwszy raz w życiu spotykam się z tak nieprawdopodobną sytuacją. Zaiste święty!  
 — Tylko dobry i rozumny człowiek.  
 — I to mu wystarcza?  
 — Musi! Wczuj się tylko w jego położenie! Cóż by począł teraz beze mnie, sam jeden, chory i zdany na łaskę służących...  
 — Ale i twoje życie nie jest do pozazdroszczenia...  
 — Dlatego przyjechałam wziąć swój dział szczęścia.  
 Uśmiechnął się bardzo smutnie i rzekł z cichym wyrzutem:  
 — Gdybyś była przeczytała mój list...  
 — Przeczuwałam, żeś mi proponował rozwód i małżeństwo!  
 — I wróciłaś mi go, nie rozpieczętowałaś!  
 — Bo nie mogłam zostać twoją żoną.  
 — Pomimo wszystkiego, co zaszło!  
 — Nawet pomimo Wandzi! Nawet pomimo wszystkiego.  
 — Prawda, przecież tobie chodziło tylko...  
 — Kochałam cię i właśnie dlatego nie zostałam nigdy twoją żoną, nigdy!  
 Aż przystanął, zdziwiony naciskiem, z jakim to mówiła.  
 — Nigdy. Pragnęłam bowiem i pragnę, abyś szedł swobodnie swoją górną drogą.  
 Orły muszą brać swój lot wysoko ponad ziemią, z dala od spraw codziennych. Żona dla prawdziwego artysty jest złym, niszczącym demonem. Jest jego wampirem.  
 — Więc z rozmysłem skazałaś mnie na cierpienia.  
 — Tak, ale poświęciłam także swoje życie. I z mojej to męki wyrosły ci orle skrzydła, z moich pragnień powstałaś i z moich łez...  
 — Któż ty jesteś, kto? — przejęła go nagle jakaś zabobonna trwoga.  
 — Kocham cię! — szepnęła, ogarniając go cichymi oczami.  
 Milczeli dosyć długo, przechodząc niezliczone sale, wypełnione cudami wszystkich czasów i ludów. Ada miała na ustach jakby gorzkawy wyraz rezygnacji, a on przypatrywał się jej z coraz gorszą i serdeczniejszą uwagą, aż w końcu powiedział smutnie:  
 — Cóż ja ci mogę dzisiaj dać za taką miłość?  
 — Wrócisz do kraju, niczego więcej nie pragnę. Będę szczęśliwa, że cię wróciłam ojczyźnie i literaturze. Alboż to mało?  
 — Czy ja potrafię żyć tam jak dawniej?  
 — Przecież umarło, co było dla ciebie złem, a nowe, twórcze życie czeka na ciebie z otwartymi ramionami. Twoje miejsce niezajęte. Staniesz znowu na czele i poprowadzisz ludzi swoim wielkim, bohaterskim szlakiem! A tylko czasem przyjedziesz do swojej córki i do swojej siostrzanej kochanki! Nic więcej dla siebie nie żądam, nic! — dodała ciszej i nieco smutnie.  
 — Kuszenia św. Antoniego<sup>125</sup>, czarowne kuszenia! Majaki, do których nieraz wyciągałem ramiona. Ale czy potrafię się stąd oderwać? Tak wrosłem w tę glebę i tyle mnie z nią łączy...

Poświęcenie, Miłość

<sup>125</sup>św. Antoni a. Antoni Wielki (250/251–356) — egipski pustelnik, opat i twórca anachoretyzmu, jednego z ruchów monastycznych; w swej pustelni miał być wielokrotnie kuszony przez szatana, przed którego atakami rzekomo ratowały eremitę nadprzyrodzone wizje. [przypis edytorski]

— A przede wszystkim narzeczona! — dławilo ją to tak dawno, że się już nie mogła wstrzymać.

— Nie tylko! Mam ważniejsze przyczyny! — Obejrzał się niespokojnie jakby w obawie przed widmem Daisy. — Bywają niekiedy przeszkody, leżące poza naszą indywidualną wolą...

— Wykradnę cię i uwiozę ze sobą! Stoczę walkę z tobą o ciebie. Przemogę wszystko, przekonasz się. Zwalczę niemożliwości, a nie dam cię już nikomu i niczemu! — wybuchnęła z mocą. — Jeśliś tylko niezwiązany z sercem lub honorem — dodała ciszej, smutniej i lękliwiej.

— Nie, nie! — bronił się słabo, gdyż Betsy, ufna i kochająca, zamigotała mu w pamięci niby krzak różany.

— Wracaj do kraju z żoną, prędko ją spolszczymy! — wyrzekła, odgadując jego tajoną troskę. — To nawet będzie lepiej dla nas wszystkich! — Oczy się jej zaszklily i ciężkie westchnienie rozrywało piersi, ale nie dojrzał tego ani nie odczuł, gdyż powiedział:

— Myślałem już i o tym!

Wyszli z muzeum i pojechali do domu.

Obrzydliwa, żółtawa i zimna mgła już zalewała całe miasto jakby brudną, wzburzoną wodą, spod której ledwie majaczyły pocerniałe zarysy domów i ludzi. Na węższych ulicach, pomimo południa, zapalano latarnie, a wiecznie nieustający krzyk miasta sączył się na wskroś mgieł głuchym dygotem.

Ada spod przymkniętych powiek obserwowała jego twarz zadumaną. Czuła, że był od niej gdzieś bardzo daleko, i to ją przepełniało bezgranicznym smutkiem. Przecież na wszystką jej miłość nie odpowiedział ani jednym gorętszym słowem. Stłumiła jednak ból i rozpacz, rozrywając jej serce, i spytała łagodnie, dotykając jego ręki:

— O czym myślisz?

— Trudno nawet określić, o wszystkim i o niczym zarazem.

Pogrążyła się znowu w bolesnym milczeniu.

Dopiero przy rozstaniu ożywił się nagle i przemówił gorąco:

— Wskresiłaś mi duszę! Przyjdę do was wieczorem, nie mógłbym się już obejść bez ciebie... Ucałuj Wandzię ode mnie! Otworzyłaś przede mną jakieś nowe, nęcące horyzonty! Boję się jeszcze mówić o tym! Chwilami zdaje mi się, że to wszystko, co dzisiaj przeżyłem, to tylko moje marzenie o przeszłości. Może to tylko halucynacja? Nie wiem jeszcze! Nie wiem; błąkam się jeszcze...

— Kocham cię, to szczerą prawdą!

## ROZDZIAŁ VIII

Nie mógł już odpowiedzieć, gdyż pozostał sam w przedsionku. Ada wchodziła na białe, marmurowe schody. Pochwycił tylko jej ostatnie spojrzenia, co jak upajający okwiat spłynęły na niego, nim utonął w gwarze ulicy i mgłach. Był rozgorączkowany tym wszystkim, a ostatnie jej słowa nasypały mu w serce takiego żaru, że rozplomieniał się przedziwnie szczęsną radością.

„A wszystko razem jest nie do uwierzenia!”, myślał, „Jakby rozdział nienapisanego jeszcze romansu!”.

— Przeżyty, a zgoła nieprawdopodobny! — szeptał, trzeźwiejąc nieco na jakimś zbiegu ulic, tak zatłoczonym wezbraną i spiętrzoną rzeką pojazdów, że zdało się niepodobieństwem przejść na drugą stronę; przeszedł jednak pod białą pałeczką *policemana*<sup>126</sup>, na której skinienie cały ten potok, straszliwie rwący, skamieniał w miejscu i rozstał się.

— Jak samo życie! — snuł dalej, przystając tu i owdzie przed wystawami sklepów i nie wiedząc, na co patrzy, tak był pełen rozpamiętywań i radosnego wzruszenia; płynął z tłumami machinalnie jak kawał drzewa porwany prądem, nie myśląc nawet, gdzie płynie i po co.

— Jakież to dziwne! — zdumiewał się, dopiero teraz pojmując całą niezwykłość wszystkiego, co tak niedawno przeżył.

Znalazł się w Hyde Parku i długo błądził po pustych drogach, zagubionych w bładym, przemglonym powietrzu. Dzień bowiem roztaczał się szary i posępny; wszystko dokoła

Przemijanie, Smutek

<sup>126</sup>*policeman* (ang.) — policjant. [przypis edytorski]

tchnęło ciszą i smutną martwością, obumarłe drzewa dygotały bezsilnie, wody lśniły zmatowanymi ślepotą oczami, a gdzieś wysoko nad parkiem kołowały stada jakichś ptaków i chwilami sływał wrzask kruków.

Smutek tego posępnego dnia przesączał mu się z wolna do serca, a jego siostrzyca, melancholia, jęła przysłaniać rozgorzałe oczy swoimi przegniłymi, trupimi rękami. Owładnęło nim jakieś niewytłumaczone zniechęcenie, przygasły żary i nuda zasypywała je szarym obłokiem bezwładu. Stawał się w sobie beznadziejnie smutny, tak że nawet te czarowne wizje, którymi jeszcze przed chwilą poił wyobraźnię i przed którymi klękał w zachwyceniu, zaczynały się przeobrażać w zwykłą rzeczywistość — były czymś przypadkowym i codziennym. Nawet ostatnie słowa Ady zdały mu się teraz jakimś echem, przebrzmiałym od dawna i pustym. Z pewnym lękiem poczuł, jak te niedawne uniesienia i to przedziwne szczęście, zmartwychwstające wraz ze zjawieniem się Ady, pełną w nim na lachman i wyciekającą z duszy niby woda z pękniętego naczynia, pozostawiając tylko po sobie gryzący żal do własnej niemocy.

„Cud trwał przez мгновение, wskrzeszony umiera śmiercią wieczną!”, rozmyślał z gryzącym smutkiem, bo w tej chwili poczuł tę prawdę gorzką serca, że Ady już nie kocha, a Wandzia jest mu obca i również obojętna. Ale nie chciał się jeszcze przyznać do tego, bronił się przed samym sobą, spychając to na chwilowe znużenie. Naraz tak mu się zrobiło przykro i wstyd własnego stanu, że usiłując więcej o tym nie myśleć, śpiesznie pobiegł do domu.

W jadalni nie zastał już nikogo, tak że zaraz po śniadaniu wyniósł się na kawę do *reading-roomu*.

*Mrs Tracy*, jak zwykle, spacerowała po pokoju z kotem na ręku, a dwa białe jak śnieg chodziły za nią nieodstępnie. *Mr Smith* przypiekał przed kominkiem pomarańczową, suchą twarz, zaś kilka pensjonatowych pań, otulonych w szale, obsiadło wielką kanapę w rogu i szeptało półgłosem.

— I znowu pada deszcz! — jęknęła *Mrs Tracy*, patrząc w okna.

— Jak codziennie! Straszny klimat, prawie zapomniałem, jak wygląda słońce! Jeszcze parę tygodni takiej pogody, a... — zamilkł, bo gdzieś z głębi mieszkania przedarł się żaloszny skowyt *Bagh*. — To bydlę doprowadza mnie już do rozpaczki!

— *Bagh* pana? — zdziwiła się niezmiernie jedna z pań.

— Prawie nie spałem całą noc, tak skomlała!

— To dziwne, mam pokój tuż przy oranżerii, a nie słyszałam — szepnęła *Mrs Tracy*, spoglądając na panie; jakieś domyślne, przytajone uśmiechy przewinęły się po wszystkich ustach.

— *Zazdroszczę* pani wspaniałego snu, mnie budził każdy skowyt.

— Ona tęskni za swoją panią.

— A może rozmawia z *Nim* — powiedział tajemniczo *Mr Smith*, strzepując pośpiesznie palcami.

Znowu buchnął krótki ryk *Bagh* i tak gdzieś blisko, że aż koty, pogięte w pałaki, ze zjeżoną sierścią skoczyły w objęcia *Mrs Tracy*, która stanęła bezradnie, wodząc dokoła zalekzionymi oczami.

— Czy pan nie wie, kiedy powraca *Miss Daisy*? — przerwała wreszcie przykre milczenie, jakie zapanowało; wylękłe damy odetchnęły, a *Mr Smith* uderzył z gniewem w głownię, aż iskry posypały się na pokój.

— Nie wiem! — zdziwił się pytaniem, lecz mimo tego wszystkie spojrzenia skrzyżowały się jakoś porozumiewawczo.

— *Mrs Bławatska* dowiaduje się o nią kilka razy dziennie, a ja nie umiem jej poinformować!

— Muszą o tym wiedzieć przyjaciele *Miss Daisy*!

— Myślałam też, że pan mnie objaśni... — napierała.

— Ja? Cóż za przypuszczenie! Znam *Miss Daisy* mniej niżli ktokolwiek w pensjonacie! — lecz spostrzegłszy na twarzach niedowierzenie i jakiś nieprzyjemny wyraz ciekawości, żarliwiej, aniżeli tego pragnął, przekonywał, jako nic nie wie o *Miss Daisy*.

— W takim razie wie tylko *Bagh*! — mruknął *Mr Smith* poważnie.

— Niepodobna się tylko od niej dowiedzieć! A szkoda! — wyrzekł ironicznie, powstając do wyjścia.

— My nie możemy, ale pan, gdyby tylko chciał...

Zaśmiał się, rozbawiony jego uroczystym głosem i twarzą.

— Przyprowadzę ją, niechaj sama powie...

*Mr Smith* rzucił się jak tygrys na drzwi, damy pozrywały się z krzykiem, a *Mrs Tracy*, śmiertelnie pobladła, jęknęła mdlejącym głosem.

— Litości! Pomrzemy z przerażenia! — I zęgnęły się gorączkowo.

— Więc istotnie państwo przypuszczali, że mogę sprowadzić *Bagh*? — pytał, zmieszany ich przerażeniem, ale damy milczały, nie mogąc się jeszcze uspokoić; tylko *Mr Smith* wybelkotał prosząco:

— Błagam o niewymawianie nawet jej imienia.

— Czyżby w niej inkarnował Bafomet?

*Mr Smith* aż się zatoczył na ścianę i błyskawicznie sięgnawszy do kieszonki po sól, obsypywał się skwapliwie.

Zenon stłumił w sobie śmiech i, przeprosiwszy go za żart, zmierzał do wyjścia.

— Mam wielką prośbę do pana! — wstrzymał go piskliwy głos.

Stanął przy drzwiach, pokrywając uprzejmością zdudzenie, jakie go raptem ogarnęło.

— W sobotę urządzamy w naszej łoży wielkie zebranie — mówił z powagą *Mr Smith*, biorąc go za guzik. — *Mrs Bławatska* będzie składała relację ze swojej podróży do Tybetu i stosunków z Dalajlamą! Niesłychane wprost rzeczy! Przywiozła ze sobą jednego z tybetańskich braci, potężne medium. Po relacji, w ściślejszym gronie odbędzie się seans, zobaczy pan prawdziwe cuda! Sama *Bławatska* pragnie pana poznać i prosi o przyjście na zebranie! Będą tylko inicjowani! Odmówiliśmy nawet *Steckowi*, ale bardzo nam zależy, aby pan przyszedł, zobaczył i przekonał się o prawdzie naszej nauki...

— Będzie *Mr Joe*?

— Niestety, *Mr Joe* opuścił koło braci, zdradził dla nas *Miss Daisy* i *Tamtego*. — Obejrzał się trwożnie, strzepując palcami.

— Wiem, że był do niej bardzo niechętnie usposobiony!

*Mr Smith* zaszeptał mu tajemniczo do samego ucha:

— A teraz jest jej zaprzędanym niewolnikiem. Zapewniali nas, że już wstąpił do palladyńskiej łoży<sup>127</sup>, w której ona ma być podobno „mistrzynią doskonałego trójkąta”<sup>128</sup>. Ja zaś wiem z pewnością, że ona tam jest „barankiem białej mszy”<sup>129</sup>! Straszne, co?

— Być może, ale dla tych, którzy rozumieją, co to znaczy...

— Poświęcona samemu... Oblubienica *Tamtego*...

— Musi mi pan kiedyś objaśnić tę całą nomenklaturę tajemniczą.

— Gotów jestem choćby zaraz, aby pan zrozumiał całą okropność *Miss Daisy* i całe niebezpieczeństwo, w jakim się znajduje *Mr Joe*.

— W tej chwili nie mam czasu, lecz poproszę pana o to w sobotę po zebraniu! — uściskał mu rękę i śpiesznie poszedł do mieszkania.

Ale opowiadanie *Mr Smitha* i jego trwożne szepty, i ten nastrój, jaki panował w *reading-roomie*, poruszyły w nim jakieś zapomniane pokłady pamięci. Nie mógł sobie tylko przypomnieć nic wyraźnego, gdyż postrzępione zarysy jakichś scen, osób, dźwięków i barw przepływały przez mózg z chyżością błyskawic.

— Łoża palladyńska! Baranek! Biała msza! Bafomet! Co to wszystko znaczy naprawdę?

Chciał się otrząsnąć z niepokojącego koszmaru.

— Pamiętasz? — zdało mu się, że ktoś mu szepnął do ucha, aż rozglądał się podejrzliwie po pustym mieszkaniu; stał bezradnie, znowu zapatrzony w jakieś nierozwikłane sploty wspomnień, wirujące mu pod czaszką huraganem obłądnych prawie majaczeń.

— Czy to ja kiedyś śniłem? A może o tym gdzieś czytałem i teraz nie mogę sobie tego przypomnieć! — Męczył się na próżno, usiłując skupić choćby na mgnieniu skłębiony wir wspomnień.

Naraz wszystko się w nim zawaliło, przepadając w otchłaniach niepamięci. Wychylił się raptem na szarą i smutną jaśnię dnia, jakby spod fal wzburzonych, nie mogąc na razie

Zabobony

Przemiana

<sup>127</sup>palladyńska łoża – łoża palladyńskie miały rzekomo tworzyć nowy rodzaj masonerii: elitę oczekującą na nadejście Antychrysta, a zatem powiązaną z satanizmem. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>mistrzyni doskonałego trójkąta — wysoka godność piastowana przez członkinie masonerii. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>biała msza — rodzaj rytuału, w trakcie którego masoni mają rzekomo znieważać hostię. [przypis edytorski]

pojąć, dlaczego stoi na środku pokoju. Gdzie to miał iść? I co robić? Trwało to jednak chwilę, gdyż zbudziła się w nim cała świadomość rzeczywistości, tak że odtąd rozpoczął nowy okres zwykłego i normalnego życia. Wrócił do tej nieco monotonnej codzienności, patrząc na nią jak dawniej — obojętnie i z wysoką. Traktował bowiem życie z wyniosłą pobłażliwością. Nawet towarzystwo, zbierające się przy pensjonatowym stole, nie raziło go już swoim spirytystycznym zaciętrzewieniem i wiecznymi kłótniami. Spoglądał na nich jak na zabawnych maniaków, przysłuchując się ich nieskończonym sporom z dyskretną ironią. Daisy i wszystko, co miało z nią związek, wydawało mu się teraz odległe i tak spłowiełe jakby rzecz dawno przeczytana w jakiejś fantastycznej książce. A przecież tak niedawno wyjechała! I Joe stracił w jego oczach swoje dawne kontury, przestał go interesować — i spotykając się z nim w Bartelet Court, traktował go jakby dopiero co poznanego człowieka. Czuł się tak trzeźwy, że spostrzegał tylko samą powierzchnię życia i jego najgrubsze zarysy, jakby stracił zdolność głębszego pojmowania i odczuwania świata i ludzi. Nie obchodziło go nic prócz spraw najbardziej osobistych, drwił poza tym przy każdej sposobności ze wszelkich bardziej idealnych porywów. Było to jakieś niewytłumaczone stopień wrażliwości, jakby zanik subtelniejszych uczuć i wyobrażeń. Ta dziwna przemiana zaznaczała się w nim tak jaskrawo, że spostrzeżono ją nawet w Bartelet Court.

Któregoś bowiem dnia, po śniadaniu, *Miss Dolly* wytoczyła na stół kwestię upadku etyki w masach ludowych, a przy tej sposobności rzuciła się namiętnie na mężczyzn za ich rozpustę i egoizm.

*Mr Bartelet* podjudzał ją z rozmysłem, bawiąc się przy tym wybornie.

Rozmowa stawała się coraz żywsza, gdyż i milczący zazwyczaj Joe ją dowodził — dosyć zresztą ostrożnie ze względu na ojca — że źródła moralnego upadku leżą w kapitalistycznym ustroju, w zgniliznie warstw panujących i w ogólnym zmaterializowaniu ludzkości. A w końcu napadł na chrześcijaństwo, jako na szerzyciela błędów i kłamstwa społecznego, przeciwstawiając mu czystą naukę Chrystusa, zawartą w ewangeliach. *Miss Ellen* zawtórowała żarliwie i, przytaczając różne teksty święte, wołała rozogniona i nieulekła, że tylko ewangelia może zbawić świat.

Zenon cały czas rozmawiał z Betsy o swojej rodzinie, którą obiecywał przywieźć do nich w najbliższą sobotę na herbatę; ale podrażniony dowodzeniami Joego i płaczącym głosem *Miss Ellen* odezwał się apodyktycznie:

— Nie ewangelia rządzi ludzkością, ale tylko kij, przemoc i strach! Kodeks, grożący więzieniem lub szubienicą, ma więcej moralnego wpływu na stado ludzkie niżli wszystkie religie razem. I nie Mesjasza-Zbawcy potrzebuje i czeka dzisiejsza ludzkość, ale tylko pana, który potrafi być dla niej nieubłagany władcą i katem zarazem.

Zdumieli się jego nielitościwymi poglądami i zimnym sarkazmem, z jakim przemawiał, tak że rozmowa wnet się przerwała. Wszyscy się czuli dotknięci i zakłopotani, nie pojmując, co mu się stało. A Betsy była wprost rozżalona na niego; lecz przy pożegnaniu ścisnęła mu rękę goręcej niż zwykle.

— Więc w sobotę czekamy na państwa.

— Przywiozę ich z pewnością. Musi pani ich pokochać!

Dziewczyna po krótkim wahaniu spytała nieśmiało:

— Czy pani Ada jest bardzo piękna?

— Bardzo! Ale znam pewną małą *Miss* stokroć piękniejszą, miłszą i kochańszą! Stokroć! — szeptał, całując ją po rękach; wyrwała się rozpromieniona i szczęśliwa, zapomniawszy o wszelkich przykrościach.

— Będziesz na tym święcie zbratania się narodów? — odezwał się do Joego, kiedy wyszli przed dom.

— Z radością poznam twoją rodzinę! — powiedział serdecznie.

Pociąg już ich niósł ponad miastem, zatopionym w brudnych kłębach dymów i mgieł, gdy Joe znowu się odezwał:

— Mówiłeś dzisiaj, jakby ci kto przemienił duszę.

Zenon roześmiał się sucho i drwiąco.

— Wytrzeźwiałem! Czuję się zdrowy, śpię wybornie, mam apetyt, pracuję doskonale i nie trapię się niczym; oto tajemnica mojego stanu. Wiesz, do tego stopnia czuję się dobrze, że nareszcie zdecydowałem się na opuszczenie naszego pensjonatu!

Obraz świata, Religia



— Już o tym słyszałem. Podobno *Mrs Tracy* wydelegowała *Mr Smitha*, aby cię prosił o pozostanie.

— Zabawny człowiek! Ani się spodziewasz, co mi powiedział o tobie!

— Chyba się skarżył na moje wystąpienie z łoży!

— Było i o tym, ale powiedział mi z głębokim ubolewaniem i trwogą, że zostałeś czcicielem *Miss Daisy* i oboje służycie *Bafometowi*! Aha, i że wstąpiłeś do jakiejś palladyńskiej łoży!

— Nieprawda, damę ci na to słowo honoru! — zawołał gwałtownie. — Ja miałbym iść z nimi? Ja w służbie *Bafomety* i tego piekielnego wampira? Co za ohydny wymysł! — wzdrygnął się jakby z obrzydzenia czy trwogi.

— Przepraszam cię za mimowolną przykrość! Mówił mi o tym bez żadnych zastrzeżeń, więc ci powtarzam otwarcie.

— Lubieżny kretyn może mieć tylko takie asocjacje nikczemne.

— Co to jest ta palladyńska łoża?

— Świątynia, poświęcona kultowi szatana! Tam się zbierają jego wierni, tam *Miss Daisy* prawdopodobnie jest jego kapłanką!

— Jest „mistrzynią doskonałego trójkąta”! Tak mówił *Mr Smith*.

— Jeżeli nie samym „barankiem” — dodał *Joe* półgłosem, rozglądając się podejrzliwie w tłumie, wychodzącym wraz z nimi ze stacji.

— Gdzie jest ta łoża?

— Podobno w okolicach Londynu, w jakimś starym kościele.

— Przecież ja tam byłem! — zawołał, przypominając sobie na jakieś mgnienie fantastyczną scenę w podziemiach.

— Byłeś tam? Widziałeś? — pytał *Joe* w najgłębszym zdumieniu, odciągając go z tłumy pod jakąś wystawę; i wpił się w niego oczami.

— Tak, ale wiesz, nic już nie pamiętam... Coś mi się musiało zdawać, a teraz, w tej chwili... Dalibóg, nic nie pamiętam...

— Przypomnij sobie! Podziemia kościoła... Stare grobowce... Noc.... Jakiś wspaniały ceremoniał... *Bafomet*... *Daisy*... — poddawał z naciskiem.

— Niestety, nie mogę... Coś mi błysnęło przez mózg i przypadło niby kamień w oceanie, doszczętnie przypadło... Zaczekaj no... Podziemia? Zaraz... Nie, nie, przyszła mi na pamięć piwnica klubu ekscentryków! Głupstwo! Jakiś chwilowy koszmar! O czym to mówiliśmy?

— O łoży palladyńskiej, *Bafomecie* i *Daisy*...

— Czyli razem tak jakby o niczym! — szepnął ironicznie i pojechał do Henryka.

Jak codziennie rozmawiał ze wszystkimi, cierpliwie słuchał wyrzekań chorego, zabawiał się z Wandzią, która się szalenie do niego przywiązała. I jak codziennie pojechał z Adą pokazywać jej osobliwości miasta i okolic. Jakby jakaś niema umowa stanęła pomiędzy nimi — nigdy nie poruszali przeszłości. Dotrzymywali jej sobie świącie. Nigdy też ani jednym słowem nie zdradziła Ada, co się w jej sercu dzieje, jakie burze nią miotają i jakie szarpia rozpacz. Nie domyślał się nawet tego, widząc zawsze jej twarz pogodną i wierne przyjaźnią spojrzenia. Zdobywała go jednak z całą świadomą celów ostatecznych cierpliwością, tak że ani spostrzegł, jak bardzo się od niej uzależnił. Omotała go bowiem taką czujną przyjaźnią, niby serdecznym opłotem kochających ramion, z których nie próbował się nawet wyrwać. A jednak jej nie kochał; zaczął ją tylko wielbić jakby przecudowny poemat życia, jak wielkie dzieło sztuki, przed którym mógł kontemplować w radosnej ciszy estetyczne wzruszenia własnej duszy. Stała się bowiem spowiednikiem jego marzeń i pomysłów literackich. Nieraz długie godziny spędzali w muzeach, zatopieni w artystycznych rozważaniach. Rozsnuwał przed nią nieskończone pomysły przyszłych prac, bo spostrzegł, iż opowiadając widzi je lepiej i realniej, a jej mądre i dyskretne uwagi tak je uzupełniają, że nawet jeszcze mgławicowe projekty krzepną w kształt doskonały, nabierają życia i prawie się stają.

A przy tym wszystkim Ada wsączała w niego ideę powrotu do kraju niespostrzeżenie, a z takim uporem, że już sam zaczął tego pragnąć. Zrobili nawet projekt edycji jego pism po polsku, w jej tłumaczeniu. Była nieustrudzona w tej cichej walce z nim o niego i coraz

pewniejsza zwycięstwa. Z niepokojem jednak przyjęła wiadomość o ułożonej już wizycie w Bartelet Court.

— Jestem ciekawa tego domu! — odpowiedziała chłodno.

— A Betsy ciebie. Pytała mnie, czy jesteś piękna.

Królewskie oczy Ady spoczęły na nim, niespokojnie rozchwiane.

— Powiedziałem najszczerzą prawdę!

— Na cóż mi ta uroda! — szepnęła, odwracając twarz poblądłą i oczy, przymgłone żalością; nie spostrzegł tego, jak nie domyślał się wielu rzeczy w tym przytępieniu wszystkich władz, w jakim się znajdował od pewnego czasu.

— Jestem pewien, że polubisz Betsy — odezwał się po chwili.

— Bardzo tego pragnę.

Nie zastanowił go nawet jej głos dziwnie oschły.

— A musisz mi szczerze powiedzieć, jaka ci się wyda!

Obiecała solennie, zwracając rozmowę na inne przedmioty.

I na tym się skończyło — ni tego dnia, ni następnych już więcej nie poruszali tej kwestii, zajęci jedynie planami wielkiego misterium o Chrystusie, jakie zamierzał napisać. A tak był porwany tą ideą, że na wszystko, co się działo dokoła, spoglądał jakby na kinematograficzne, bezsensowne majaczenia.

— Wiesz, czuję się jakby brzemienny! — powiedział któregoś dnia do Ady na przywitanie. Ze dwieście osób mam w sobie, które proszą się na świat! Nie masz pojęcia, jak mi czasami straszno w tej ciżbie! Dzisiaj nad ranem obiegli mnie chłopci... Chcą iść na Rzym.

Ada, rozumiejąc ten język, spytała zaciekawiona:

— I puścisz ich?

— Muszę! Niech zdruzgoczą tę podłą dzisiejszość! On ich poprowadzi zdobywać świat i utrwaląc swoje królestwo niebieskie! Decydująca walka stoczy się w Zamku Anioła w Rzymie<sup>130</sup>; obiegną tam wszystkich królów i panów ziemi! Straszna walka o panowanie nad światem i nad życiem, walka o jutro...

— I zwyciężą? Muszą przecież zwyciężyć! — szeptała gorąco.

— Niestety, musi zwyciężyć najpierwotniejszy instynkt życia... Strasznie mi żal Chrystusa i moich chłopów, ale nie ma już dla nich miejsca na świecie, muszą przepaść...

Mówił z takim głębokim żalem, aż jej oczy napełniły się łzami serdecznego współczucia.

— I już nic nie może ich ocalić. Zginą, bo na świecie jest tylko miejsce na handel i fabryki! Człowiek współczesny wyrobił sobie niewzruszony ideał: używać! Nie rozumie poza tym nic i niczego więcej nie potrzebuje. Dlatego Chrystus musi przegrać ostatnią walkę. Odstąpią go wszyscy i zdradzą najwierniejsi! Jestem nawet pewien, że go znowu ukrzyżują na wszystkich rozstajach i we wszystkich mózgach, a imię jego podadzą na hańbę i pośmiewisko! Ludzkość pragnie tylko płodzić, żreć i zdychać! A Chrystus im przeszkadza w radosnym pogrążaniu się w bydlęctwie! Wskazuje jakieś inne jeszcze cele, przeszkadza w używaniu i błąka się jak wyrzut spodłonego sumienia! Więc precz z nim! Precz z wszelkim zagadnieniem, wytrącającym z równowagi! Nie jestem chrześcijaninem, ale kocham tę cudną postać Nazarejczyka, kocham go jako przesmutny krzyk duszy, płynący na wskroś czasów i ludów. Biedny marzyciel, święta wizja serc, tęskniących do nieśmiertelności! I prawdę rzekł uczniom swoim: „Królestwo moje nie jest z tego świata”<sup>131</sup>. Zaiste, nie było ani jednej chwili, w której by panował na ziemi. Wyznawały go usta i kościoły, a serca człowiecze zapierały się go w każdej chwili żywota! Chwałę jego głosiły kościoły, a on już leżał martwy, zabity zdradą i zaprzaństwem! Nie jego to wina. To Paweł z Tarsu<sup>132</sup>, chciwy panowania Żydowin, zbezczeszczył jego marzenia i ze snu o szczęśliwości człowieczej uczynił zimny, racjonalistyczny system państwowy! W plu-gawych jego rękach mistyczny kwiat marzenia przerodził się w berła i pastorały, którymi

Religia, Kondycja ludzka,  
Obraz świata, Chrystus

<sup>130</sup>Zamek Anioła w Rzymie a. Zamek Świętego Anioła — mauzoleum cesarza Hadriana, znajdujące się nad Tybrem, w pobliżu Watykanu. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>Królestwo moje nie jest z tego świata — J 18,36 (cytat za: Biblia Jakuba Wujka). [przypis edytorski]

<sup>132</sup>Paweł z Tarsu a. św. Paweł Apostoł (ok. 5/10—ok. 64/67) — Żyd z Tarsu, święty chrześcijański, męczennik za wiarę. [przypis edytorski]

zapędził trzodek ludzką do lochów bez wyjścia. Opętał ją strachem i zapanował nad nią przemocą. Chrześcijaństwo zatryumfowało, ale Chrystusa nigdy w nim nie było, nigdy!

— Straszne jest życie! — szepnęła, przejęta łzawym wzruszeniem.

— Tylko ludzie są straszni! Życie jest jedynym dobrem, a myśmy sami zrobili z niego kaźń dla siebie i ohydę! I w tym leży wieczna tragedia!

Rozeszli się smutni, lecz jeszcze silniej związani wspólnotą odczuwań. Ale w sobotę, gdy wracali z Bartelet Court, Zenon zapytał:

— Pamięta pani obietnicę?

Spojrzała pytająco, nie mogąc sobie przypomnieć.

— Obiecała mi pani powiedzieć, jakie wrażenie zrobiła *Miss Betsy*!

— Czarująca panna! — zawołała bez wahania, lecz z takim akcentem, że Henryk poruszył się niespokojnie.

— Była dzisiaj nieszczególnie usposobiona! — tłumaczył, przypominając sobie jej nieśmiałość i jakieś trwożne zaciekawienie, z jakim wciąż przyglądała się Adzie i jemu.

— Oryginalny dom, jakby żywcem wyjęci z angielskiego romansu.

— A zwłaszcza ciotki! *Miss Ellen* dała mi całą pakę broszur...

— O przeznaczeniu kobiety! Umieję na pamięć te staropanieńskie brednie! Ona należy do etycznej sekty ewangelistek.

— Mnie zaś opowiadał *Mr Joe* takie nadzwyczajności ze swoich wypraw do Birmy, że wydały mi się nieco fantastyczne...

— Z pewnością nie fantazjował! Cały ten dom to wysoka klasa ludzi pod każdym względem.

— Ale przyjęli nas bardzo po angielsku! Można było dostać kataru w tej wyniosło-chłodnej atmosferze...

— Wolisz nasze zwyczaje, gdzie to na wstępie buzi z dubeltówki, przy kolacji kochajmy się, nad ranem już bruderszaft, a na drugi dzień jeden drugiego bardzo starannie nie poznaje.

— A nawet! Jest mi to bowiem miłsze, niżli takie nudne ceremonialności! — upierał się zirytowany jego wzgardliwym tonem.

Ada załogodziła sprzeczki i poszli do Green Parku, albowiem dzień był wyjątkowo pogodny, ciepły i suchy. Po drogach snuły się tłumy i tłumy zalegały niezmierzone trawniki. Pierwszy zmierzch już opadał niebieskawymi mgłami, krzyk miasta wrzał w powietrzu i światła jęły wykwić w szarych groblach domów. Stanęli przed gromadką dziewczyn w białych swetrach i beretach, zajadle grających w piłkę nożną, gdy naraz Wandzia zaszeptała trwożnie:

— Mamusiu! Ta pani znowu na mnie patrzy!

Ada osłoniła sobą dziewczynę, szukając zarazem tej złowroziej damy. Stała o parę kroków dalej, cała w czerni, jak zwykle; włosy miała miedziane, twarz dziwie bladą, krwawe usta i szafirowe, okrutne oczy.

— Panie Zenonie! — chciała mu zwrócić na nią uwagę.

Zenon jednak nie dosłyszał, jakby zahipnotyzowany niespodzianym zjawieniem się Daisy. Uśmiechnęła się do niego i przepadła w tłumach, tak że na próżno rozglądał się dokoła.

— Widzi pan tę rudą damę? O tam, przy klombie...

Spojrzał niechętnie we wskazanym kierunku.

— Już gdzieś zniknęła! Spotkałam ją dzisiaj po raz trzeci. Tak natarczywie przyglądała się Wandzi, aż to zwróciło moją uwagę. Nadzwyczajnie piękna, ma tylko w sobie coś strasznego...

— Demon i zarazem Madonna! — szepnął mimo woli.

— Może ją pan zna?

— Zauważyłem tylko w przelocie i porównanie samo się nasunęło.

Pragnęła rozmawiać o tej dziwnej nieznanym, ale wymówił się jakąś nagle przypomnianą sprawą i pojechał do domu.

Nie zawiódł się w obliczeniach, gdyż dopędził Daisy jeszcze w przedsiönku.

— Byłem pewien, że to pani! — zaczął radośnie i, zmrożony niedbałym uściskiem jej dłoni, wstępował na schody w milczeniu.

Kobieta demoniczna

Nie śmiał się odezwać ni zbliżyć, tak mu przegradzały drogę jej wyniosłe, a przesywające spojrzenia. Przyglądała mu się niepokojąco, aż te migotliwe, fascynujące błyski przesyłyły go niewytłumaczonym pomieszaniem.

— Dawno pani przyjechała? — odważył się wreszcie na zapytanie.

Jej wargi poruszyły się leniwym ruchem węzy i jakiś szept wionął mu w twarz. Nie zrozumiał słów, ale przenikał go czar nieuchwytny samego dźwięku.

Odprowadził ją do drzwi mieszkania i chciał odejść.

— Będzie pan dzisiaj na seansie Bławatskiej?

— Wprawdzie obiecałem, ale, ale...

— Ale pan przyjdzie, proszę o to! — szepnęła nakazująco przy rozstaniu.

Naturalnie przyobiecał i, znalazłszy się w mieszkaniu, zupełnie machinalnie zapalił światła; usiadł przy biurku i zastygł nad rozpoczętą sceną z misterium. Przeżywał bowiem to niespodziane spotkanie z Daisy — i każdy szczegół z osobna, każde jej spojrzenie i słowo każde wskrzeszał w sobie i rozpatrywał z głęboką uwagą. Wydało mu się to wszystko tak niepojęcie dziwne, że jeszcze wrzaskliwsza fala niepokojów zatopiła mu serce, wytrącając go z resztek równowagi. Spróbował się wyrwać z błędnego koła wspominań, lecz czar z nich promieniejący oplatał go w coraz cięższe okowy.

„Urzekła mnie najwidoczniej!”. Przypomniał sobie ludowe określenie i teraz nie wydało mu się już śmiesznie dziecinne jak niegdyś, poczuł bowiem swoją wprost fizyczną zależność od Daisy i tę jej nieprzepartą i niewytłumaczoną władzę nad sobą.

„Jakaś w tym diabelska sprawa!”, pomyślał na wół ironicznie. Naraz rzucił się w tył i zmartwił z przerażenia, jakby na skraju jakiejś bezdennej próżni, jaka się przed nim rozwarła...

Tłumne wizje scen, widzianych kiedyś w podziemiach, wdarły się do mózgu i przepływały długim i niesłychanie żywym korowodem. Widział wyraźnie przesmutną, władczą twarz Bafometa, siedzącego na tronie, a u stóp jego, wśród dymów kadzielnych — głowę Daisy.

„Tak, to ona, teraz widzę dokładnie!”, rozmyślał, naprężając całą uwagę, aby nie stracić żadnego szczegółu. Pochylił się naprzód, wpatrzony wyteżonym wzrokiem, jakby to wszystko działo się tuż przed nim, przed jego oczami... Nawet ten śpiew, który kiedyś przewiewał tylko dalekim poszumem, usłyszał teraz słowo po słowie, powtarzając bezwiednie z patetycznym akcentem.

„Salute, o Satana!

O ribellione,

O forza vindice

De la ragione!

Sacri a te salgano

G'incensi e i voti!

Hai vinto il Geova

De i sacerdoti!”<sup>133</sup>

---

<sup>133</sup> *Salute, o Satana!*

*O ribellione,*

*O forza vindice*

*Della ragione!*

*Sacri a te salgano*

*G'incensi e i voti!*

*Hai vinto il Geova*

*De i sacerdoti!*

(wł.) — fragment hymnu *Inno a Satana*, utworu włoskiego poety, Giosuè Carducciego (1835–1907). W polskim tłumaczeniu: Witaj, szatanie,

Buncie z przedwieczy,

Potego zemsty

W myśli człowieczej!

Hymny do cię biją

I dymy godowe,

Boś ty kapłanom

Zgnębił Jehowę.

Tłum. Julia Dicksteinówna-Wieleżyńska (1881–1943), „Krytyka”, t. XL/1913. [przypis edytorski]

— „*Salute, o Satana!*” — szeptał, przejęty świętym wzruszeniem grozy, bijącej od Majestatu, od tej smutnej twarzy Władcy, pochylonej litośnie nad rzeszą czcicieli, kłębiącą się kornie u jego nog.

I nawet nie zadrzał, gdy z mar podniosła się naga Daisy, spływająca w miedzianej chmurze włosów, i splotła się z Bafometem w miłosnym uścisku. Krwawy brzask przysłonił misterium szału i jakby uniósł gdzieś w przestrzenie, a w podziemiach wybuchnął stos niby krzew płomienisty, na który rzucano połamane krzyże, liturgiczne szaty i blade, ogromne hostie — niby pomarłe słońca!

Bagh zawyla przeciągle i ponuro.

— „*Salute, o Satana! Salute! Salute!*” — grzmiał hymn coraz potężniej i rozleglej, śpiewany jakby przez wszystkich świat i całym uniesieniem miłości, wiary i nadziei...

Biła już ósma, gdy się rozwiały ostatnie wizje i ostatnie dźwięki przepadły w guszy wieczora. Zenon podniósł ociężałą głowę znad niedokończonej sceny misterium, odłożył pióro, machinalnie ściskane w rękę, i po chwili rozmyślał szepnął z determinacją:

— To będzie, co być musi.

I wierny obietnicy danej Daisy poszedł na seans.

Olbrzymia hala Towarzystwa Teozoficznego<sup>134</sup> była już wypełniona po brzegi. Nad czernią głów, na wprost wejścia, wznosił się wielki ołtarz, na którym siedział złoty, ogromny Budda, tępo zapatrzony okrągłymi oczami. Ze złotych kadzielnic, podtrzymywanych przez kamienne, białe słonie, biły kłęby wonnych dymów, spowijające bóstwo i całą salę w błękitnawe obłoki. Na stopniach ołtarza, wśród wieńców i girland, splecionych z białych róż, hiacyntów i narcyzów, drgały światełka niezliczonych lampek — niby złotawe motyle. Kilku Hindusów, siedzących na niższych stopniach, grało na olbrzymich instrumentach tak przedziwnie cicho, że tylko jakby szmer zamierającej fali przewiewał nad zasłuchanymi głowami. Niekiedy jakby świergot ptasi przeleciał lub zabrzęczały roje pszczół. A jeszcze niżej, u stóp Buddy, na podium nieco wzniesionym stała jakaś kobieta w białej, greckiej szacie. Była jakby zatopiona w modlitewnej ekstazie i końcami palców lewej ręki dotykała głowy jakiejś skurczonej, nagiej postaci, kłęczącej przed nią... Zenon został przy drzwiach, gdyż wszyscy trwali w znieruchomiałym milczeniu — zapatrzeni i zasłuchani. Dopiero gdy ścichła muzyka i żywiej rozbłysły światła z kryształowych lotosów, podszedł do niego *Mr Smith*.

— Będą dzisiaj nadzwyczajne rzeczy! — szepnął, biorąc go pod ramię — *Miss Daisy* prosiła, bym pana do niej przyprowadził! Medium dzisiaj jest w doskonałej kondycji. Właśnie Bławatska wprowadza je w trans. Pozna ją pan osobiście na agapie<sup>135</sup>. Medium przywiezione z Tybetu. Prawda, jakie tłumy! A to tylko wybrani z wybranych! Inaczej mielibyśmy pół Londynu! I wszystkie sfery, od lordów aż do robotników. Pisałem do *Mr Joego*, nie przyszedł! — poskarżył się w końcu.

Zenon usiadł przy Daisy, skinieniem głowy pozbywając się gadatliwego staruszka, który przez cały seans nie spuszczał z nich oczów.

— Niech się pan nie pozwoli owładnąć nastrojowi!

— Za trzeźwy jestem, aby na mnie podziałał! — odparł z przekonaniem.

Jakiś uśmiech prześlizgnął się po jej wargach i zamigotały powieki, ale się nie odezwała, bo Bławatska zdjęła rękę z głowy kłęczącego i medium zahipnotyzowane jakby zawisło w postawie pochylonej. Głos niski, mocny i bardzo melodyjny rozległ się w ciszy; wszystkie oczy opadły na nią migotliwym, niespokojnym rojem. Opowiadała zwięźle i obrazowo o swojej podróży ostatniej do Tybetu i stosunkach z Dalajlamą. Cisza stawała się już rozedrgana przyspieszonymi oddechami, a oczy zaczynały świecić fosforycznie. Fantastyczne bowiem przejścia, niebezpieczeństwa, groza śmierci, wisząca nad nią w każdej chwili, niesłychane przygody, śnieżne zasy, głód, napady zgłodniałych dzikich zwierząt, mroźne orkany, walki ze złymi potęgami, a w końcu wydarcie tych nieśmiertelnych tajemnic bytu, których tylko cząstkę mogła ukazać w *Izis odśloniętej*, takim dreszczem ekstazy i uniesienia przejęły słuchaczy, że po skończeniu grzmot okłasków spadł na nią rzęsy długi nie milknąca ulewa.

<sup>134</sup>*Towarzystwo Teozoficzne* — działająca do dzisiaj organizacja, której współzałożycielką była Helena Bławatska, powstała w 1875 r. w Nowym Jorku. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*agapa* — wśród chrześcijan wspólny posiłek o charakterze religijnym; także rytualny posiłek masonów. [przypis edytorski]

Zasiadła w głębi na czymś w rodzaju tronu i siedziała nieruchomo, pełna majestatu i wyniosłości; a na estradę wystąpił stary Hindus w powłóczyściej szacie złoto-zielonej i w ogromnym turbanie na głowie, zapowiadając część eksperymentalną przy pomocy medium — jakoby wykradzonego z lamaickiego<sup>136</sup> klasztoru, położonego na niedostępnych zgoła szczytach Himalajów<sup>137</sup>.

— Chwila cudów nadchodzi! — szepnęła ironicznie Daisy. — Jakże się panu wydała prorokini? — dodała ciszej.

— Twarz pospolita, oczy przebiegłe, wola potężna, a całość: generalna! — wytłuma-  
czył znaczenie tego określenia i zakończył: — Ale mówi wspaniale!

— O tak! Znakomicie tumani wiernych, a w najlepszym razie i siebie! Ale nie, ona na to za mądra! Wie, iż ludzie przede wszystkim łakną cudów!

— Każdy kult chętnie się tym podpira i uzasadnia.

Nie odpowiedziała, gdyż światła nieco przyćmiono, tak że tylko w błękitnawych dymach kadzielnic połyskiwał tajemniczo złoty posąg Buddy, a ze ścian, pokrytych symbolicznymi malowidłami, wynurzały się tu i owdzie jakieś ekstatyczne twarze, święte zgłoski lub znaki.

Biała postać Bławatskiej majaczyła w głębi niby posąg marmurowy. Dźwięki muzyki rozsypały się przesłodkim, sytkim pyłem i przewiały, a całą salę zaległa grobowa cisza.

Rozpoczęły się spirytystyczne cuda. Podnosiły się stoły, latały nad głowami krzesła, sypały się spod sufitu świeże kwiaty i zielone gałęzie jakichś drzew podzwrotnikowych! Niekiedy straszny brzęk tam-tamów runął w ciszę, aż wszyscy kurczyli się z przerażenia.

A potem występowały białawe zarysy jakichś larw człowieczych, świetlane ręce błędziły nad niektórymi głowami, grały niewidzialne instrumenty, zawieszane gdzieś wysoko, toczyły się w powietrzu prześwieczone kule mgławic i roje skrzeń jakby fosforescencyjną rosą pokrywały ściany i wirowały w przestrzeniach.

Nastrój stawał się coraz trwoźniejszy i gorączkowe podniecenie dosięgło szczytu, gdy naraz wszystkie żyrandole rozbłysły i w pełnym świetle medium zaczęło się unosić w górę. I w postawie klęczącej, nieruchome, z zamkniętymi oczami, z rękami skrzyżowanymi na piersiach — pozostało zawieszony w powietrzu.

Święty lęk ogarnął wszystkich, wybuchnęły histeryczne płacze i spazmy; kilkanaście kobiet padło na kolana, śpiewając przelazanymi głosami jakiś hymn dziękczynny. Wielu siedziało niby sparaliżowani, nie mogąc oczów oderwać od tego cudu, który wciąż trwał. Wielu podeszło do samej estrady, nie wierząc własnym oczom. Parę aparatów fotograficznych utrwalało to niesłychane zjawisko. Wreszcie zdumienie zdławiło wszystkie głosy i skamieniały wszystkie ruchy, tak że pozostali w ekstatycznym oniemieniu podziwu i trwogi zarazem. Ale w jakiej niespodziane mgnienie mrok pokrył salę i rozpoczęła się nowa seria zjaw; nowy, dręczący sen pełen niepokojących widziadeł i fascynujących halucynacji ogarnął wszystkie dusze. Tylko Daisy siedziała spokojnie, czuwając nad Zenonem, który w tej hipnotyzującej atmosferze jakby zupełnie stracił panowanie nad sobą. Ogarniała go nieprzeparta senność, chwilami już halucynował, rwał się gdzieś, coś przy tym szepcząc niezrozumiale i gorączkowo, tak że przytrzymywała go za ręce, trzeźwiąc władczyimi spojrzeniami. Ale kiedy zaczął sztywnieć, wpadając w zupełny trans, ścisnęła mu silnie wielkie palce u rąk i szepnęła nakazująco:

— Chodź za mną!

Poszedł automatycznie, nie rozumiejąc, co się z nim dzieje.

Oprzytomniał dopiero w jej mieszkaniu przed kominkiem, na którym palił się syty ogień. Bagh leżała na dywanie wpatrzona w płomień, a za nią siedziała Daisy z papierosem w ręku.

— Jest pan u mnie! — odpowiedziała na jego zdumione spojrzenia.

— Ale jakim sposobem? Byliśmy przecież w Towarzystwie Teozoficznym!

— Było tam ciasno, gorąco, zrobiło się panu słabo... I cała historia!

— Dziękuję! — pochylił się, aby ją pocałować w rękę, ale Bagh tak złowrogo warknęła, prężąc przy tym grzbiet, że cofnął się mimo woli.

<sup>136</sup>lamaicki — związany z lamaizmem, religią tybetańską, łącząca elementy buddyzmu z lokalnymi kultami. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>Himalaje — najwyższe góry świata, znajdujące się w Azji. [przypis edytorski]

— Chciałem tylko wyrazić moją wdzięczność; i Bagh nie pozwala.

Uśmiechnęła się, wspierając stopy na grzbiecie pantery.

— Nieprzyzwyczajony pan do spirytystycznych seansów.

— Byłem na kilkunastu, lecz na tym miałem ciągle wrażenie fantastycznego snu, z którego nie mogłem się wyzwolić! Zadziwiające medium! A jeżeli to wszystko było z góry przygotowane, to muszę przyznać wprost genialność aranżerowi...

— To była najszczerza prawda, ręczę panu! Ale cóż, kiedy to tylko fakty i nic więcej! — mówiła jakby ze wzgardą, podając mu herbatę, którą przyniosła stara, zgarbiona Hinduska. — Niema rzeczywistość. Prawdy zupełnie zbyteczne. Ohydny bełkot skazanych na wieczną zagładę. A przy tym nie cierpię tych jarmarcznych cudowności, napęlniają mnie bowiem wstrętem i obrzydzeniem. W niższych kręgach ziemskiej atmosfery roi się od takich larw; jest to wielka trupiarnia ludzkich majaków, którym, nim się rozsypią w pył sferyczny, marzy się o dawnym byciu na ziemi. To są tylko elementale<sup>138</sup>, emanacje dusz, zwierciadlane egzystencje i wampiry, czyhające dokoła, aby naszym kosztem przedłużyć swoje nędzne istnienie cieniów. To są tylko zarodki zbrodni, zła i podłości, powstałe w ciemnicach ziemi, wiecznie unoszące się nad nią i niezdolne do nieśmiertelnych, słonecznych bytowań. Jak psy w mroźną noc, głodne i bezdomne, cisną się do izb ogrzanych, tak i one krążą w świetlanych orbitach dusz twórczych, władczych i nieśmiertelnych!

— Przeróżający obraz, prawdziwe piekło! — westchnął ze współczuciem.

— Stworzone przez ich Boga!

Poruszył się niespokojnie, wpiercząc w nią rozciekawione oczy.

— Tak, prawdziwe i jedyne piekło! „Wieczny płacz i zgrzytanie zębów”. A On istnieje ich łzami, On tuczy się ich męką, On z ich cierpień i nędzy uczynił sobie tron, na którym spoczywa niesyty nigdy chwały ni przemocy! Gdzie tylko jęk, choroby, nieszczęścia, zbrodnie i wieczny mrok, tam bije źródło Jego Mocy, tam jest On, Władca ciemności! Strachów i Śmierci! — wołała z piorunami w oczach, grożąc zaciśniętą pięścią.

A Zenon, przejęty jej uniesieniem, zaszeptał bezwiednie:

— „*Salute, o Satana! O ribellione, o forza vindice de la ragione!*”.

Zwarła dłonie i, pochylivszy głowę, pogrążyła się w jakiejś ekstatycznej kontemplacji. Tylko niekiedy poruszały się jej wargi, zakwitnął uśmiech, pierś wzniosła się tłumionym westchnieniem, a przez bladą, wniebowziętą twarz przelatowały odbłaski jakby modlitewnych żarów...

Nie śmiejąc jej przerywać, pozostał w bezruchu, zapatrzony w koronę jej miedzianych włosów niby w glorię świetlaną, i oczarowaną duszą śpiewał niemą pieśń uwielbienia.

Ale po dłuższym czasie, zaniepokojony jej kataleptyczną nieruchomością, przywołał Hinduskę i wyszedł.

Bagh, łaszac się pokornie, odprowadziła go do progu.

## ROZDZIAŁ IX

Wieczór był wprost ohydny; padał drobny, gęsty deszcz, a tak dokuczliwy, że Zenon wstrząsał się z zimna. Przegniłe powietrze zapierało mu piersi, oblepiając twarz lepka, obrzydliwą powłoką. Było już dosyć późno; okna czerniały niby gnijące oczodoły, pozamykano wszystkie sklepy i tylko omglone latarnie rozkręzały brudno-żółte koliska światła na poczerniałe, ociekające wodą domy i na zablocone trotuary. Szaruga stawała się coraz bardziej przykra, tak że już zaledwie, kiedy niekiedy, ktoś zgięty pod parasolem przemykał się pustymi prawie ulicami. Nieustanny bełkot rynien, szmer deszczu i głuche, bolesne szamotanie się drzew przemiękłych rozdrażniały Zenona aż do bólu. Został wezwany przez Adę w jakiejś pilnej i ważnej sprawie, więc szedł — a raczej włókł się — często przystając na rogach domów, zapatrzony z lękiem w puste place i ogłuchłe ulice. Niezliczone oczy latarni świeciły ze wszystkich stron przymglonymi tajemniczo źrenicami, a tu i owdzie stali niewzruszenie *policemani* w długich płaszczach — niby czarne stożki, po których spływały strugi wody.

Nie widział Ady już parę dni, gdyż od seansu prawie nie wychodził z domu. Czuł się bowiem źle; opanowały go jakieś niewytłumaczone niepokoje, bezprzedmiotowe ma-

<sup>138</sup>*elemental* — z ang. oznacza coś związanego z żywiołami; tutaj być może chodzi o tzw. „żywiolaki”, czyli fikcyjne, niebezpieczne istoty powstałe z energii żywiołów. [przypis edytorski]

Piekło, Wampir

Piekło, Szatan

Deszcz, Wieczór, Miasto

zenia, lenistwo i taki gwałtowny opad woli, że godzinami siedział w *reading-roomie*, zapatrzony bezmyślnie w ogień, głuchy i ślepy na wszystko. Od tego dnia również nie widział Daisy. Powiedziano mu, że słaba i nie wychodzi z mieszkania — poprzestał na tym. Jakaś zgnięła apatia skrępowała go bezwładną obojętnością na wszystko i tak obmierziła życie, że nawet własne sprawy budziły w nim nudę i wstręt. Toteż szarpał się i burzył na konieczność, która go wlokła w ten straszny wieczór po zadeszczonym, opustoszałym mieście.

Medytował właśnie nad tym, gdy powóz zaturkotał przy nim i jakiś głos zawołał na niego po imieniu.

Daisy wyzierała przez opuszczoną szybę.

— Gdzie pana zawieźć? — pytała, robiąc mu miejsce przy sobie.

Rzucił stangretowi nazwę hotelu i wszedł pośpiesznie.

— Wezwali mnie do rodziny, jakaś sprawa niecierpiąca zwłoki.

— Czy to ta śliczna dziewczynka i wspaniała pani, z którymi widziałam pana w Green Parku?

— Tak. Ale co się z panią działo od soboty?

— Byłam w stanie, w którym się nie wie nawet o sobie! To moja częsta niemoc, na którą nie ma lekarstwa — szeptała smutnie.

— A i mnie przez ten czas żarła nuda i apatia. Nie wychodziłem, nie widywałem się z nikim i nie pracowałem. Trwałem w bezwładzie, a drżałem wciąż z niepokoju, oczekując w każdej chwili jakiegoś nieszczęścia! Tak się muszą czuć drzewa przed uderzeniem piorunu! Ohydny stan!

— A teraz lepiej panu? — ścisnęła mu rękę i zajrzała w oczy tak głęboko, a z bliska, że cofnął się mimo woli.

— Nie, nie! — zaprzeczył żywo. — A może temu winien klimat? Przecież wciąż deszcz, zimno, mgły i tak w kółko aż do rozpaczki! A może słońce zgasło i już nigdy nie doczekam się ciepła i jasności, nigdy...

— Nostalgia za słońcem.

— Pojadę na kontynent; muszę, bo dłużej w takim stanie nie wytrzymam. Ucieknę, gdzie mnie oczy poniosą — przerwał nagle, zażenowany wybuchem własnego rozdrażnienia.

— Na południu wiosna już w całej pełni...

— Cóż nam z tego! — zawołał szorstko, nie odczuwając jej akcentu pełnego dziwnej słodyczy i tęsknoty.

— I tak mi zapachniały pomarańczowe gaje, i zalsniły błękitny mórz...

Pochylił się gwałtownie do niej; oczy miały stężyły blask zapatrzenia i jakby lśnienie tych mórz wytęsknionych, a na ustach pylił się blade, rozmarzony uśmiech. Naraz zrozumiał wszystko.

— Czekam! Czekam! Czekam! — szeptał coraz ciszej zdławionym głosem oszalałymi radości, nadziei i szczęścia.

— Pamiętasz! — poruszyły się usta i wionął dźwięk, słodyczą duszący.

— Gotów jestem! Choćby w tej chwili...

Powóz zatrzymał się przed hotelem.

— Jutro! — rzuciła mu na pożegnanie wraz z uśmiechem pełnym obietnic.

Długo nasłuchiwał turkotu oddalającego się powozu.

— Jutro! — powtórzył, czując, jak opada mu z duszy apatia niby lachman posępny, a w sercu rozkrzewia się przedziwny żar siły i uniesienia; nie chciał windy, a tylko leciał po schodach jak wicher radosny i przystawał niekiedy na zakrętach, rzucając tryumfalnie jakby całemu światu: — To jutro! Jutro!

Ada przywitała go bladą i wielce zmizerowaną twarzą.

— Wandzia chora!

— Wandzia? — zamroczyła go ta niespodziana wiadomość.

— Zasłabła w sobotę, zaraz po powrocie z parku. Doktorzy nie mogą jeszcze rozpoznać choroby. Nic ją nie boli, skarży się tylko, że, gdy zasypia, zjawia się przy niej ta ruda pani, którą wtedy spotkał się, i patrzy na nią tak strasznie, aż dziewczyna z krzykiem zrywa się z łóżka i chce uciekać! A na samo jej wspomnienie trzęsie się z trwogi.

— Gorączkowe majaczenia! — powiedział śpiesznie.

Choroba, Matka, Dziecko,  
Czarownica, Wampir



— To właśnie dziwne, że temperaturę ma normalną! Ale ja znam źródło jej choroby!  
— szepnęła z mocą głębokiego przekonania.

Z lękliwą bezradnością spojrzła na jej twarz zatroskaną.

— To ona ją urzekła!

— Kto? — bezwiednie obejrzał się dokoła.

— Ten rudy wampir! Ta straszna nieznajoma!

— Daisy! — I cofnął się, uderzony jakąś przerażającą myślą. — Niemożliwe, obawa mąci zdolność jasnego widzenia! Nie da się to wprost pomyśleć! — mówił gorączkowo, aby zagłuszyć dźwięk imienia, wymówionego niebacznie.

— Jestem o tym najgłębiej przekonana! Nie wiem tylko dlaczego i za co? Ale niech będzie przeklęta ta zła i niegodziwa moc! Niech będzie przeklęta! — powiedziała groźnie i oczy jej wystrzeliły błyskawicami potężnej nienawiści. — Ja swoje dziecko obronię, choćbym sama paść miała! Ale co ono komu zawiniło? To mnie tak męczy, że nie mam ani chwili spokoju. Na domiar złego i ciebie tyle dni nie widziałam — poskarżyła się, ocierając zażawione oczy.

— Byłem również chory! Pierwszy raz od soboty wyszedłem na ulicę.

— Prawda, jesteś błydy i zmizerowany. To musi mieć jakiś tajemny związek z chorobą Wandzi! Nie śmieję się z moich podejrzeń. Trwoga często miewa jasnowidzące oczy! A może ona i ciebie urzekła?

Wstrząsnął nim lodowaty dreszcz i mózg jęły przesywać coraz dziwniejsze asocjacje.

— Chodźmy! Jest i Betsy. Przychodzi codziennie czuwać nad Wandzią. Złota, serdeczna dziewczyna!

Milczał, mocując się z głuchym niepokojem, jaki spłynął na niego z jej przypuszczeń.

— Bardzo cierpiałeś? — spojrzła z niezmierną tkliwością.

— Pochwylił mnie przykry paroksyzm takiej apatii, że przez parę dni targalem się w bezsilnej męce. Nie miałem sił nawet na ucieczkę do ciebie...

— Czemuż nie mogę być zawsze przy tobie...

— Myślałem o tym! Wiem, że ty byś mnie obroniła od moich własnych udręczeń. Tylko ty jedna — wybuchnął i stłumił zaraz cisnące mu się na usta zwierzenia, bo jakby zamajaczyła przed nim groźna twarz Daisy.

— Co ci dolega? Ty wiesz, że gotowam dla ciebie na wszystko.

— Powiem ci kiedyś! Powiem, ucieknę do ciebie, a ty mnie osłonisz i rozgrzeszysz! Muszę się na coś stanowczego zdecydować!

— Przerażasz mnie! — zaniepokoiła się jego posępnymi oczami.

— Ada, czekamy! — rozległ się głos Henryka z drugiego pokoju.

Weszli do salonu. Henryk siedział przed kominkiem, a Betsy szła ku nim.

— Wandzia upomina się o pana! — witała się chłodno i powściągliwie.

Dziewczyna leżała w pościeli niby kwiat omdlały, z wysiłkiem wyciągając do niego drobne, wychudzone rączki.

— To i mamusia czeka, i tatuś czeka, i *Miss Betsy* czeka, i my wszyscy czekamy, a wujcio nie przychodzi! — szepnęła z wyrzutem.

Słodki, rozżalony głosik i mizerna twarzyczka przejęły go takim rozczuleniem, że ledwie powstrzymał łzy. Przyglądał jej rozwichrzone, jasne włosy i zaczął wesoło opowiadać o powodach, dla których nie przychodził.

Wysłuchiwała poważnie i odezwała się bardzo stanowczo:

— Dobrze, wujciu, ale teraz trzeba już z nami być na zawsze! Mamusia powiedziała, że, jak ja wyzdrowieję, to wracamy i wujcio z nami.

— Pojadę z wami, pojadę! — potakiwał, rozrzewniony jej szczebiotem.

— I już prosto do domu! Ale, muszę coś wujciowi powiedzieć pod sekretem. Tylko nikomu ani mru-mru!

Przybiecał solennie. Objęła go za szyję i zaszepotała uroczyście:

— A jak wujcio nie przychodzi, to mamusia płacze. Nieraz już widziałam.

Opadła z powrotem na poduszkę i, biorąc go za rękę, mówiła poważnie:

— Mamusia jest zupełnie sama! Tatuś wciąż chory, a ja przecież też nie mogę nic pomóc! Mamusi bardzo ciężko! Rozumie wujcio? — dodała.

Jakże w tej chwili stała mu się droga ta złota główka i te niebieskie, mądre oczy.

Ojciec

Drgnęła w nim przebudzona nagle miłość ojcowska i na usta przyszły słowa pełne przedziwnej czułości, kochania i troski serdecznej. Ogarnął ją ramieniem i całował z najgłębszą tkliwością, a dziewczyna, wzruszona tą niespodzianą pieśczęcią, gładziła go rączką po twarzy i szeptała, oczarowana i szczęśliwa:

— Wujcio taki dobry, taki kochany i taki strasznie mój... Jak tatuś.

— Jak tatuś... — powtórzył echowo, siadając na krześle.

— Naprawdę, wujciu! Naprawdę! — szczebiotała, nie puszczać jego ręki.

Słuchał radośnie tych wynurzeń, ale równocześnie jęła go nękać posępna myśl, że nigdy nie będzie mu wolno nazwać jej własnym dzieckiem.

Ściszyła naraz głos i zaczęła tajemniczo.

— Wie wujcio, Szwips przychodzi do mnie co noc!

Spojrzał pytająco, nie wiedząc, kto to taki.

— To mój szpic! Mamusia powiada, że on mi się tylko śni... Ale, wujciu, on naprawdę przychodzi; wskakuje na łóżko i tak mnie liże po rękach, aż go muszę pogłaskać. I wtedy zwija się jak biały kłębuszek i zasypia. A czasem bawi się ze mną: porywa bućki, skacze przez krzesła, chowa się i służy na dwóch łapkach! Tylko mi to dziwne, że nigdy nie szczeka i nie zaskomli! No i nie wiem, gdzie on się w dzień podziewa. Szukałam go wszędzie. A może mamusia umyślnie każe go chować? Dzisiaj w nocy... Jak przyszła ta ruda, to ją poszczulałam... Nie przyznałam się mamie, bo wiem, że ludzi nie można szcuć psami, ale ja się tak strasznie jej boję, że już nie mogłam wytrzymać... Pokazałam ją Szwipsowi oczami i mówię cichutko: „Weź ją!”. Skoczył do niej i tak ją gonił po pokoju, tak gonił, tak gryzł, aż mi pogroziła i uciekła!

— Może już więcej nie przyjdzie! — wyjąkał, przerażony opowiadaniem, gdyż Wandzia zdała się być zupełnie przytomna.

— Będę ją teraz zawsze szczuła, skoro taka niegodziwa! — zawołała gniewnie. — Bo, mój wujciu, przychodzi, siada tu, gdzie teraz wujcio, i tak się strasznie patrzy na mnie. I chociaż zamykam oczy, i głowę kryję w poduszki, wciąż widzę, jak mi się przygląda; aż taki mnie strach ogarnia i tak się ze mną coś okropnego robi, że tego nie umiem wujciowi opowiedzieć... Ani się wtedy nie mogę ruszyć, ani mamy zawołać, ani nic... — Rozłożyła bezradnie rączki. — I dlaczego ona mnie straszy? — jęknęła żałośnie, przytulając się do niego jakby pod wpływem obawy.

— Nie bój się, ona już więcej nie przyjdzie... I nie trzeba o tym myśleć!

Weszła Ada, zapraszając go na herbatę.

— Mamusiu, wujcio będzie teraz przychodził codziennie!

Gdy całował ją na pożegnanie, szepnęła mu do ucha:

— Bo bym wujcia nie kochała!

Wyszedł z troską w duszy i długo wodził pustymi oczami dokoła.

— *Miss Betsy* wróciła już do domu. Nie chciała panu przeszkadzać pożegnaniem i przy tym bardzo się śpieszyła, gdyż *Mr Bartelet* dostał dzisiaj nowego ataku, a *Joe* gdzieś wyjechał.

Nie zauważył nawet jej nieobecności, pochłonięty rozważaniem stanu Wandzi. Nastrój zapanował dręczący, niepokój mgił wszystkie spojrzenia; Ada co pewien czas zaglądała do chorej, a Henryk, boleśnie zgryziony i osłabły, wzdychał tylko, wodząc wystraszonymi oczami po obojgu.

— Wandzia opowiedziała mi wszystko, nawet i o szpicu! Nie mogę się w tym połapać! Jest przytomna, mądra, świadoma swego stanu i z najgłębszą wiarą opowiada rzeczy niemożliwe. Jakby halucynowała na jawie... A może to jakaś autosugestia? Nic z tego nie rozumiem!

— Dla mnie zupełnie jasne. Mówiłam panu.

— Tak, ale ruda nieznajoma i jej złe, urokliwe oczy to nie fakt, a tylko pani przypuszczenia!

— Być może! A jednak coś tajemniczego zaciężyło nad nami... Czuję jej zły wpływ... Ale skąd nadchodzi nieszczęście? Komu przeszkadzają nasze ciche egzystencje? To mnie strasznie męczy.

— Jeśli tak jest, jak pani myśli, to musi pozostać nieodgadnione...

— Przede wszystkim musi być przezwyciężona ta zła i nikczemna moc.

Sen, Pies, Duch, Strach

— Sprowadzę jutro doktora, zajmującego się hipnotyzmem.  
 — Najlepiej by Wandzi zrobił powrót do domu — wtrącił nieśmiało Henryk.  
 — I ja czuję się tutaj znacznie gorzej. Nie służy nam Londyn...  
 — Doktor radził wyjazd na południe. Pisała mi wczoraj znajoma z Sorrento<sup>139</sup>, że tam już zupełna wiosna i ciepło. Co pan sądzi o tym?  
 Zenon, zupełnie mimo woli, powtórzył słowa Daisy, niedawno zasłyszane:  
 — I tak mi zapachniały pomarańczowe gaje, i załśniły morza błękitne.  
 Ada zdziwiła się obcym i tęsknym akcentem jego głosu.  
 — Przypomniał mi się jakiś dawny wiersz! — powiedział śpiesznie, widząc jej skupione w podejrzliwości oczy; a przerzucając się na inny ton, zaczął ich gorąco namawiać do wyjazdu na południe.  
 — Ale i pan pojedzie z nami! — przyparła go do muru.  
 Obiecał bez wahania, gdyż w tej chwili pragnął tego całą mocą.  
 — Betsy mówiła dzisiaj, że oni rezygnują zupełnie z wyjazdu na kontynent! Tłumaczyła zmianę projektów chorobą ojca, ale tam coś u nich się stało! Jest co dzień smutniejsza! Bardzo mi jej żal.  
 — Ma ciężkie życie! Ciotki są wprost nie do zniesienia.  
 — Trapi się teraz stanem brata. Domyślam się z jej niedomówień, iż obawiają się, aby nie zwariował. Czy to możliwe? Pan go dobrze zna...  
 — Trudno przewidywać, ale zajmuje się zagadnieniami, które dosyć często wiodą na drogi szaleństwa.  
 — Betsy wspomniała, że i pan bywa na spirytystycznych seansach.  
 — Zaciekawia mnie ta forma obłąd! Byłem na paru posiedzeniach i widziałem tak nadzwyczajne objawy, na które mój rozum i moja wiedza zgodzić się nie mogą, lecz mimo to są one faktem i prawdą. Nie zacierziewiam się zresztą w badaniach, a te fantastyczne zjawy gromadzę jako materiał, który może mi się kiedyś przydać.  
 — Ja bym się bała seansów i tych cudów, jakie się tam stają. Jestem przekonana, że w głębi tych spraw nieczystych tai się szatan i kusi duszę człowieczą cudownościami, hipnotyzuje obietnicą przekroczenia *Niezbadanego* i ciągnie w przepaść...  
 — Co pani przez to rozumie?  
 — Chociażby tylko obłąd! Boję się tych ciemnych potęg! A może piekło nie jest tylko produktem zabobonów i strachu? Mnie się zdaje, że poza kręgiem naszej świadomości rozciąga się straszliwa przepaść, w której kłębią się jakieś przerażające potwory, jakieś tajemnicze byty i larwy zgoła niepojęte! A kto, raz uwiedziony ciekawością, zajrzy na to dno, musi być zgubiony! Ja głęboko wierzę w Boga, kocham słońce i jasny dzień, kocham życie i bardzo się lękam wszystkiego, co nie jest z tego świata!  
 — I ma pani słuszność! — potwierdził, nie pragnąc dalszych dociekań.  
 — Moi drodzy, ale to bardzo późno! — zauważył Henryk.  
 — Druga godzina! Przepraszam i w tej chwili uciekam!  
 — Więc już nie będziemy oczekiwali pana nadaremno?  
 — Z pewnością! A doktora przywiozę po południu! — zawołał z progu.  
 Przystanął przed hotelem, rozglądając się po pustej i zadeszczonej ulicy, gdy jakiś powóz zajechał i z brzękiem opadła szyba.  
 — Proszę prędkiej, zimno! — Głos wydał mu się bardzo znajomy.  
 — Pani tutaj! — krzyknął naraz, dojrawszy sylwetkę Daisy.  
 — Czekałam na pana!  
 — Na mnie! Na mnie? — Nie mógł uwierzyć i jego zdumienie przerodziło się w nagły lęk; cofnął się jakby przed halucynacją, lecz jakaś biała ręka pociągnęła go do wnętrza, drzwiczki się zatrzasnęły i powóz potoczył się tak cicho, jakby leciał powietrzem.  
 — *Miss Daisy*? — spytał, ochłonawszy nieco ze zdumienia.  
 — Jutro jest już dniem dzisiejszym! — posłyszał jej cichy głos.  
 — I pani na mnie czekała?  
 Była otulona w futro tak szczelnie, że tylko chwilami, gdy mijali latarnię, spostrzegał jej płonące, ogromne oczy.  
 — Więc to dzisiaj! — Własny głos wydał mu się dziwnie obcy.

Szaleństwo, Szatan, Pokusa,  
 Piekło

<sup>139</sup> Sorrento — włoskie miasto położone w regionie Kampania. [przypis edytorski]

Pochylił się ku niej. Bił od niej strumień takiego żaru, że wzdrygnął się i zuchwale szukał jej rąk. Przysuwał się coraz bliżej, próbował nawet ją objąć i jakoś nie mógł tego dokonać, jakby niezmierna przestrzeń wciąż ich rozdzielała! A może tylko w marzeniu tego dokonywał? Coś mówił! Czy pytał o coś? I co ona mówi? Migocą błyskawice i huczą pioruny, jakby przemawiał sam Bóg. Jakaż to tajemnica wiąże ich na zawsze? Nie, nigdy sobie tego nie przypomni, nigdy.

Czy to niebo nagle się rozwarło, że taka radosna cisza otuliła mu serce? Opadły z nich wszelkie lachmany bytu i oto jawią się wśród ogromów, niby kierz gorejący, a wir słońca porywa ich dusze na szlaki wieczności!

Czy to jej usta dały mu się napić szaleństwa?

Czy to jej nagie ramiona opasywały go płomienistymi więzami?

Jakby śmierć zakolysała nim tęsknymi rękami zapomnienia.

Jakaś boskość w samym trwaniu! Być, nie czując więzów istnienia! Czuć, nie wiedząc nawet o sobie! Wciąż zapadać się w odmęty i wypływać falą szczęśliwości!

Jeszcze jeden pocałunek! Jeszcze jeden uścisk! Jeszcze jedno spojrzenie!

Pić rozkosz całym jestestwem i stawać się samym szczęściem! Niemy hymn zwycięskiej radości śpiewać! Któż potężniejszy, ty królu strachu i śmierci?

Czy to jest miłość?

To weselny wybuch słońc, topiących się w sobie w tajemniczej chwili zaślubin. Stawanie się gwiazd w nieskończonościach.

Daisy! Daisy!

Nie ma już nic prócz jedynie doskonałego szczęścia.

Ona! Ja! I Ty, Mścicielu! O Trójco przenajświętsza! O Jedności nieśmiertelna!

Ślepe od żarów miłosnych spojrzenia sięją płomienie i z nich powstają drogi mleczne, pyły kosmosu, i z nich bytów łańcuchy nieskończone!

Ze źrenic Bafometa rodzi się dusza i jak piorun leci na wskroś czasów, by znowu kiedyś w Nim utonąć! Powstała z Niego i staje się Nim.

Zakreśla tajemniczy krąg i powraca do wiekiustego źródła.

O Daisy! O Daisy!

Myśmy szukali się od pierwszych dni stworzenia! Myśmy tęsknili do siebie jeszcze na początku, jeszcze w Nim...

Zali to tylko sen? To niechaj trwa, niechże się śni wiecznie, wiecznie...

Wichry jakichś wspomnień zaczynają przelatywać — mózg poznaje, rozumie i wzgardą wzbiera mu dusza.

To byłem ja? Ten plugawy lachman człowieczy to byłem ja?

Jak śmigi<sup>140</sup> zatrzepotały się w mgławicach jakieś byty, jakaś rzeczywistość i jakieś nędzne, smutne rojowiska ludzkie! Płacz od nich płynie, żalony płacz i skarga! Rosa tych łez opada mu na oczy i sączy się do serca gryzącym cierpieniem...

Daisy! Daisy!

Zamknął śpiesznie oczy, uderzony przykrym światłem poranku.

Myśl wstaje jakby z głębokiej otchłani, pracuje ciężko, szuka w ciemnościach, trzepoce się w męce, rozbija o mgławie zapory złud, przedziera się na wskroś mamideł i staje się zaleknioną, smutną jaśnią... Serce poczyna się znowu trwożyć, a świadomość podnosi beznadziejnie smutne oczy i pyta: „Co to właściwie było?”.

Oprzytomnił go dźwięk własnego głosu i znowu otwarł oczy. Szary, przemglony poranek zalewa pokój, a ulice już szumią zwykłą melodią ruchu! Taki sam dzień jak wczoraj! Deszcz, zimno i nuda!

„A tamto?”. Snuł mu się w pamięci jakieś mgławie, poszarpane strzępy, ale co chwila bledsze, niklejsze i coraz bardziej nieuchwytnie.

Zerwał się z łóżka, usiłując sobie tylko przypomnieć, kiedy powrócił do domu i jakim sposobem.

„Jechałem z Daisy?”. Skupiał rozchwianą pamięć. „Ale co potem? Co się później ze mną działo?”. Nieprzenikniony mur, pełen mglistych, niepochwytanych majaków, zakłębił mu się w mózgu. Pamiętał rozmowę z Adą, pamiętał opowiadanie Wandzi — wszystko aż

<sup>140</sup>śmiga (daw.) — skrzydło wiatraka. [przypis edytorski]

do chwili siadania do powozu. Ale potem nieprzebita ciemnica, noc i niepokój, przesiany oślepiającymi błyskawicami trwogi...

Wszedł służący, niosąc wraz z herbatą notę firmy I. Cook, w której była oznaczona godzina pociągu, odchodzącego do Dover<sup>141</sup>, nazwa statku i numer kabiny.

— Czy Miss Daisy u siebie? — zapytał, odzyskując równowagę.

— W tej chwili poszła tam Mrs Bławatska i Mr Smith.

— A czy Mr Joe nie wyszedł jeszcze?

— O, Mr Joe bardzo chory! Mówiła Mrs Tracy, że...

— Możesz odejść! — wybuchnął gwałtownie, spostrzegłszy naraz wzrok jego, skierowany z głupio domyślnym uśmiechem na jakiś szal, porzucony na kanapie; szal był indyjski, mieniący się barwami, przesycony zapachem fiołków, a obok niego leżały białe, zmięte nieco rękawiczki.

— Daisy! Tak, to jej! — z rozkoszą sycił się cudownym aromatem. — Jakaś pomyłka! — Zawinął go w papier i wraz z kilku słowami objaśnienia odesłał przez pokojówkę; zatelefonował jeszcze w sprawie Wandzi do znajomego doktora hipnotyzera i miał już wychodzić, gdy znowu wpadła mu w oczy nota Cooka.

„Pociąg odchodzi o dziesiątej. Dover. Kaliban<sup>142</sup>”. Czytał wolno, jakby wbijając sobie w oporną pamięć, ale nie mogąc na razie zrozumieć, gdzie to miał jechać i po co. Rzucił niechętnie papier i wyszedł.

Na korytarzu zabiegła mu drogę pokojówka z listem Daisy.

— Czy pani już wyszła?

— Pani słaba i od paru dni zupełnie nie wychodzi.

Uśmiechał się pobłażliwie na jej kłamstwa.

Daisy zapraszała go do siebie na herbatę. A w przypisku dziękowała za odesłanie szala.

„O piątą u Daisy, o siódmą u Wandzi z doktorem, a o dziesiątej pociąg odchodzi”, przemknęła mu chyżo myśl i poszedł do Joego. „Kaliban! Dziwna nazwa jak dla statku!”, pomyślał nagle.

Malajczyk otworzył mu drzwi, lypnął białkami i gdzieś zginął.

Mieszkanie było prawie ciemne, portyery pozapuszczane, a w szarym, posępnym mroku jak widmo błąkał się Joe. Chodził zgarbiony i z trudem; czasem przystawał, wpatrując się w jeden punkt z niezmierną uwagą, coś szeptał niezrozumiale i znowu szedł z pokoju do pokoju.

— Joe! Joe!

Jakby nie usłyszał, nie przerywając ani na chwilę wędrówki.

Zenon ścisnął go mocno za rękę i zawołał prosto w ucho:

— Joe! Obudź się, na Boga!

Przysunął się do niego blisko i spytał jakoś automatycznie:

— Powiedz mi, gdzie ja właściwie jestem? — wparł się w niego oczami.

Zenon aż się cofnął przed tym obłądnym wzrokiem.

— Gdzie jestem? — powtórzył ciszej i trwożliwiej.

— Przy mnie! Stoimy obok siebie! Nie czujesz mojej ręki?

— Tak... Ale... Stoimy na środku pokoju czy tam, naprzeciw, pod ścianą?

— Na środku pokoju.

— I pod ścianą... Nie widzisz?

— Daję ci słowo, że w pokoju prócz nas dwóch nie ma nikogo więcej!

— Dziwne... Pusto teraz... A przed chwilą... I ty wiesz, że ze mną mówisz?

Zenon śpiesznie odsłonił portyery i dzień chlusnął na pokój szeroką smugą światła. Joe odwrócił głowę od brzasku, lecz po chwili jął się rozglądać podejrzliwie — a niekiedy, jakby dojrawszy coś strasznego, kurczył się cały, zastygał na mgnienie i oczy cofały mu się w głąb czaszki, połyskując złowrogim blaskiem szaleństwa.

— Joe! — głębokie współczucie zadrgało mu w głosie.

— To ty, Zen. Wiem! — przemówił, jakby budząc się z letargu.

— Co ci się stało? Chory jesteś?

— I tylko nas dwóch jest tutaj? — podniósł na niego błędne oczy.

<sup>141</sup>Dover — angielskie miasto portowe, położone w hrabstwie Kent. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>Kaliban — to imię nosi bohater Szekspirowskiej *Burzy*; nazwano tak również jeden z księżyców Urana, odkryty jednak wiele lat po śmierci Reymonta. [przypis edytorski]

— Odsłonię wszystkie okna i pootwieram, to się sam przekonasz!

Po chwili całe mieszkanie było zalane światłem i chłodnym, wilgotnym powietrzem. Belkot rynien i szmer deszczu grały monotonicznie.

Joe otulił się w pled, wyjrzał oknem; wystawiał nawet głowę na deszcz i, uspokojony nieco, usiadł przy Zenonie, który rzekł:

— Jesteś strasznie zdenerwowany!

— Być może! Nie wychodziłem parę dni z mieszkania. I to kaloryferowe ciepło zawsze źle na mnie działa.

— Przypuszczano, żeś zachorował.

— Byłem bardzo zajęty.

— A w domu niepokoją się o ciebie... — podsunął ostrożnie.

— Kto? — rzucił krótko i ostro.

— Ojciec, Betsy, ciotki, wreszcie i przyjaciele.

W miarę wyliczania Joe podnosił się z miejsca, chmurniał, twarz posępniała gniewem, aż wreszcie wybuchnął z zaciekłością:

— Nie pamiętam i nie znam nikogo!

— Mówiłem o twojej rodzinie! — dodał, sądząc, że został źle zrozumiany.

— Nie mam rodziny! Pozbyłem się już tego wampira! Zerwałem wszystkie pęta. Nic mnie już nie łączy z życiem! W tych dniach opuszczam Europę na zawsze! Jestem wolny, nie potrzeba mi ojczyzny ni rodziny, ni przyjaciół. Obmyję ciało w świętych wodach Gangesu<sup>143</sup>, a duszę utopię w kontemplacji! Już tam plugawy kwik trzody ludzkiej mnie nie dojdzie! Tak strasznie tutaj cierpiałem! Przewyciężyłem podły instynkt życia i przewyciężę samo życie! Cierpiałem za wasze grzechy, modliłem się, biczowałem! Ale teraz już wiem, że nic was już nie zbawi! Jesteście przeklęci! Bogobójcy, czciciele zła! Przeklęci! Przeklęci! Przeklęci! — krzyczał w obłędnej ekstazie bólu, zgrozy i nienawiści. — Przyszedłeś mnie trwożyć? — zwrócił się do Zenona. — Przyszedłeś mnie kusić? Precz, wysłanniku Lucyfera! Precz! — wołał, następując na niego z piorunami w oczach, tak że Zenon, zrozpaczony jego stanem, cofał się bezwiednie, nie wiedząc, co począć; ale naraz Joe zatrzymał się i pobladł śmiertelnie jakby skamieniał na miejscu.

Zenon rzucił się do niego, lecz mimo nadludzkich wysiłków nawet nim nie poruszył — stężał zupełnie i jakby przyrósł do posadzki. Stał przygięty niby drzewo, zabite w skurczu walki, głuchy i ślepy na wszystko. Rozgorzałe nadmiernie oczy jęły z wolna przygasać, świecąc próchnicowym, martwym blaskiem, a twarz powlekła się nieopowiedzianym wyrazem ekstatycznej błogości.

— Nie wolno mu przerywać! — powiedział przywołany Malajczyk, śpiesznie zamykając okna i przysłaniając je ciężkimi kotarami.

Zenon tak był przerażony, że nie rozumiał jego słów.

— Sam się ocknie, może dopiero za parę godzin, a może jutro! On teraz mówi z bogami! A gdyby mu się przerwało, mógłby zabić spojrzeniem... Czasem unosi się w powietrzu i słychać wtedy muzykę i śpiewy! — szeptał pobożnie.

Postawił przed nim kadzielnicę i zapalił. Białawy słup dymu podniósł się w górę i z wolna napelniał pokój wonnym obłokiem. Malajczyk wyprowadził Zenona do żółtego pokoju i rzekł, wskazując na stopy sprzętów porozrzucanych i kufry otwarte:

— Pan kazał odesłać ojcu wszystkie rzeczy i pieniądze.

— Więc wyjeżdżacie? — odezwał się wreszcie, odzyskując nieco równowagi.

— Mamy już kupione miejsca międzypokładowe do Bombaju<sup>144</sup>, a stamtąd Budda zaprowadzi nas na Wielką Drogę<sup>145</sup>!

— Gdzie jedziecie? Gdzie? — Nie mógł się jeszcze połapać ni uwierzyć.

— Ja jestem tylko jego cieniem, idę, gdzie on idzie! — mówił tak poważnie, że Zenon musiał uwierzyć w jego słowa i tym większy niepokój nim zaważniał.

„Trzeba go ratować!”, postanowił, dzwoniąc energicznie na lokaja.

<sup>143</sup>Ganges — południowoazjatycka rzeka, przepływająca przez Indie i Bangladesz; przez wyznawców hinduizmu uważana jest za świętą rzekę. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>Bombaj a. *Mumbaj* — stolica indyjskiego stanu Maharasztra. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Wielka Droga a. *Mahajana* — jeden z kierunków w obrębie buddyzmu. [przypis edytorski]

Wysłał długą depezę do Bartelet Court i kazał poprosić *Mr Smitha*, który na szczęście był jeszcze w domu i natychmiast się zjawił. Wysłuchał opowiadania z najgłębszym współczuciem, nie mogąc się jednak powstrzymać od sekciarskiego tryumfu.

— Opuścił nas, a to smutne rezultaty! „Po owocach ich poznacie je”<sup>146</sup>. Oto dokąd prowadzi swoich wielbicieli ta diablica!...

— Kogóż ma pan na myśli?

— *Miss Daisy*! Byłem u niej z *Bławatską*, otwarcie się przyznała do służenia *Jemu*! — strzepnął zabobonnie palcami.

— Ważniejszy dla mnie stan chorego! — odezwał się wielce znękanym.

— Chciałbym go zobaczyć, może się już przebudził...

Poszli do niego. Stał na dawnym miejscu nieporuszenie, ledwie dojrzany w kadzielnym dymach i cały pokryty świetlistą rosą.

*Mr Smith* zadygotał z trwogi.

— „Ale nas zbaw ode złego”<sup>147</sup> — wyszeptał, cofając się śpiesznie do żółtego pokoju.

— Jest w zupełnej katalepsji! Trzeba czekać, aż się sam przebudzi.

— Myślę, że nie można go później zostawiać samego.

— Czekam właśnie na jego rodzinę. A może odwiedzić go do lecznicy?

— To coś gorszego niżli choroba!

Zenon padł na krzesło, miotany coraz boleśniej przewidywaniami, a *Mr Smith* zamyslił się głęboko i, spacerując mimowolnie, wodził po rzeczach taksującymi oczami. Jego wyschłe, kościane palce z lubością przesuwają się po jedwabiach obić i dotykały brązów.

— Na wszystkich drogach życia czyha szaleństwo! — odezwał się półgłosem Zenon, jakby odpowiadając własnym rozmyśleniom.

— Ale na tej, którą poszedł *Joe*, chwytą każdego! Już byłem kiedyś na niej i uratował mnie cud, cofnąłem się znad przepaści...

— Więc wystąpił pan ze zgromadzenia?

— Mówiłem o drogach, jakimi poszedł *Joe*! To są drogi zaprzeczeń i szatańskiej pychy! Drogi zbuntowanych! Diametralnie się rozchodzimy! My wierzymy w Boga, on mu przeczy! My kochamy ludzkość i pracujemy nad jej zbawieniem, a oni mają do człowieka wzdarcie i nienawiść! Przeklinają życie i chcą jego zagłady! Swoje wniosły *ja* przeciwstawiają całemu światu! A muszę przede wszystkim powiedzieć, że spirytyzm jest wiarą, ugruntowaną na wiedzy o nieśmiertelności wszelkiego stworzenia. Świat jest marzeniem Boga o samym sobie! — prawił z zapałem, wykładając zawile teorie siedmiu kręgów poznania, siedmiu sfer i całą apokalipsę teozofii.

Zenon milczał, przeżuując różne strapienia.

— Ale powróćmy do *Joego* — przerzucił się nagle, widząc znudzoną twarz Zenona. — Twierdzą, że zgubiła go *Miss Daisy*!

— A w końcu zacznie pan dowodzić, że ona jest reinkarnacją *Bafometa*.

— Dowodzę tego od początku! — strzepnął palcami, a przysunawszy się do niego, szeptał mu prawie do ucha. — Przecież przybiera takie postacie, jakie chce! Pan myśli, że *Bagh* to tylko pantera? Albo to jej rozdwanie się na parę postaci? Sam widziałem, jak przyszła na seans do *Joego*; rozmawiałem z nią, tworzyła z nami łańcuch, a wyszedłszy wcześniej, zastałem ją siedzącą z *Mrs Tracy*, z którą bez przerwy spędzała cały czas seansu! Czy to nie potwierdza mojego dowodzenia? Faktów podobnych mógłbym przytoczyć bardzo wiele. Na przykład, w ostatnich dniach była niby słaba i wiemy z pewnością, że nie opuszczała mieszkania. Równocześnie jednak widziano ją w różnych stronach miasta. Mówię panu rzecz absolutnie pewną, bo stwierdzoną.

Zenon wpił się naraz w niego oczami, słuchając z uwagą.

— To wampir! — wyrzekł *Mr Smith* z uroczystą tajemniczością. — Przybiera bowiem, jakie chce, kształty, aby swobodnie żerować wśród dusz... A może jej, jako człowieka, nie ma zupełnie? Może to tylko chwilowa inkarnacja *Jego* woli? Tak, panie, to może być tylko *Jego* cień, nieśmiertelny cień *Zła* i *Grzechu*! Samotny w nieskończonościach,

Wampir, Bóg, Szatan,  
Walka

<sup>146</sup>Po owocach ich poznacie je — nawiązanie do biblijnego zdania (Mt 7, 20). [przypis edytorski]

<sup>147</sup>Ale nas zbaw ode złego — fragment najstarszej modlitwy chrześcijańskiej *Ojciec nasz* (*Modlitwa Pańska*). [przypis edytorski]

zepchnięty na dno wieczystych ciemności, nieukorzony, a nienawidzący Najwyższego Światła, wyciąga się pazury po władzę nad światem i zagarnia obłąkane i buntownicze dusze, aby kiedyś na czele tych potępieńców stoczyć jeszcze jedną i ostatnią walkę z Bogiem! Wierzę, że nadejdzie ten czas; zatrząsę się wtedy w posiadach cały świat, pogasną gwiazdy, rozsypią się w pyły słońca i planety i zawrze nieubłagany bój od krańca do krańca! Ale i w to wierzę, że będzie starty na proch Szatan i pycha jego! Bóg wywiedzie nowe światy z chaosu! Nowym, weselnym Jeruzalem stanie się ziemia i oswobodzona od grzechu ludzkość zaśpiewa: „Hosanna<sup>148</sup>!”. Czyste, nieśmiertelne duchy zapelnia wszechświat i całe niebo rozbrzmi szczęściem wiekuistego trwania w Bogu! Tak w to gorąco wierzę, jak wiem, że Daisy jest Jego wysłannicą! I jestem pewien, że tu ktoś umrze, ktoś oszaleje i ktoś zatraci się na wieki przez Nią i dla Niego!

Zenon jakby nie zrozumiał ostrzeżenia, pochłonięty wyłącznie tym, co słyszał o rozwojeniach Daisy. Nudziły go bowiem spirytystyczne teorie *Mr Smitha*, lecz to niespodziane potwierdzenie przypuszczeń, głęboko tajonych nawet przed samym sobą, wstrząsnęło nim gwałtownie.

— I równocześnie widziano ją w różnych miejscach? — Pragnął potwierdzić.

— Ależ z pewnością! — *Mr Smith* jął skwapliwie przytaczać nowe fakty.

Już nie słuchał, zapatrzony w nagle rozwarte wierzeje przypomnień. Pamiętał w tej chwili każdy analogiczny fakt. A to pierwsze, wstrząsające zdumienie, gdy, zostawiwszy Daisy na seansie, spotkał ją w korytarzu idącą naprzeciw! A scena biczowań? A wiele tych niepojętych zgoła rzeczy? A przede wszystkim to wczorajsze spotkanie! Przecież dwa razy widział ją, rozmawiał, siedział obok niej, czuł ją przy sobie — i ona w tym samym czasie mogła być w mieszkaniu?

„Co to znaczy? Jak to pogodzić? Czy to może być? — Cofnął się jednak trwożnie przed stwierdzeniem, wiążącym się w nierozzerwalny łańcuch pewności. Zapalił papierosa, popatrzył na Joego, zamienił kilka słów ze *Smithem* i, usiłując rozmyślać spokojnie, znowu zagłębił się we wspomnienia...

Poznanie Daisy — i wszystko, co o niej słyszał, na co patrzył, co sam z jej powodu przeżył, nawet to, co zaledwie się prześliznęło przez mózg i tylko majakiem padło nieświadomym — jawiło się teraz w nim, jakby z wolna po raz drugi przeżywane. Rodzaj jasnowidzenia owaładnął nim z taką siłą, że pamiętał z nieubłaganą dokładnością prawie każdą chwilę. Przyglądał się jakby nieskończonej wstędze kinematografu.

„Widzę, pamiętam i tak samo nic nie rozumiem!”, pomyślał, chwiejąc się niby liść na rozhułkanych falach. „Przecież ja widzę tylko fakty, powierzchownie jakichś przypadkowych realizacji, czegoś niewiadomego, ślepiące majaki! Ale co jest tam w głębi? Kto jest reżyserem tych kukieł człowieczych? I kim jest właściwie Daisy? Jaką rolę gram w tym wszystkim?”. Szarpał się w nierozzerwanych sieciach tajemnicy, które go wlokły przez głębię męki, udręczeń i daremnych pytań!

— Wie pan! — zwrócił się po jakimś czasie do *Mr Smitha*. — Nawet bym się już nie zdziwił, gdyby naraz te drzewa za oknami przemówiły, a ci średniowieczni rycerze z obrazów zasiedli między nami...

*Mr Smith* odrzekł uroczystym tonem kaznodziei:

— Wszystko leży w granicach możliwości! Z nas bowiem bierze początek wszelka rzeczywistość! Myśl jest również realizacją, która trwa nawet poza nami. Jesteśmy marzeniem Boga, świat zaś jest naszym marzeniem. Nie ma dualizmu, jest tylko doskonała jedność, wiecznie falująca między biegunami: śmierć i życie, czyli między „wiem” i „jestem”! Nie ma w naturze...

— Być może, iż to wszystka prawda! — przerwał mu niecierpliwie Zenon, ogarnięty nieprzepatą żądzą ucieczki od tego wszystkiego; nie czekając już przyjazdu Betsy, wybiegł na ulicę i z radością zanurzył się w ciżbie tłumu.

„Więc jeszcze jestem!”, stwierdzał się fizycznie, prąc na wskroś zatłoczonych trotuarów. „Przecież nie mogę już tak żyć dłużej, nie mogę! I nie chcę zwariować!”, krzyczał w nim przebudzony nagle instynkt samozachowawczy. „Wróć z Adą do kraju i zapomnę o wszystkim!”, marzył, pozwalając się nieść tłumom, gdzie im się podoba. I czuł się coraz spokojniejszy, gubiąc z wolna wszelkie obawy i pamięć tamtych spraw strasznych.

<sup>148</sup> *hosanna* — słowo liturgiczne w judaizmie i chrześcijaństwie, wyrażające radość. [przypis edytorski]



Ale równocześnie spostrzegł w ludziach jakieś niezrozumiałe zmiany, które go zaniepokoiły. Twarze zdały mu się być tylko maskami, przez które przeświecały jakieś obce, zagadkowe oblicza. I spojrzenia mieli tak promienne i strzeliste, że nad głowami wiły się ustawiczne kłęby migotów i błyskawic. I poruszali się inaczej — jakoś płynniej, jakby unosząc się nad ziemią. Zaś gwar miasta przeistaczał się w rozfalowaną i nieskończoną melodię... Każdy głos brzmiał z osobna i razem tworzyły chór niebiańskich dźwięków. Nawet mury przyjęły barwę lazuru i wynosiły się aż gdzieś ku niebu. Wszystko, na co spojrział, miało ten sam zagadkowy wyraz. Wszędzie kryło się jakieś życie inne, obce, nieodgadnione — i zewsząd wyzierała niepokojąca tajemnica...

Nie dziwił się już niczemu, tylko myślał lekliwie: „A może i tak jest, jak mi się wydaje!”.

Gdy przechodził park, zaszumiały drzewa. Przystanął.

„Co one mówią?”. Ogarnął braterskim spojrzeniem zwichrzone gąszcze.

Park chwiał się, kołysał i szumiał cichą, tajemniczą pieśnią zmierzchu.

— Co? Co? — spytał wzruszony, gdyż zdało mu się, że idą ku niemu te czarne olbrzymy i podają mu swoje rosochate gałęzie. — Nigdy, nigdy się nie porozumiemy! — westchnął żałośnie.

Stado ptaków zataczało nad parkiem kręgi coraz niższe, aż poczuł na twarzy mioty skrzydeł i dojrzał rozchylone dzioby i okrągłe, świecące oczy. Opadły przy nim, a kilka uczepiło się jego ramion, kracząc długo i nieustraszenie. Wsłuchiwał się w te głosy, gładził czarne, lśniące pióra i szepnął smutnie:

— Znowu ta nieprzebyta granica! Obcymi pozostaniemy na zawsze!

Zerwały się naraz i, uderzywszy skrzydłami, wzbily się potężnym lotem w górę — nad drzewa, ponad miasto, coraz wyżej. A on gonił za nimi roz tęsknionymi oczami, póki nie przepadły w szarych rojowiskach mgieł.

Powolny, a mocny dźwięk godzin zbudził go do rzeczywistości.

„Pięta!”. Przypomniał sobie natychmiast zaproszenie Daisy.

Ale szedł jakoś ociężale i, otrząsając się z resztek rozmarzeń, spostrzegł z przykrością, że wszystko znowu miało ten sam — zwykły i pospolity — wyraz. Rozwiały się błękitne mgły i wartki nurt życia burzył się dokoła, pienił i bryzgał brudnymi falami. Wzdrygnął się z obrzydzenia.

„A może tak jest, jak mi się teraz zdaje!”, dumiał zapatrzony w zatroskane głowy, przygięte do ziemi pod brzemieniem niedoli. I wszędzie widział tylko zorane namiętnościami twarze, niespokojne i zdziczałe spojrzenia, usta zacięte cierpieniem — a we wszystkich wyraz drapieżnego nieubłagania, chciwości i egoizmu. A ten ruch olbrzymi! Te tysiące tysięcy kręcących się w kółko jakby w szale i zapamiętaniu! Ta dzika walka wszystkich ze wszystkimi! Te niezliczone hordy, wciąż wężące za łupem! Nędze, zbrodnie i rozpasania! Jakże to wydało mu się naraz potworne w swojej głupocie i bezcelowości! A wszystko było godne siebie: i te nędze niewypowiedziane, i te bogactwa niezmierne! Nawet te domy brudne, niby przegniłe trumny, rojące się ludzkim robactwem, nawet to niebo obwisłe i jakby przesycone ropą i kałem! Ohydne i przeklęte takie życie i taka dola!

„Uciekać jak najprędzej i jak najdalej!”, pisała go radosna i wyzwolenicza myśl. Poczul się znowu silny, bezwzględny i już na wszystko zdecydowany.

Powrócił śpiesznie do mieszkania, dowiadując się zaraz na wstępie, że z góry przysyłały po niego jakieś panie.

Poszedł tam dosyć niechętnie, przewidując nowe i przykre powikłania.

Joe jeszcze się nie przebudził, ale Malajczyk wyszeptał upewniająco:

— Już zupełnie zimny. Tak zawsze bywa przed obudzeniem. I fosforescencja znikła!

Lada chwila oprzytomnieje.

W żółtym pokoju rozmawiała *Miss Dolly* z ich domowym lekarzem.

— A czy nie mówiłam, że to musi się źle skończyć! — zawołała na powitanie.

— Ale to go nie uleczy! — odparł niecierpliwie, zacierając do sąsiedniego pokoju.

— *Mr Smith* poszedł pana szukać u jakiejś *Miss*... Nie pamiętam nazwiska.

Zirytował go ten docinek, ale dość uprzejmie zapytał o *Betsy*.

— Siedzi przy nim. Uparła się i nie opuszcza go ani na chwilę.

Jakoż znalazł ją w mrocznym pokoju, przysłoniętym kadzielnymi dymami. Siedziała splekana, nieprzytomnie wpatrując się w brata, który stał tak samo pochylony i z tym samym zakrzepłym uśmiechem na ustach.

— To okropne! Patrzy, a nie widzi! Mówiłam do niego, nie usłyszał. Dotykałam jego ręk, zimne i sztywne jak u trupa! Boże mój! Boże! — zajęczała cicho.

Wyprowadził ją do okrągłego pokoju, silnie oświetlonego.

— Co jemu się stało? — zapytała, chwytając go za rękę.

— Nie wiem! Czy *Mr Smith* nic pani nie mówił? — Obawiał się tego.

— Mówił wprost straszne, straszne rzeczy!

— Spirytystyczne brednie, nie trzeba im wierzyć! Betsy! Betsy!

— A jeżeli to prawda? A jeżeli to ona temu winna?

Zrozumiał, kogo ma na myśli, lecz nie próbując jej bronić, spytał wykrętnie:

— Cóż powiedział doktor?

— A jeżeli ona i Wandzię zaczarowała? — ciągnęła coraz lękliej.

— Widzę, że Ada nie oszczędziła pani swoich zabobonnych przywidzeń.

— Bo jeżeli to prawda? Jeżeli to wszystko prawda, co mówił *Mr Smith*! — wybuchnęła z przerażeniem. — Tak się teraz obawiam każdej nowej chwili, że wołałabym zaraz umrzeć. Nigdy, nigdy nie przypuszczałam... I czuję się tak bezbronna wobec nieszczęścia... — zapłakała, a łzy polały się rzęśistym strumieniem po zbladłych, zmizerowanych policzkach.

Było mu jej strasznie żal, a nie mógł się zdobyć ani na jedno cieplejsze słowo. Stał sztywny, wodząc szklistymi oczami po ścianach.

— I tak mi było dobrze... Tak sobie marzyłam... Taka byłam szczęśliwa... A teraz! A teraz? — zalkała znowu, wisząc jeszcze na rąbku nadziei, że może on przemówi jak dawniej, że może ją podeprze kochającym ramieniem i nie da nieszczęściu.

Nie poruszył się jednak, miotany dziwną rozterką. Jej łzy rozrywały mu serce i wiedział, co był powinien zrobić w tej chwili, wiedział, że to bezbronne piskłę przyszło do niego po ratunek, a nie potrafił przełamać jakiegoś ciemnego nakazu, który mu zabraniał najłżejszego objawu współczucia! Już wprost fizycznie nie umiał się zdobyć na żaden odruch. Czuł, że popełnia podłość i zdradę, że pastwi się i zabija to najszlachetniejsze i najgłębiej oddane mu serce, a nie przewyciężył siebie. I na darmo szamotał się w jakichś nieubłaganych pazurach i na darmo starał się zrozumieć stan własnej duszy...

Zaś z Betsy jakby wyciekało życie wraz ze łzami, bo czuła, że ta straszna chwila rozstrzyga o jej szczęściu. Bezmiernie znękanie ją ogarnęło i smutek. Nie miała już sił na płacze ni skargi, a tylko jej oczy, przepalone męką, mówiły niemym głosem bólesci.

A Zenon w jakiejś chwili zażartej walki ze sobą zerwał się nagle z miejsca.

— Co się ze mną dzieje? Betsy! — zakrzyczał, odpychając coś sprzed siebie.

W oczach miał strach i obłąkanie.

Przypadła do niego i chociaż śmiertelnie strwożona, jęła go uspokajać najśłodszyimi zakłęciami. Spojrzał na nią z bezbrzeżną wzdrganą i odtrącił.

— Zen! — jęknęła, cofając się przed tym dzikim, obłąkańczym spojrzeniem.

Ale na szczęście uspokoił się prawie natychmiast i siadł przy niej.

— Co się panu stało? — nie mogła powstrzymać pytania.

— Jakiś koszmar mnie napadł... Coś, czego nie można opowiedzieć...

— Czy jak wtedy u nas?

— Nie, nie... Jestem okropnie zdenerwowany!

Obejrzał się trwożliwie i zaczął mówić prędko, jakby chcąc się zagłuszyć. Chciał być swobodny, siłił się nawet na serdeczność, ale jej obaw nie rozproszył ani nie zbudził umierającej nadziei, bo jego słowa były lodowate, przypadkowe i krążyły na oślep niby płatki, błędzące w ciemnościach. Była to dziwna rozmowa, oboje bowiem z największym wysiłkiem kryli przed sobą tragiczne rozdarcie dusz i lęk o siebie. Betsy trzęsła się niby ptaszka<sup>149</sup>, śmiertelnie wystraszona, i w głosie jej pobrzmiwały łzy i tłumione co mgnięcie szloch rozpacz. Zdusiła jednak własny ból i troskała się już tylko jego dziwnym stanem.

— Bo powinien pan na jakiś czas wyjechać! — radziła jak siostra.

<sup>149</sup>ptaszka (daw.) — ptaszek. [przypis edytorski]

— Wyjadę, wypocznę i powrócę z nowymi siłami — odpowiadał potakująco.

Uśmiechnęła się bladym uśmiechem żalości, żegnającej go na zawsze. Krótki spazm targnął jej sercem, a w mózgu zahuczało złowrogie: „Nigdy, nigdy cię już nie zobaczę”.

Przerwał im rozmowę Malajczyk, wzywając do Joego.

Leżał bezwładnie na łóżku. Doktor czynił koło niego jakieś specjalne zabiegi, po których otworzył oczy, nie poznając jednak nikogo. Na próżno przemawiali do niego — nie odpowiedział nikomu i, uśmiechając się do siebie, patrzył przez wszystkich gdzieś daleko, daleko.

Uradzono, że doktor będzie przy nim czuwać wraz z pielęgniarką i rano, zależnie od jego stanu, zawiezie go do szpitala lub do Bartelet Court.

Betsy odjeżdżała tak zrozpaczona, iż przy rozstaniu po kilka razy błagała Zenona, żeby go nie opuszczał i czuwał nad nim.

— Nie odstąpię go do rana — upewniał szczerze i prawie natychmiast zapomniał o przyrzeczeniu, gdyż zaraz po ich odjeździe poszedł do Daisy pomimo dość spóźnionej godziny; ale cofnął się od samych drzwi.

— Nie! Nie! — uderzał jakby pięścią, zamknąwszy się w mieszkaniu. Zaczął przeglądać papiery, nagromadzone na biurku, i utknął oczami na nocie od Cooka: „Pociąg odchodzi o dziesiątej. Dover. Kaliban”.

Czytał po wiele razy i, nie mogąc pojąć, co znaczą te słowa, ubrał się machinalnie i zupełnie odruchowo kazał się zawieźć do Ady. Już miał dzwonić, gdy, posłyszawszy przez drzwi śmiech Wandzi, wstrząsnął się gwałtownie i uciekł pośpiesznie na ulicę. Był już jak piłka, tocząca się we mgle i podrzucana niewidzialnymi rękami. Czuł, że musi gdzieś iść, i szedł za pierwszym odruchem, i cofał się, również nie wiedząc dlaczego. Zaglądał do różnych klubów, witał się ze znajomymi, ale wszędzie jakby tylko kogoś szukał i, nie znajdując, zaraz odchodził. Wreszcie wstąpił do jakiegoś *music-ballu*<sup>150</sup>. Przedstawienie było rozpoczęte; muzyka wrzeszczała całą siłą rozstrojonych instrumentów i na scenie kołysały się baletowe stada; klauni bili się po twarzach, ktoś skakał spod kopuły do wody, dzielącej salę od widowni, a publiczność wybuchała śmiechem i brawami. Przypatrywał się z niezmiernym zajęciem, nie mogąc tylko dociec, gdzie się to wszystko odbywa: w nim czy gdzieś na zewnątrz jego oczu? Ale nim zdołał stwierdzić, powstał i zaczął się gwałtownie przeciskać do wyjścia, nie zważając na kłątwy tratowanych. Usłyszał bowiem jakiś kategoryczny nakaz, żeby wyszedł z teatru. Stał jakiś czas na trotuarze, rozglądając się niespokojnie; zaglądał nawet do bram i sklepów, a w końcu, nie wiedząc już, co począć ze sobą, kazał się śpiesznie zawieźć do domu.

*Mr Smith* wyszedł naprzeciw niego i odezwał się dziwnie ponuro:

— Myślałem, że się już pana nie doczekam.

— To pan mnie wołał, nieprawdaż?

— Nie wołałem, ale bardzo pragnąłem, aby pan przyszedł jak najprędzej...

— Więc to nie pan! Zaglądał pan do Joego? Już się przebudził?

— Wracam od niego! Przed paru minutami odwiedziono go do szpitala wariatów! Daję panu słowo honoru! — dodał, widząc jego zdumienie.

— Joe? Nie, nie, nie! — zakrzyczał, przyskakując do niego z gniewem.

— Dostał ataku furii i musieliśmy go odwieźć! — potwierdził smutnie. — Po przejeździe pań poszedłem pana szukać. Byłem nawet i u *Miss Daisy*; zastałem ją, szykującą się do drogi. Wraca do Indii...

— Wspominała mi o tym!

— Szukałem pana i w naszym klubie; a kiedy powróciłem, już u Joego nie było nikogo prócz doktora i pielęgniarki. Właśnie zasiedliśmy do herbaty, rozmawiając o chorym, gdy naraz gruchnął krzyk i łomoty rozbijanych o ściany mebli. Wbiegamy do sypialni, a Joe stoi na środku pokoju z krzesłem w rękę i broni się przed jakimś niewidzialnym wrogiem. Krzyczał coś bez związku i rzucał się coraz zapalczywiej; kopał i bił, czym tylko mógł. Dopiero przy pomocy całej służby pensjonatowej zdołaliśmy go obezwładnić. I bronił się tak rozpaczliwie, aż musiano mu nałożyć kaftan...

— Straszne! Straszne! — jęknął, zaledwie wierząc uszom.

<sup>150</sup>*music-ball* (ang.) — teatr rewiowy; także widowisko teatralne z elementami muzyki, tańca i piosenki. [przypis edytorski]

— Przeszedłem najcięższą chwilę w moim życiu! Jeszcze nie mogę uwierzyć... Przeszłam — wyrzwał podejrzliwie na korytarz. — Zdawało mi się, że ktoś puka do drzwi... Że Joe stracony! Doktor nie robi nawet nadziei! Taki dzielny człowiek! Taki potężny umysł i taka wzniosła dusza w szpitalu obłąkanych...

— Dzięki waszemu spirytyzmowi! — Nie mógł już pohamować gniewu.

— Może jest w tym nieco i naszej winy! — szepnął pokornie i ze szczerym żalem. — Ale głównie zawiniły te potworne praktyki fakirskie, jakim się już od dawna poświęcał. Chciał koniecznie zostać jogiem, świętym cudotwórcą i czystym duchem. Pragnął poznać Niepoznawalne... Jego szaleństwo utwierdziło mnie w przekonaniu, że takie eksperymenty są zgubne dla Europejczyków! Kto tylko tknął się tych praktyk, umierał lub wariował. Mógłbym wymienić wiele głośnych nazwisk!

— A mimo tego nie przestaje pan apostołować tych prawd! — szepnął z goryczą.

— Od chwili, w której ujrzałem szaleństwo Joego, przysięgłem sobie nie zajmować się więcej spirytyzmem. Przejrzałem bowiem i poczułem w ustach posmak gorzkiej prawdy, że my, tzw. Europejczycy, jesteśmy rasą niższą, jesteśmy tylko psychiczną *tschandalą*! Tylko Hindus może przekroczyć granice materii i spojrzeć w nieśmiertelne oblicze Światłości! To wybrani z wybranych! To już dusze w ostatnim awatarze! Panie, cała wiara i tęsknota mojego istnienia umarła dzisiaj gwałtowną śmiercią. Teraz wiem, że Europejczyk może posiadać nasz system planetarny, może nawet zaprzęże słońca do poruszania swoich fabryk i wzleci do gwiazd, ale przenieńdy nie przekroczy granic materii, nigdy jego ręce grzeszne nie podniosą zasłony, a jego ślepe oczy nie ujrzą Izys odsłoniętej! Teraz wiem, że jesteśmy tylko nędznym plemieniem pariasów, rozzuchwalonym przez głupotę, liszajem świata, skazanym na plugawę, przyziemne bytowanie i wieczne przerabianie ziemi niby te glisty, rojące się pod powierzchnią! I zaprawdę, nie godniśmy lepszej doli, bowiem suma naszych nieprawości jest większa nawet od miłosierdzia Bożego! Więc biada śmiałkowi, który świętokradczą myślą sięgnie poza kres naznaczony, po tysiąckroć biada! Szaleństwo i Śmierć tam stoją na straży!

Tyle grozy biło z jego słów i tak bezgraniczna rozpacz wyzierała mu z oczu, że Zenonem wstrząsnął dreszcz zabobonnej trwogi. Patrzył bezradnie, jak stary dowlókl się do drzwi, a odwracając się jeszcze raz, rzekł:

— Szaleństwo i Śmierć!

Ledwie ucichły jego kroki na korytarzu i Zenon stał na środku pokoju, nie ochłonawszy jeszcze z zamętu, gdy służący zameldował.

— Walizy zniesione i konie czekają! Już czas na pociąg...

Nie zdziwił się, wiedząc już w tej chwili, gdzie ma wyjeżdżać i czyj to głos przywołuje go nieustannie.

Zakręcił się po mieszkaniu; chciał coś pakować, czegoś szukał bardzo usilnie w szufladach, próbował zbierać kartki rękopisów — i wszystko mu z rąk leciało, i o wszystkim zapominał, trawiony radosną gorączką i słodkim udręczeniem oczekiwań.

— To dzisiaj! Zaraz! Natychmiast! — zdumiewał się coraz bardziej nieprzytomnie.

Czasowa wizja szczęścia przejęła mu duszę niewysłowionym zachwytem. Spłonął cały niby słońce i mocą szalonych pragnień rwał się na jakieś niebosiężne szczyty — aż tam, skąd płynął ten władczy nakaz...

— Daisy! Daisy! — wołał ekstatycznie, niepomny już siebie i życia, jakby rzucając się w nieskończoność. — Czekam wyzwolenia! Czekam w tęsknocie i miłowaniu! — modlił się żarem czciciela i niewolnika.

Naraz zamajaczyła przed nim z taką wyrazistością Ada, że ochłonął nieco i nieśmiała, drżąca myśl przewinęła się błyskawicą.

— Co się ze mną dzieje?

Żalony szloch Betsy zakwilil. Obejrzał się mimo woli, a nawet przez jakieś mgnienie próbował się nad sobą zastanawiać. Miał wir pod czaszką i chaos postrzępionych obrazów i myśli.

„Wujcio taki dobry, taki kochany, taki strasznie mój — jak tatuś...”.

Któż to szczebiocze? Czyjeż to rączki okręcają mu szyję? Czyjeż to kwietne oczy patrzą w niego z taką bezgraniczną miłością?

Zachwiał się, strwożony; olbrzymi ciężar przywalił mu duszę i ściągał w jakieś zgiełkliwie i plugawe niziny...

Z powrotem? W kajdany każdego dnia i każdego przypadku? W niewolę troski wieczystej? W ohydne jarzmo motłochu i obowiązków? I już na zawsze? „Nie, nie, nie!”, wybuchnął w nim potężny krzyk protestu. „Raczej śmierć niżli takie życie, niżli to niewolnicze, pełzające bytowanie robaków wśród cierpień, strachów i ciemności...”

„Szaleństwo lub Śmierć”, rozsypał się głos Smitha żalobnym korowodem i niby dzwon pogrzebowy zahuczał w mózgu.

„Co robić? Co robić?”. Wszystkie zmyły życia zatargały mu sercem, sycąc go trującymi jadami niepokojów, obaw i niepewności.

Obląkana trwoga zawyła mu w duszy.

Ale tamten władczy głos podniósł się znowu dźwiękiem mocniejszym ponad wszystko, mocniejszym nad życie i śmierć...

Sprężył się w ostatniej, rozpaczliwej walce ze sobą.

Jeszcze chwila odruchowych wahań! Jeszcze chwila zmagania ostatnich żalów i pamiętań ostatnich, mgnienie chwiania się niby drzewo podcięte. I runął tam, gdzie go wołało przeznaczenie...

— A choćby nawet Szaleństwo i Śmierć! A choćby! — rzucił wyzywająco własnej woli.

...A przed świtem Kaliban wypłynął z portu w nieznanym kierunku.

Los

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. 99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/reymont-wampir/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław St. Reymont, *Wampir*, Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1911.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury ([wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl)). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Elżbieta Sekuła, Jenifer Wyderka, Magdalena Chudyba, Paulina Chorońska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).